

- Przeszość nie umiera — str. 1 i 5
- Statkiem do Londynu — str. 6
- Dawne hotele łódzkie — str. 7
- Polski wulkan — str. 10
- Panna Julka i ciotki — str. 15



Nr indeksu 36762  
PL ISSN 0472-5042

# Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 50 (1498) ROK XXIX 13 GRUDNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

Tam wojna jest na każdym kroku  
- mówią ludzie odwiedzający stolicę Francji

## Obleżony Paryż

MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA



4 września 1986 r. — nieudany zamach w metrze. W jednym z wagonów, którym jechało około 100 pasażerów odkryto na czas ładunek wybuchowy w porzuconej torbie.

8 września — zamach na poczcie „Hotel de Ville”. Na parę minut przed zamknięciem eksplodowała pozostawiona przed jednym z okienek bomba. Zabita urzędniczka i 18 osób rannych.

12 września — zamach w jednej z restauracji nowoczesnej dzielnicy Paryża — „Defense”. Rannych 41 osób.

14 września — zamach w restauracji „Pub Renault” na Polach Elizejskich. Kelner i dwóch policjantów usiłovali wynieść pozostawioną pod krzesłem paczkę i wybuchła im ona w rękach. Dwóch zabitych, jeden ranny.

15 września — zamach w jednym z biur Paryskiej Prefektury mimo podjętych już środków ostrożności. Sprawdzano zawartość torb, siatek itd. przy wejściu do miejsc publicznych. Jedną zabity, 51 rannych.

17 września — rue de Bennes, jedna z bardziej ożywionych ulic Paryża. Ładunek wybuchowy został rzucony z samochodu przed dom towarowy „Tati”. Pięć osób zabitych, 53 rannych.

BYŁO 9 ZABITYCH I 164 RANNYCH

tylko w dziesięciu dniach Paryża. Po względnie spokojnej wiośnie i przerwie wakacyjnej wzięła się w ruch seria zamachów bombowych, jak miało to już miejsce zimą, kiedy to ładunki wybuchowe podłożono w dużych domach towarowych. Śmierć poniosły wtedy 2 osoby i 84 było rannych.

Zycie w Paryżu pozornie toczy się normalnie. Jednak lęk i brak poczucia bezpieczeństwa nie opuszczają paryżan. Nie sposób nie identyfikować się z trupem leżącym na chodniku wśród odpadków szkła czy rannym, którego telewizja pokazuje niesionego na noszach i ściskającego w swych zakrwawionych rękach torbę z zakupami. Niemożliwe, aby nie myśleć o następnych zamachach słysząc częste syreny samochodów policyjnych, tętniąc świadkiem nagłego zabarykadowania ulicy czy niespodziewanej przerwy w ruchu metra.

Na biurowcu Montparnasse (100 metrów od miejsca ostatniego zamachu) wielki napis głosi: „Terroryzm: żyć z nim i walczyć przeciwko”. Teraz trzeba otworzyć torbę, wychodząc do kina, sklepu czy w innych miejscach publicznych, rzucić okiem pod ławę przed zajęciem miejsca w wagonie metra czy kawiarni. W razie wątpliwości zawiadomić policję. Te niecodzienne gesty stały się już odruchem. Służby policyjne otrzymują dziennie dziesiątki telefonów dotyczących podejrzanych pakunków, fikcyjnych bomb, a nawet eksplozji, których nigdy nie było.

Tylko w ciągu jednego popołudnia fałszywe alarmy nadeszły z jednego z paryskich liceów, gdzie policja ewakuowała 800 uczniów; z pierwszego piętra wieży Eiffla, z siedziby partii politycznej PPR, z biura podróży Air France, z domu towarowego „Trois-Quartiers”, spod mostu Saint-Michel i wielu innych miejsc publicznych i prywatnych Paryża.

Zdarzają się i głupie żarty. W Marsylii ojciec trojga dzieci został skazany na cztery miesiące więzienia za celowy, fałszywy alarm. Dzwoniąc od siebie z domu, zapowiedział niezwłoczną eksplozję w centrum handlowym „Carrefour”.

Podjęto też dodatkowe środki bezpieczeństwa w miejscach zamkniętych: od pałacu prezydenckiego, wokół którego wszystkie ulice są niedostępne dla ruchu, do szkół podstawowych i liceów, gdzie dyrektorzy otrzymali specjalne instrukcje, a nauczyciele i rodzice pełnią rolę przy wejściu.

Na polecenie Prefektury w kinach, wielkich domach towarowych, w budynkach administracyjnych wzmocniono kontrolę i środki ostrożności. W „Au Bon Marche” (dom towarowy) podwołono liczbę strażników. W „Galeries Lafayette” (dom towarowy) kosze na śmieci opróżniane są co pół godziny. Przy wejściu na niektóre parkingi sprawdza się zawartość bagażników. Na poczcie, aby wysłać paczkę, trzeba wykazać się dowodem tożsamości. W metrze są liczne patrole policji. Nie ma jednak dnia bez przerwy w ruchu metra, bez zamknięcia którejsz stacji. Czasami jest aż dziesięć przerw dziennie, opóźnienia od 5 do 35 minut.

Kiedy metro rusza, każdy ruch jest komentowany. Wagon zatrzymują się w tunelu: — „Pewnie bomba”. „Zaraz wylecimy w powietrze” — żartują młodzi. Te żarty nie wszystkich pasażerów bawią. Wzrok niektórych nie opuszcza podłogi w poszukiwaniu podejrzanego pakunku. Kiedy metro oddala się od wielkich stacji, twarze się rozluźniają.

OPUSTOSZAŁY DZIELNICE,

gdzie normalnie był ożywiony ruch. Nazastrz przed zamachem przed „Tati”, na Polach Elizejskich czy w dzielnicy Montparnasse poruszali się nieliczni przechodnie zamiast gęstego tłumu. Na tarasach kawiarni większość stolików pustych. Właściciele restauracji, domów towarowych czy kin niechętnie mówią o zmniejszeniu się klienteli. Po cóż przyznawać, że terroryzm osiągnął częściowo swój cel. Niektórzy jednak przytaczają cyfry: elegancki butik na „Defense” — trzy sprzedaże w ciągu tygodnia; w „Galeries Lafayette” spadek obrotów o 25 proc., o 50 proc. w butikach w galerii „Lido” i „Clarige” na Polach Elizejskich (tu wybuchła bomba 3 września raniąc 8 osób). Restauracja „Hippopotamus” na Montpar-

## Przeszość nie umiera

Wspomnienie 1945-1980

JAN KOPROWSKI

Nie mógłbym nazwać siebie prawdziwym łódzianinem, chociaż przemieszkiałem w Łodzi dwadzieścia dwa lata. Ale osiedliłem się tutaj dopiero po wojnie, po kilkunastoletnim pobycie na ziemi mego dzieciństwa, Kielecczyźnie, potem w Pruszkowie i Warszawie, następnie w Niemczech, a wreszcie na placówce dyplomatycznej na Dolnym Śląsku. Osiedlając się w Łodzi nie znałem prawie zupełnie tego miasta, jego historii i charakteru, może dlatego, że nigdy nie wiąza-

łem moich planów życiowych z Łodzią. Wychowany na ziemi kieleckiej o Łodzi wiedziałem tyle albo mniej jeszcze niż wie przeciętny mieszkaniec naszego kraju: że jest to centrum przemysłu włókienniczego, „polski Manchester” — jak często pisano i wciąż jeszcze pisze się w gazetach — o dość swoistej, nieledwie egzotycznej ludności. Oczywiście do miasteczka, w którym mieszkałem przed wojną przyjeżdżali ludzie z Łodzi najczęściej do krewnych, a tak-

że wyjeżdżali stąd do Łodzi, w odwiedziny. Mówiło się wtedy: „Z. pojechał do miasta Łodzi”, albo: „N. przyjechał z miasta Łodzi”. Bardzo mnie to dziwiło, a nawet śmieszyło. Jako młody chłopiec zapytywałem ojca, dlaczego nie mówi się, że ktoś przybył z miasta Krakowa czy wyjechał do miasta Poznania. Wskutek tej osobliwej Łódź rysowała się w mej wyobraźni jako miasto wyjątkowe, niepodobne do żadnego innego w Polsce, a może nawet na świecie.

W latach późniejszych, ale jeszcze przed rokiem 1939, przeczytałem o Łodzi dwie rzeczy: felieton Zygmunta Nowakowskiego, zamieszczony w „Geografii serdecznej” i reportaż Ksawerego Pruszyńskiego „Złoci kulisi” w jego zbiorze „Podróże po Polsce”. I jeden i drugi autor utwierdził mnie w moich wcześniejszych wyobrażeniach, a Nowakowski, choć pisał z felietonową przesadą i „wisielczym humorem”, wywołał nawet coś w rodzaju grozy.

Oto jego słowa:

„To miasto nie ma najmniejszego sensu, a trzyma się i nie tonie jedynie dlatego tylko, że jest naprawdą jakąś tragiczną powagą po bezdomnym bagnie. Łódź jest oczywistym absurdem, toteż kiedy człowiek, otoczony zewsząd mniejszościami narodowymi, idzie przez te idiotyczne, długie, karykaturalne ulice zalane tłumem obcym i dziwnie nieindywidualizowanym — odnosi wrażenie, że to nie

5

13

# Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasinski.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadamski, Jacek Głębski Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Władysław Malka Marek Mamos Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa - Książka - Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa - Książka - Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. dla instytucji i zakładów pracy - zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach - Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 3. dla osób fizycznych zamieszkałych w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych - nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch” 3 prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa - Książka - Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 -201045 139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę - do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego - do dnia 1 każdego miesiąca - poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 3722. B-2.

# Przegląd prasy

Po dziesięciu latach mogliśmy wreszcie obejrzeć dokument w filmie o „Oto Ameryka”. Telewizyjna emisja skandalecznego filmu amerykańskiego wzbudziła duże zainteresowanie oraz wywołała rozmaite reakcje. Pojawili się też różne komentarze prasowe. W tygodniku „POLITYKA” (nr 49) zabrali głos dwaj znawcy USA - dyplomata Stanisław Trepczyński i dziennikarz Stanisław Głębski. Przekonują oni czytelników, podobnie jak prof. Longin Pastusiak przekonywał telewizyjnie, że reżyser przedstawił

## FALSZYWY OBRAZ AMERYKI

Stanisław Trepczyński przyznaje wprawdzie, że ukazane w filmie osobliwości i zwyrodnienia występują w Stanach Zjednoczonych, ale zaznacza, iż stanowią one margines życia amerykańskiego (może i proc. całego kraju). Natomiast główny nurt wygląda zupełnie inaczej. „Amerykanie - czytamy - niezwykle ciężko i bardzo wydajnie pracują. Praca pochłania im większość czasu i energii, tak dalece, że niektóre zwyrodnienia pokazane w filmie są smutnym tego następstwem, pewnego rodzaju psychiczną obroną organizmu przed miazmatycznym walcem pracy. (...) Przeciwnie do tego właśnie polega dziwność modelu amerykańskiego, że po to, aby mógł funkcjonować, trzeba z wysokich dochodów finansować również marnotrawstwo, wygłup, szaleństwo. Trzeba je opłacić, aby potwierdzić swój prestiż, swoją pozycję społeczną, dowód powodzenia w życiu. Ale to wszystko można opłacić tylko, jeśli się ciężko pracuje”. Autor nisko ocenia film Vanderbesa i twierdzi, że pozornie zohydza on Amerykę, lecz w rzeczywistości powoduje efekt odwrotny.

Nie mniej rozczarowany jest Stanisław Głębski. Spodziewał się skomplikowanego obrazu Ameryki, a zobaczył jedynie seks, skandal i brutalność. Jego zdaniem: „taki film naciągano-skandalizujący można by nakręcić bez większych kłopotów wszędzie”. Także w Polsce. I podobnie sądzi Stanisław Trepczyński. Pisze mianowicie: „Gdyby ktoś na tej zasadzie zrobił film o Polsce i pokazał wyłącznie pijanństwo w naszym kraju, byłby dużo bliższy prawdy, gdyż niestety stanowi ono integralną część naszego bytu społecznego”.

Czy obaj znawcy stosunków amerykańskich i krytycy filmu Vanderbesa nie przesadzili jednak w ostatniej konkluzji? Odnosząc ponadto wrażenie, że w swoich recenzjach nie uwzględnili faktu, iż społeczeństwo nasze jest już nieźle wykształcone i potrafi wyciągać wnioski bez tego rodzaju komentarzy.

W sprawie projekcji filmu „Oto Ameryka” wypowiedział się również Edmund Tulko. W sobotnio-niedzielnym „DZIENNIKU ŁÓDZKIM” (nr 285) informuje, że polscy telewidzowie nie zobaczyli wszystkich scen. Najbardziej drastyczne momenty wycięto. W pełnej wersji

## FILM BYŁ DŁUŻSZY

o 10-12 minut. Autor popularnych „Zapisków współczesnych” stwierdza między innymi: „Widziałem ten film w wersji nieokrojonej, więc wiem co piszę. Film po prostu ocenzurowano, przy czym podejrzewam, że zrobili to nie cenzorzy działający z ustawowego upoważnienia, lecz kompetentni bossowie naszej telewizji. W rezultacie osiągnęli efekt nie zamierzony: Stany Zjednoczone to fajny kraj, w którym każdy dziwak znajdzie dla siebie coś miłego”.

Edmund Tulko stawia zasadne pytanie: „dlaczego można ten film eksponować w krajach zachodnich, a my jesteśmy tacy pruderyjni?” Przypuszcza on, że jednym z powodów cięć była scena mszy satanicznej. Okrojono ją, żeby nie być posądzonym o obrazę uczuć religijnych chrze-

ścijan. „W kraju - czytamy - w którym twierdzi się z niektórych ambon, że prawdziwa wolność wyznania występuje tylko na zachód od Łaby, wycina się z filmu to, co mogłoby ten wymaginowany obraz zamącić. I wszystko dzieje się z biogostawstwem świeckich władz, rzekomo narzucających społeczeństwu ateizm. I niech mi ktoś powie, że Polska nie jest bardziej katolicka od Włoch czy Hiszpanii? (...) Powiedzmy sobie wreszcie jedno: pruderyjność głoszona i z kruchty i z urzędów, co jest niepisany porządkiem państwa i Kościoła, ma się nijak do rzeczywistości”.

Ale zmieńmy temat. Mamy wszak poważniejsze kłopoty. Największym chyba jest stan naszej gospodarki i przyszłość reformy ekonomicznej. Profesor Józef Kaleta dość stanowczo twierdzi, że reformatorzy nasi

## PRZEGRYWAJĄ KOLEJNĄ SZANSĘ

Polski Ludowej. W rozmowie przeprowadzonej przez Stanisława Mielkowskiego dla tygodnika Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego „ODRODZENIE” (nr 49) powiada: „Świadczą o tym fakty: niska efektywność gospodarki, struktura inwestycji fatalna, handel zagraniczny zalamuje się, rynek nierównoważony, nawiś inflacyjny tryma się mocno, deficyt budżetowy wzrasta, postępuje dekapitalizacja majątku, środowisko naturalne degeneruje się...”

Zdaniem kontrowersyjnego ekonomisty z Wrocławia, praktycznie nie funkcjonuje fundament reformy - trzy „S”. Poza tym najlepsze przedsiębiorstwa obciążone są i wręcz niszczone nadmiernymi podatkami. W momentach kryzysowych na świecie prowadzi się odwrotną politykę fiskalną. Obniża się podatki. Szczególnie w przypadkach modernizacji i przedsięwzięć proekspansyjnych. Należy więc wrócić do źródeł reformy oraz dokonać niezbędnych modyfikacji.

Partia powinna przede wszystkim zreformować centrum i aparat administracyjny. „Jak rozbudowany jest obecnie ten aparat - mówi J. Kaleta - świadczy porównanie jego rozmiarów z administracją USA i Polski okresu międzywojennego. W Polsce mamy obecnie 5 wicepremierów, a w USA jest tylko jeden wiceprezydent. Mamy 85 ministrów i organów centralnych, a w Stanach Zjednoczonych zaledwie 13. Z kolei w Polsce międzywojennej mieliśmy 1 wicepremiera, 11 ministrów, 12 wiceministrów i 46 dyrektorów departamentów. Obecnie jest prawie 240 wice-ministrów i zastępców kierowników urzędów centralnych oraz... ponad 700 dyrektorów departamentów. Czyż jeszcze trzeba szukać innych argumentów na rzecz zburzenia tej szklanej góry biurokracji?”

Jak wobec tego miałoby wyglądać

## CENTRUM WŁADZY

w naszym kraju? Redaktor wrocławskiej Akademii Ekonomicznej odpowiada: „Klaryfikacja: Sejm powinien być faktycznie najwyższą władzą państwową. Wszystkie komitety przy RM, rady i komisje o uprawnieniach władczych rozwiązałbym natychmiast. Trzeba też z Komisji Planowania zrobić wreszcie organ sztabowy rządu, a nie traktować jej jako superresortu. Konieczne jest umocnienie pozycji Narodowego Banku Polskiego i zmiana statusu resortu finansów. Najwyższy czas zlikwidować wszystkie ministerstwa galęziowe oraz przekształcić większość zresztesz obligacyjnych w zresztesz dobrowolne”.

Józef Kaleta przedstawia tylko część propozycji, które uważa za niezbędne. Do najpilniejszych przedsięwzięć wymagających podjęcia zalicza reformę instrumentów ekonomicznych. „Dopóki nie ma zdrowego pieniądza - podkreśla - dopóki nie ma właściwych cen, kursów walut i stopy procentowej, dopóty będzie królował sufit i zwyciężał woluntaryzm. Decydenci muszą o tym wiedzieć, nie liczyć na przetrwanie czy jakiś cud”.

Rząd nie lekceważy jednak głosów krytycznych. Trwają przygotowania do II etapu reformy gospodarczej. Na Kongresie związkowców premier

Zbigniew Messner stwierdził wyraźnie: „Szansa przyspieszenia tkwi głównie w respektowaniu logiki ekonomicznej. Nie ma tu miejsca na woluntaryzm, złudzenia i partykularne korzyści”. Mówił on również o konieczności przebudowy polityki finansowej, struktury cen i plac. Już w nadchodzącym roku ma nastąpić ograniczenie działalności deficytowej i zmniejszenie dotacji. Nie można dłużej dopłacać do przedsiębiorstw niegospodarnych, a karać wysokimi podatkami dobrze gospodarujące.

Zbigniew Messner zapowiedział m.in. konsekwentną realizację wieloletniego programu ochrony środowiska. Na ten cel przeznaczony jest w bieżącym pięcioletciu ponad 800 mld zł z funduszy centralnych, terenowych i zakładowych. „W rejonie o dużej koncentracji pyłów i gazów (Śląsk, Puławy, Bełchatów itp.) stosowane będą nowe technologie oczyszczania atmosfery”. Pełny tekst wystąpienia premiera można znaleźć w „TRYBUNIE ŁÓDZkiej” (nr 280).

Na funkcjonowanie systemu społeczno-gospodarczego duży wpływ ma istniejący od 11 lat nowy

## PODZIAŁ TERYTORIALNY KRAJU.

Nie wszystkie województwa i regiony mają w tym układzie optymalne warunki rozwoju, choć w sumie jest bardziej funkcjonalny od poprzedniego. Niektórzy obywatele i działacze terenowi żalują dawnych powiatów. Przeważnie weszły one w całości lub z drobnymi zmianami do nowo utworzonych województw. Tylko w 29 przypadkach (na ogólną liczbę 314 powiatów) stało się inaczej. Pewne błędy popełniono także na granicy województw katowickiego i krakowskiego. Piśsze o tym w ciekawym raporcie na łamach kwartalnika „TAK I NIE - ŚLĄSK” (nr 3) Andrzej Borkiewicz.

W następstwie reformy administracyjnej ziemie powiatu chrzanowskiego znalazły się w obrębie trzech sąsiednich województw: katowickiego, krakowskiego i bielsko-bialskiego. Ludzimi kojarzący się to z zaborami. „Na domiar złego - czytamy - niefortunnie wytyczono granicę pomiędzy woj. krakowskim i katowickim. Przebiegała ona dokładnie tak samo jak w tragicznych latach wojny granica Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy”.

Stary działacz szczebla powiatowego, przebywający od 1980 r. na tzw. wcześniejszej emeryturze, wspomina dziś: „Sami czuliśmy, że układ gmina-powiat-województwo jest zbyt skomplikowany, ale tempo tych zmian zapierało dech na równi z informacjami o naszych sukcesach gospodarczych. Tu musiała być symetria. Tego wymagała strategia przyspieszonego rozwoju. Co się wtedy działo? Zmiany, reorganizacje we wszystkich dziedzinach. To było słuszne, tylko trzeba było rozłożyć to bardziej w czasie”. Dwustopniowy podział administracyjny kraju weszł w życie 1 czerwca 1975 roku.

Trudno oczekiwać, żeby wszyscy obywatele akceptowali zmiany dokonujące się w państwie i społeczeństwie. Znaczną część nie znoś całego ustroju socjalistycznego. W parafii św. Leona w Goldapi

## JEST TAKI KSIĄDZ

który nienawidzi socjalizmu i ustawicznie go atakuje. Pisze o nim w „ARGUMENTACH” (nr 49) Małgorzata Jarońska.

Ksiądz wikary Lech Lachowicz jest człowiekiem bardzo inteligentnym i ocytanym, lecz działającym w zaślepieniu i nienawiści. Ale jego działalność polityczna ma ograniczony kraj zwolenników. Niedawno ponad połowa wiernych wyszła przed kazaniem z kościoła.

Co o tym sądzi przełożony ksiądz Lachowicz? „Jedni wychodzą - mówi ks. dziekan Aleksander Smedzik - inni nie. Dla niezadowolonych są w kościele inne kościoły. Ale są u nas i tacy, którzy specjalnie przyjeżdżają aż z Białogostku, żeby tylko wysłuchać kazania księdza Lachowicza”.

E. I

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Zbyt usłużna pamięć

Czy można jako tako trafnie oceniać politykę mając tzw. krótką, czyli niedokładną pamięć, przeinaczając obraz i przebieg minionych wydarzeń? Uważam, że właśnie z dokładnej pamięci, wiernie odtwarzanych faktów (do których zaliczyć by trzeba również pragnienia i nastroje) składa się doświadczenie polityczne człowieka.

W takim razie wielu ludzi należałoby zdyskwalifikować jako partnerów dyskursu o polityce. Iluz bowiem albo zawiedzionych ambicji, albo z powodu politycznej stronniczości nagina bez skrępowanych faktów dokonane, by zamiast służyć poznaniu prawdy, ułatwiały wyprowadzanie naciąganych wniosków. Za żadną cenę nie chcą przyznać się do popełniania błędów, gdyż oznaczałoby to wzięcie na siebie swojej części odpowiedzialności. Fajszują więc na co dzień historię, nawet tę, do której sięga pamięć większość społeczeństwa.

Oczywiście, mam też na myśli wydarzenia polityczne lat 1980/81, których obraz i przebieg we wspomnieniach niejednego z uczestników ulega przekłamaniu. Nie o to bowiem chodzi, że ktoś rozumie po swojemu, niezgodnie z oficjalną interpretacją, sens ówczesnych wydarzeń, bo to do pewnego stopnia zrozumiałe, lecz o to, że nieraz świadomie i cynicznie uznaje za niebyłe niedogodne fakty, by wykazać, że nie istniały takie zagrożenia ekonomiczne i polityczne, które uzasadniałyby z punktu widzenia narodowych interesów wprowadzenie stanu wojennego.

Głosiciele tej tezy starają się wymazać z ludzkiej pamięci nie tylko ponury, wprost przerażający obraz polskiego życia - pustych sklepowych półek, pokątnego handlu i spekulacji, wyłączenia świata i niedołączania domów, dezorganizacji kolei i komunikacji miejskiej, nieuczynnych z różnych przyczyn szkół i urzędów, mnożących się napadów rabunkowych w biały dzień, górników i innych robotników zwręczających w telewizji, o suchym chlebie muszą przechodzić do pracy, słowem - obraz kraju nad brzegiem przepaści, do której został już niewielki krok, ponieważ na 17 grudnia zapowiedziano strajk powszechny i ogólnonarodowe „targanie po szczytach”.

Pamięć o tym jest naszym opozycjonistom nie na rękę, toteż gdy ktoś im to wypomina, zrzucają wówczas winę za ten stan rzeczy na władzę, że w niczym nie chciała ustąpić (choć pamiętamy, że wielokrotnie przekraczała zapowiadaną granicę ustępstw), że specjalnie ukrywała towary, zwłaszcza żywność żeby „wyglodzić naród”, gdyż jak zarzucał wprost niektórzy działacze „Solidarności” (co przedrukowano też w ulotkach), władze zmierzają rozmyślnie do „biologicznej zagłady narodu polskiego” (choć zapomniano wyjaśnić, jakie to korzyści miał odnieść rząd z wygłodzenia narodu).

Znawcy się jednak setki tysięcy ludzi podatnych na najniebezpieczniejsze hasła i niepoczytalne wezwania, choć ich liczba stale malała.

Dziś, po pięciu latach od proklamowania stanu wojennego, którego wprowadzenie nazwano oficjalnie „smutną koniecznością” i „wyborem mniejszego zła” (nie zaś radosnym aktem odwetu), nawet trudno ogarnąć w całej rozciągłości obszar odbudowanych struktur gospodarczych i politycznych, a zwłaszcza samorządowych oraz rozmaitych poprawy zaopatrzenia rynku od jednej po drugiej asortymentowej (ocet) po setki czy tysiące artykułów obecnie.

Oczywiście, nie wolno popadać w samozadowolenie. Trudna jeszcze jest bowiem nasza sytuacja i ogromne jeszcze braki w niejednej dziedzinie, ale nasi opozycjoniści wpadli na dość perfidny chwyt propagandowy, na który jakąś część społeczeństwa daje się nabierać, zwłaszcza ci, co niezbędnie pilnie czytują prasę lub słuchają radia i telewizji. Otóż wzmawia się im, że działacze polityczni i publicyści oceniają z najwyższym ukontentowaniem osiągnięty obecnie poziom życia społeczeństwa oraz funkcjonowanie najważniejszych instytucji i urzędów. Po czym, następuje sakramentalne pytanie: „Jeżeli mówią, że jest tak dobrze, to dlaczego tyłu rzeczy brak? Dlaczego nas oklamują?”

Bezsporna nikczemność tego chwytu polega na kołobortowaniu kłamliwych informacji o wypowiedziach polityków i artykułach publicystów, które zwykle wyrażają troskę i niepokój o najbliższe dni i miesiące. Znamiennie, że jeśli się odwoła na tak perfidną prowokację stwierdzając, że się nie spotyka tak optymistycznych wypowiedzi i propositi się rozmówce o sprzeciwianiu, kto i kiedy, jakimi słowami, na ten temat się wypowiedział: Jaruzelski, Messner czy Miodowicz, nasz rozmówca niefraobliwie zmienia temat, wyciągając z zanadtu inne zarzuty.

Jest to ten intelektualny i moralny poziom, na który zazwyczaj stać naszych oponentów. Na luksus posiadania sensowniejszych opozycjonistów jeszcześmy widocznie nie zasłużyli...

## JERZY KWIECIŃSKI

# Już za dwa tygodnie...

ostatnie w tym roku wydanie „Ogłosów”. Będzie ono miało charakter specjalny: JUBILEUSZOWY (1500 numer) oraz ŚWIĄTECZNY (Boże Narodzenie). W tygodniku - liczącym 20 stron - znajdują Czytelnicy wiele interesujących materiałów, a między innymi:

- ostatni odcinek sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Meksyku;
- reportaż JOLANTY WRÓŃSKIEJ o ludziach, którzy mogli nie uczyć się żyć na trzeźwo;
- pierwszy fragment nowej powieści JACKA KRASKOWSKIEGO pod intrygującym tytułem „Sodom”, w której dwaj wysłannicy, Laurenty i Sylwester, przeżywają niezwykle przygody erotyczne. Znany krytyk Henryk Beręza zestawiał tę książkę z utworami Stanisława Ignacego Witkiewicza;
- szkice GRZEGORZA GAZDY na temat twórczości Witolda Gombrowicza oraz o dziesięciu najlepszych książkach 1980 roku;
- fotoreportaż GRZEGORZA GAŁASIŃSKIEGO z Prasowych Zakładów Graficznych, ukazujący kolejne fazy druku naszego tygodnika;
- opowieść wigilijną EUGENIUSA IWANICKIEGO;
- a poza tym: bardzo ciekawe teksty Romana Kubiaka, Edmunda Lewandowskiego, Bohdana Gadamskiego i Andrzeja Karolczaka zapowiedziane już w poprzednim numerze „Ogłosów”.

**W** akacje 1956 roku były gorące i burzliwe. 28 lipca zakończyły się obrady VII Plenum KC PZPR. Trwało ono — przypomnijmy — od 18 lipca z dwoma tylko dniami przerwy na obchody święta 22 Lipca. Nie opublikowano — poza referatem Edwarda Ochaby i Józefa Cyrankiewicza oraz uchwałą — żadnych materiałów. W gazetach ukazywały się jedynie komunikaty, o tym co poprzedniego dnia działo się w czasie kolejnych tury obrad i kto zabierał głos. Różnica zdań, jaka się ujawniła w toku obrad miała pozostać nieujawniona. Nie wszyscy się do tego zastosowali.

Po Polsce szybko rozeszła się wiadomość o podziałach, jakie powstały w Komitecie Centralnym PZPR, a także w jego kierownictwie. Powtarzano nazwiska Gomulki, domagając się wyjaśnienia jego „sprawy” oraz powrotu Władysława Gomułka do władzy. Legitymację partijną po VII Plenum KC PZPR zwrócono mu 2 sierpnia 1956 roku. Wiadomość o tym opublikowała „Trybuna Ludu” 5 sierpnia.

Zasadnicze pytanie tamtego czasu brzmiało: — Jak wyjść z kryzysu? Ale ludzie — jak to zwykle bywa — bardziej interesowali się tym, kto jest przeciw wychodzeniu z kryzysu, kto chce hamować niezbędny postęp? Plotkom i domysłom nie było wówczas końca. I im wyraźniej utrzymywało się w społecznej świadomości przekonanie, że po poznańskich wypadkach z 28 i 20 czerwca i po uchwałach VII Plenum KC PZPR zmiany linii w polityce partii nie da się uniknąć, tym ostrzej zwracano się przeciw tym, którzy mieli inne zdania i albo nie rozumieli konieczności dokonania zmian, albo zmiany te widzieli w bardzo ograniczonym zakresie.

## BYŁ TO CZAS WIECÓW

zebrań Instancji partyjnych, organizacji, narad, konferencji, czas podejmowania rezolucji, apelowania, wysyłania listów. Coraz częściej domagano się, aby Władysław Gomułka publicznie przedstawił swoje poglądy i swoją ocenę sytuacji. Podziały w partii stały się już widoczne i wpływały niekorzystnie na sytuację. Oskarżano polityków o wykazywanie tendencji nacjonalistycznych, antysyemickich, antyinteligencyjnych. Protestowano przeciwko temu w partyjnych dokumentach.

9 października 1956 roku odbyło się posiedzenie Komitetu Łódzkiego PZPR. 12 października „Głos Robotniczy” opublikował „Uchwałę KL PZPR w sprawie rozwoju demokracji robotniczej w zakładach pracy i zadań łódzkiej organizacji partyjnej w świetle uchwał VII Plenum KC PZPR”. W uchwale tej czytamy między innymi:

„Plenum wypowiedziało się przeciwko wszelkim szkodliwym teoriom i koncepcjom, których celem jest wypaczenie istoty procesu demokratyzacji. Plenum uważa za szczególnie szkodliwe poglądy, że klasa robotnicza nie dojrzała do tego, aby stać się gospodarzem zakładów i kraju, co ma uzasadniać rzekomo konieczność „dawkania” demokracji — a co w konsekwencji prowadzi do jej zahamowania.

„Nie mniej groźna jest koncepcja przypisująca klasie robotniczej zainteresowania wyłącznie konsumpcyjne i wysuwająca sąd wniosek, że podniesienie poziomu stopy życiowej zaspokaja wszystkie dążenia klasy robotniczej. Szkodliwe są także koncepcje, które sprowadzają istotę demokracji jedynie do swobody wyrażania poglądów, do „wygadania się” — i które zarazem negują konieczność stworzenia takich warunków, w których klasa robotnicza stanie się rzeczywistym gospodarzem kraju.

Jednocześnie Plenum stanowczo potępia wszelkie próby wbitnia klina między klasą robotniczą a inteligencją oraz wszelkie koncepcje o zabarwieniu nacjonalistycznym, które są obliczone na odciążenie uwagi mas pracujących od głównego problemu walki o demokratyzację życia społecznego i politycznego.

Znana wówczas w całym kraju była

## SPRAWA „GAZRURKI”

która po 30 latach odbiła się echem w „Polityce”. Przypomnieli ją w 21 numerze „Polityki” w artykule „Rehabilitacja” Zbysław Rykowski i Wiesław Władysław. Oparli się na relacji Romana Karsta z zebrania ZLP w Warszawie, który na tym zebraniu opowiadał o wypowiedzi Kazimierza Witaszewskiego w Łodzi, w zakładach Karola Scheiblera — dziś ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontext” — na temat jego stosunku do „pismaków”. Otóż Kazimierz Witaszewski miał według relacji Romana Karsta powiedzieć między innymi:

„(...) Panu Stonińskiemu i podobnym pismakom nie podoba się ten ustroj. Oni mają pogardę dla was, dla mas robotniczej. Jemu i innym pismakom nie podoba się to, że z Huty Lenin plynie stal. A my mówimy, że to wszystko, co zrobiono w naszym kraju jest dziełem rąk klasy robotniczej i tylko wy macie prawo sądzić o jego czystości. Gdyby taki np. Stoniński przyjechał tu, do Scheiblera to by musiał włożyć hełm strażacki, żeby mu głowa nie spuchła (...). Panuje wielki zamęt wśród inteligencji, wśród literatów i dziennikarzy. Oni są przyczyną zamętu w naszym kraju.”

Zbysław Rykowski i Wiesław Władysław przypominają, że do relacji Romana Karsta poprawkę wniósł Antoni Stoniński. Miał on wtedy powiedzieć: — Tam nie było, że gdybym się zjawiał to „głowa by mi spuchła”, tylko „głowa by spadła”. Otóż, gdyby był na tym zebraniu, na którym przemawiał tu. Witaszewski, to by głowa spuchła, ale powiedział o głowie, która by spadła to groźba trochę drastyczniejsza.

„Od tego momentu — dodają autorzy „Rehabilitacji” — do gen. Witaszewskiego przylgnęło przezwisko „gazerka”, a on sam stał się symbolem konserwizmu.”

Na artykule „Rehabilitacja” zareagował Kazimierz Witaszewski kłóty stwierdził w liście do „Polityki” — list ukazał się w numerze 27 z 5 lipca 1986 roku — że „treść zawarta w wypowiedzi p. R. Karsta jest niezgodna z prawdą, jest kłamliwa”. Kazimierz Witaszewski sugeruje, że nagonkę na niego aranżowali sekretarze KC PZPR: Jerzy Morawski, który w tym czasie był ponadto redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu” oraz Władysław Matwin. „atak na

moją osobę — stwierdza dalej Kazimierz Witaszewski — miał na celu szkalowanie i robiecie opinii wroga inteligencji i w ten sposób by utrudnić mi walkę z elementami wrogimi wobec partii i władzy ludowej...”

Kazimierz Witaszewski był znakomitym mówcą. Chyba w druzgiewki był 1966 roku odbyło się w ŁZPB im. Obrońców Pokoju spotkanie z okazji 30 rocznicy strajku włókiarzy z marca 1938 roku. Główne uroczystości odbyły się w Łodzi w marcu, a — to było spotkanie — jak pamiętam — z zalogą dawnego „Scheiblera”. Kazimierz Witaszewski był przed 30 laty robotnikiem w tej fabryce i był delegatem strajkujących. Spotkanie odbywało się w sali dyrekcyjnej przy ulicy Targowej. Sala ta miała wówczas krasnoludki wymalowane na suficie i inne sceny z bajek. Nie pasowało to do opowieści dramatycznej, opowieści o walce robotników o swoje prawa. Walce wówczas wygranej, ale przecież nie pomniejsza to jej dramatyczności. Kazimierz Witaszewski pięknie o tym opowiadał, ale dziś nie powtórzy tej opowieści. Natomiast, co do zapadło mi w pamięci, to... śpiew. Otóż kończąc swoją opowieść, zaczął śpiewać pieśń walczących przed 30 laty robo-

## LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# Final, ale i początek

ników. Zaspiewał jej fragment przed mikrofonem, stojąc jeszcze na mównicy, i zaczął iść do swego miejsca przy stole prezydialnemu cały czas śpiewając. Było to nietypowe, wzruszające i niezapomniane.

Wrócić jednak do listu do „Polityki” z lipca 1986 roku. W liście tym Kazimierz Witaszewski pisze dalej:

„...skrytykowałem pana Stonińskiego nie za jego twórczość lecz za jego credo polityczne, które wygłosił na naradzie w sprawach kultury mówiąc: „nasze 10-lecie jest mrokiem średniowiecza a średniowiecze sielanką”. A więc władza caratu, więzienia, Sybir, rozbiory Polski to sielanka? Taki pogląd może wygłosić tylko zgnity liberal, stary antykomunista”.

Kazimierz Witaszewski przyznał tu w tym liście, że Edward Ochab zwrócił mu uwagę, że: „niepotrzebnie użyłem mocnych określeń nawet w walce o jedność partii”.

Autorzy „Rehabilitacji” w odpowiedzi na list odrzucają posądzenie o nieprawdę relacji i stwierdzają:

„...K. Witaszewski powołuje się na swoje szlachetne intencje, nie dostrzega zaś konsekwencji, jakie wywołały jego słowa. Przecież uważany był wówczas za rzecznika tendencji politycznej odbieranej jako zagrożenie dla oświaty. Dla nas, historyków, ma znaczenie to, co było zamiarowe dla społecznego procesu przemian, a z niego incydentu z gazurką nie da się wyznaczyć”.

Podział kierownictwa partii był już faktem, o czym powszechnie wiadomo. Coraz silniej rozumiano też, że podzielone kierownictwo nie potrafi wprowadzić partii i kraju z głębokiego kryzysu.

## WIAZANO WIELKIE NADZIEJE Z OBRADAMI VIII PLENUM KC PZPR

Liczono, że powróci do władzy Władysław Gomułka. Oczekiwano na to. Do Komitetu Centralnego płynęły listy i rezolucje. Taką rezolucję podjęli też członkowie partii dziennikarzy „Głos Robotniczy”. Jej tekst opublikowano 21 października 1956 roku, a więc już w trzecim dniu obrad VIII Plenum KC PZPR. Pisał on między innymi:

„...jesteśmy przekonani, że VIII Plenum podejmie decyzję w takich nurtujących narod sprawach, jak formy i zakres demokracji robotniczej, dalszy kierunek przemian w życiu publicznym kraju, stosunki między partiami i partiami obozu socjalizmu, które winny być oparte na zasadach głębokiej przyjaźni i pełnej suwerenności.

Jesteśmy przekonani, że VIII Plenum wypowie się również w sprawie towarzyszy szermujących hasłami demagogicznymi i nacjonalistycznymi. Hasła te bowiem nie są do pogodzenia z ideologią naszej partii”.

VIII Plenum KC PZPR zebrało się 19 października 1956 roku, ale nie rozpoczęło obrad, gdyż do Warszawy przybyła niespodziewanie delegacja radziecka w składzie: Nikita Chruszczow, Łazarz Kaganowicz, Anastas Mikołaj i Władysław Molotow. Biuro Polityczne wraz z Władysławem Gomułką udało się do Belwederu na rozmowy, które przeciągnęły się do późnej nocy. Delegacja radziecka odleciała do Moskwy 20 października o godzinie 6.45. Obrady wznowiono o godzinie 11.00.

Wynikiem od samego początku — zgłoszona przez Artura Starewicza — sprawa ruchu wojsk radzieckich stacjonujących w Polsce. Po krótkiej wymianie zdań, dość zresztą chaotycznej, bo atmosfera była napięta, wystąpił marszałek Konstanty Rokossowski, który powiedział: „Rzeczywiście wojska radzieckie posuwały się. Przeprowadzali jessienie manewry na terenie, gdzie rozlokowana jest grupa wojsk radzieckich. Wojska te posuwały się w kierunku Bydgoszczy i Kujawki Łódzkiej. W związku z tym z polecenia Biura Politycznego zwróciliśmy się do Marszałka Koniewa, który kierował tymi ćwiczeniami, o to, żeby posuwanie się wojsk pół-

nocnej grupy na wschód zatrzymać i aby wróciły z powrotem do swych garnizonów stalego rozlokowania. To wszystkim, co ja wiem”.

Po wyjaśnieniu tej sprawy głos zabrał Władysław Gomułka. Było to na ówczesne czasy wstrząsające przemówienie. Wiele jego stwierdzeń nie straciło swego znaczenia do dziś. Gdy Helena Jaworska z fragmentami tego przemówienia zjawiała się na wiecu w Politechnice Warszawskiej i zaczęła je czytać „wieloletnieczna masa ludzi — zanotował Janusz Zabłocki — zamieniła się w słuch. Słuchałem i ja, i od pierwszych słów odczułem, że mamy do czynienia z wielkim historycznym wystąpieniem. Takim językiem nie mówił do nas do tej pory nikt. Była za tymi słowami jakaś jednoznaczna słuchaczy prawda i szczerota (...). Długo trwałoby czytanie przemówienia Gomułki, a gdy dobiegła końca sala przez dłuższą chwilę trwała w milczeniu, tak silne było wrażenie tego, co usłyszała”.

Władysław Gomułka powiedział wówczas między innymi:

„Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i mas pracujących darzyły zaufaniem swych przedstawicieli dzierżących ster

Zacząła się dyskusja po wystąpieniu Michaliny Tarkówny-Majkowskiej — I sekretarza KL PZPR. Występowali również młodzi ludzie, których nazwiska uszły uwadze sprawodawcy i dziś już są niekiedy nie do odtworzenia. Każdy z nich deklarował poparcie dla uchwał VIII Plenum KC PZPR i zgłaszał szereg różnych postulatów i żądań. Wysunął więc żądanie, że wszyscy oficerowie powinni być Polakami, że wojsko zawsze powinno być z partią i narodem — to student WAM, który też zadeklarował w imieniu swoich kolegów, że przekazał oni obligacje pożyczki narodowej na rzecz Skarbu Państwa.

W tym czasie do prezydium wiecu wpłynęła kartka następującej treści:

„Domagamy się przerwania procesów poznających w stosunku do robotników i studentów z wyjątkiem złodziei mienia publicznego...”

Prezydium poinformowało zebranych, że Prokurator Generalny podjął już taką decyzję — zostało to powitane burzą oklasków.

Padły krytyczne uwagi pod adresem prasy, że pracuje w stłumieniu, nie nadają, idzie w ogonie odnowy. W kilka dni po wiecu Zbigniew Chyliński próbował w „Głosie Robotniczym” odpowiadać na te zarzuty, ale była to przystawiona „musztarda po obiedzie”. Artykuł Zbigniewa Chylińskiego nosił tytuł: „Wypowiedź nie wypowiedziana”. Autor uzasadniał, że chciał zabrać głos na gorąco, na sali, ale było to niemożliwe. Atmosfera wiecu była rzeczywiście gorąca, nerwowa, zapalna. Lada moment mógł nastąpić wybuch.

Nie wymieniono w nazwiska student PWST — która była wówczas osobną uczelnią — donosił o bojkocie wykładów niektórych profesorów, z czym (rmp.) próbował w sprawozdaniu polemizować.

W wiecu uczestniczyli przedstawiciele FSO na Żeraniu, Zakładów im. Stefana Kasprzaka, Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Warszawskiego i Wojskowej Akademii Technicznej. Odczytano też treść listu Władysława Gomułki, do młodzieży łódzkiej.

Na podwyższeniu wszedł nieduży młodzieniec, którego przedstawiono jako studenta PWST. Sprawozdawca nie zanotował tego nazwiska. Był to Roman Polański. Omówił tylko jego słowa. Oto ten fragment sprawozdania:

„W bardzo dramatycznym i chyba nie na miejscu — ze względu na gorącą, napiętą atmosferę sali — wystąpieniu, skrytykował on działaczy zmieniających maski w zależności od sytuacji politycznej. Wyraził on też żal, iż nie wszystkie materiały XX Zjazdu zostały podane do szerokiej wiadomości drogą prasową”.

Nie wymieniono również w nazwiska student Politechniki Łódzkiej zażądał ustąpienia Wiktora Kłosiwicza i innych działaczy partyjnych, „których niedawno jeszcze występowało niezgodnie z linią partii”. Wiktora Kłosiwicza uważano za kierownika grupy natolińskiej, za głównego polityka, który hamuje odnowę. Wiktoria Kłosiwicza próbował na posiedzeniu ZG ZZ Pracowników Przemysłu Drzewnego i Terenowego polemizować z tymi zarzutami, co znów spotkało się z polemiką „Głosu Pracy” w numerze z 9 listopada 1956 roku. Od 16 do 18 listopada obradowała IX Plenum CRZZ, na którym Wiktoria Kłosiwicz przestał być przewodniczącym CRZZ, a funkcję tę objął Ignacy Łoga-Sowiński.

Pod koniec wiecu w hall „Wimy” zabrała jeszcze raz głos Michalina Tarkówna-Majkowska. Powiedziała ona:

— „Nie chcę bronić Komitetu Łódzkiego. Wydaje mi się, iż słuszne są zarzuty, że za słabo inspirowałam ruch młodzieżowy i robotników. Wyciągniemy z tego odpowiednie wnioski na przyszłość”.

Tak jej słowa zanotował (rmp.), który też zanotował, że jej przemówienie próbowało przerwać, ale zdecydowana większość widowni odpowiedziała na to skandowaniem słów: „Przez z prowokacją!”.

27 i 28 października 1956 roku obradował Komitet Łódzki. Referat wygłosił sekretarz KL — Karol Krajski. W dyskusji omówiono zadania, jakie czekały łódzką organizację partyjną w realizacji uchwał VIII Plenum KC PZPR. W skład Komitetu Łódzkiego dookooptowano sześć osób. Wśród nich; Edwarda Zusława, Stanisława Mojkowski, Zdzisława Grzelaka i Tadeusza Wrębiaka.

Na ogół uznaje się, że październik 1956 roku za przełom w ówczesnym kryzysie. Był to rzeczywisty moment przełomowy, ale zamykający jeden okres — narastanie kryzysu, otwierający jednocześnie drugi — wychodzenie z kryzysu.

„Dłuższy trwał proces wychodzenia z kryzysu i sprawności działania szeregów partyjnych — stwierdza „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej”. — Zapomną go dopiero III Zjazd, którego termin kilkakrotnie odkładany, przypadł ostatecznie na marzec 1959 r. Składnikami tego procesu były m.in.: weryfikacja szeregów partyjnych w 1958 r., walka z rewizjonizmem i dogmatyzmem oraz ich nosicielami”.

Wypracowaną na VIII i IX Plenum KC PZPR linię wcielano jednak niezbyt konsekwentnie, nie rozbito do końca sił rewizjonistycznych i dogmatycznych w partii, nie utrwalono w formie prawnej wielu innowacji, powoli — choć z bardzo różnych powodów — wycyfano się z niektórych październikowych zdobyczy. Ale październik 1956 roku pokazał, że można socjalizm budować inaczej niż robiono to do tej pory i linia ta pozwoliła na dalszy postęp w budownictwie socjalizmu, zapewniła na kilka lat stabilizację, choć i w tym okresie nie uniknięto błędów.

Jeśli dziś zastanawiamy się nad tym, jak było, to przede wszystkim dlatego, aby widzieć ciągłość w socjalistycznym budownictwie i stale poszukiwać lepszych sposobów dla uniknięcia błędów. Aby unieść zapobiegać kryzysom, a nie wychodzić z nich niemal cyklicznie. Zrozumieć przeszłość, aby lepiej rozumieć teraźniejszość.

# Komu nagroda „Odgłosów”?

Wypowiada się prof. ZYGMUNT GZELLA, rektor Akademii Muzycznej w Łodzi

— Wypowiem się tylko o tego rodzaju działalności kulturalnej, która dotyczy węższego rozumienia kultury, a mianowicie kultury artystycznej.

Pojęcie nagrody kojarzy się z pojęciem kariery, a obydwa to sprawiedliwość. Otóż byłoby słuszne, gdyby nagrodę otrzymywali ludzie, którzy w swej pracy osiągnęli wyniki znacznie odbiegające od przeciętnej. Jest to, moim zdaniem, kryterium pierwsze.

Osiąganie wyników nieprzeciętnych zależy od wielu czynników, ale, jak mawiał Paderewski, swoje powodzenie zawdzięczał on w 10 proc. talentowi, a w 90 proc. pracy. A więc przy nagradzaniu uwzględniać też większy nakład pracy. To drugie kryterium. I od razu podam przykłady. Otóż docent Henryk Blacha, który ostatnio zdobył złoty medal na festiwalu chórow w Katowicach, ze swym chórem Liceum Muzycznego w Łodzi, osiąga swoje znakomite wyniki nie tylko dzięki wybitnym uzdolnieniom własnym i swoich chórzystów, ale ogromnej liczbie ciężkich prób.

Kryterium trzecie — to działalność w ruchu kulturalnym na zasadzie pracy społecznej. Tu mógłbym wskazać przykład docenta Mirosława Pietkiewicza, który ćwierć wieku temu zapoczątkował w Łodzi koncerty organowe. Obecne „Dni muzyki organowej i oratoryjnej” — impreza łódzkiej filharmonii, mają swoje źródło właśnie w jego pionierskiej działalności. Wiem, że doc. Pietkiewicz poszukuje coraz to nowych form i terenów działania.

I wreszcie kryterium czwarte — wybitna działalność wykraczająca znacznie poza zakres tzw. obowiązków służbowych, za które otrzymuje się przeciętne pobory.

Tu chciałbym wskazać na osobę dyrektora Zdzisława Szostaka, który de facto od początku lat siedemdziesiątych sprawował kierownictwo artystyczne filharmonii, nie będąc de iure jej kierownikiem artystycznym, lecz jego zastępcą. Ile mu zawdzięcza kultura muzyczna Łodzi, wiedzą dobrze wszyscy melomani.

Nie należy też zapominać o tych co budują podstawy kultury artystycznej, o nauczycielach muzyki, plastyki, a także języka polskiego w szkółce ogólnokształcącej. Ich wyniki rzadko jawią się nam w postaci spektakularnych osiągnięć, chociaż bywają i „Olimpiady muzyczne” i wystawy młodych artystów, i konkursy recytatorskie, które są owocem działań grona zaangażowanych ludzi.

Do tej kategorii zaliczyłbym też zasłużonych pedagogów akademickich, którzy wykształcili kadry działaczy kulturalnych. Ot choćby prof. Mieczysław Kacperczyk — twórca i długoletni dziekan Wydziału Wychowania Muzycznego naszej uczelni, czy prof. Józef Karol Lasocki, długoletni prezes Ludowego Instytutu Muzycznego, Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego i redaktor „Poradnika muzycznego”.

Mówiliśmy tu sporo o działaniach praktycznych, powiedzmy też o biegunie przeciwnym — o teorii sztuki, uprawianej nie tylko w uczelniach artystycznych, lecz także na uniwersytecie, gdzie mamy wybitnych specjalistów różnych dziedzin sztuki, z najbardziej znanym przedstawicielem filozofii w Łodzi, kierownikiem katedry estetyki UŁ, prof. Tadeuszem Pawłowskim, autorem wielu cennych prac, których znaczenie wybiega poza nasze miasto i poza nasz kraj.

W każdej dziedzinie sztuki, na różnych płaszczyznach działania nie brak u nas ludzi zasługujących na nagrodę za upowszechnianie kultury.

Od pewnego czasu publikujemy wypowiedzi ludzi związanych z kulturą na temat nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1980 roku. Wyraźnie to podkreślamy, że chodzi nam o dorobek kulturalny osiągnięty w 1980 roku, a nie o tak zwany całokształt pracy. Chcemy bowiem premiować konkretne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury. Osiągnięcia, które miały miejsce w 1980 roku.

Z całą świadomością termin nadsyłania zgłoszeń przesunęliśmy do 31 stycznia 1987 roku. Już nadeszły pierwsze zgłoszenia. Czasu wcale nie jest tak dużo. Dobiać końca roku 1986. Można się więc rozstrzeżać w dorobku ludzi upowszechniających kulturę, zastanowić się, napisać uzasadnienie i przesłać je pod adresem: redakcja tygodnika „Odgłosy”, 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5. Konieczne są wyczerpujące uzasadnienia pisemne. Jeśli takich nie będzie jury może ich zażądać, a jeśli ich nie otrzyma, może kandydaturę oddalić, jako że nie spełnia wymagań „Regulaminu”. Tekst „Regulaminu” drukowaliśmy w 45 numerze „Odgłosów”.

Do końca stycznia 1987 roku będziemy publikowali wypowiedzi na temat tego, komu przyznać nagrodę „Odgłosów”. Wypowiedzi te powinny pozwolić zorientować się Czytelnikom w poglądach ludzi zajmujących się kulturą, nie stanowią jednak wniosku o przyznaniu nagrody „Odgłosów”. Wniosek taki musi być oddzielnie sformułowany i uzasadniony. Szczególnie ważne jest uzasadnienie, gdyż ono pozwala jury na dalszą pracę nad nadesłanymi wnioskami.

Podobnie jak w poprzednim roku nie będziemy publikowali listy zgłoszeń. Nagroda jest jedna, a zgłoszeń wiele. Ci, którzy nie otrzymają jej w tym roku, mogą przeciw kandydować w przyszłym. Wszystkim życzymy powodzenia!

REDAKCJA

wej i inne wskazane podmioty jako „zasłona” czy „tarcza ochronna” uniemożliwiająca działanie rzecznika. Dziwi przy tym dlaczego osoba, o której mówi się, że będzie posiadać tak duży autorytet i zaufanie społeczne, nie będzie mogła rozpatrywać spraw i korzystać z akt i dokumentów zawierających wiadomości stanowiące tajemnicę państwową. Mając do nich dostęp, rzecznik nie będzie zwolniony przecież z zakazu jej ujawniania. Zbyt dużą swobodę interpretacyjną pozostawia również moim zdaniem kryterium „bezpieczeństwa państwa”. Należy się też w ogóle zastanowić, czy przy wysokiej randze tego urzędu, wyłączenia takie powinny mieć miejsce.

Proponowany zakres zadań rzecznika może prowadzić do wniosku, że będzie to obok sądów, prokuratury czy NIK jeszcze jeden organ kontroli w państwie stojący na straży praw obywatelskich, a tym samym dublujący ich uprawnienia. Podkreślają to przede wszystkim przeciwnicy idei utworzenia tego urzędu. Z poglądem takim nie można się zgodzić. Zadaniem wskazanych tutaj przykładowo organów jest bowiem przede wszystkim przeprowadzanie kontroli z punktu widzenia zgodności z prawem, a więc legalności. W praktyce zdarza się jednak często, że wprawdzie nie została naru-

wypępować w charakterze równorzędnego partnera dla każdego organu administracji państwowej i instytucji publicznej. Stąd też jedynie słusznym wydaje się być jego silne powiązanie z Sejmem jako najwyższym przedstawicielskim organem władzy państwowej. Związek ten powinien kształtować się poprzez powoływanie rzecznika przez Sejm na okres swojej kadencji, a w uzasadnionych wypadkach także odwoływanie w trakcie trwania kadencji, regularnie (np. raz do roku) przyjmowanie sprawozdań z działalności oraz ścisłą bieżącą współpracą ze wszystkimi organami Sejmu, w tym przede wszystkim z Komisją Skarg i Wniosków. Każde inne rozwiązanie osłabia w moim przekonaniu znaczenie i rangę tego urzędu, a przede wszystkim ogranicza możliwość jego skutecznej interwencji w urzędach centralnych. Tworzenie natomiast oprócz rzecznika krajowego również wielu rzeczników „terenowych” spowoduje zupełnie niepotrzebne zburokratyzowanie tej instytucji i w konsekwencji zmniejszenie sprawności i efektywności podejmowanych działań. Mało prawdopodobną jest bowiem możliwość skutecznych bezpośrednich interwencji rzeczników „wojewódzkich” np. w ministerstwach.

Za proponowanym przeze mnie rozwiązaniem

KRZYSZTOF SKOTNICKI

## Rzecznik praw obywatelskich — polski ombudsmen

rząd wybieranego przez Rikstag (parlament) Justitieombudsmanna (rzecznika praworządności). Przez 176 lat urząd ten przeszedł znaczną ewolucję, a przede wszystkim „rozwórzył się”. Obecnie jest bowiem czterech rzeczników, z których jeden jest szefem rządu — dyrektorem administracyjnym i koordynuje poczynaniami pozostałych. Łącznie nadzorują przestrzeganie prawa przez wszystkie organy administracji rządowej i samorządowej oraz sądy i wszystkie osoby wykonujące funkcje publiczne. Uwagę zwraca ich nadzór nad policją i administracją wojskową.

Drugim państwem na świecie, w którym miało miejsce ustanowienie instytucji ombudsmena była Finlandia, która uczyniła to w swojej Konstytucji z 1919 roku. Popularność instytucji rzecznika wzrasta w świecie szczególnie jednak dopiero w ciągu ostatnich dwudziestu — trzydziestu lat. Obecnie rzecznicy praw obywatelskich działają w około 40 państwach i to nie tylko w Europie, ale i na innych kontynentach (np. w Kanadzie, w Ameryce Północnej, Nowej Zelandii, w Australii czy w Tanzanii w Afryce). Zwraca przy tym uwagę fakt, iż czasami urząd ten wrowodowany jest początkowo tylko na pewien okres, jakby na próbę, by następnie zostać na stałe wmontowanym w system polityczno-prawny danego kraju. Tak było w przypadku Austrii, w której Volksanwaltschaft pojawił się w 1977 r. na 6 lat, zaś już w 1981 r. został wprowadzony do konstytucji. Wśród państw socjalistycznych instytucja ombudsmena znana jest tylko w Jugosławii, w której nosi nazwę „społecznego rzecznika samorządu”.

Koncepcja utworzenia urzędu rzecznika praw obywatelskich w Polsce zrodziła się stosunkowo niedawno, chociaż zainteresowania tą instytucją ze strony doktryny sięgają już wielu lat. Upatruje się w niej bowiem kolejnej, obok Naczelnego Sądu Administracyjnego, Trybunału Stanu oraz Trybunału Konstytucyjnego, nowej instytucjonalnej gwarancji praworządności i przestrzegania praw obywatelskich. W wprowadzeniu do Zasad podkreślone jest wyraźnie, że jej ustanowienie:

„Powołano zapewnić wzrost skuteczności ochrony praw obywateli oraz praworządności działania organów państwa i innych państwowych jednostek organizacyjnych oraz organizacji społecznych, związkowych, samorządowych i spółdzielczych”.

Po raz pierwszy idea utworzenia urzędu rzecznika praw obywatelskich pojawiła się w Polsce w uchwałach XII Kongresu SD z 1981 roku. Szczególnie znaczenie ma jednak jej umieszczenie w dokumentach programowych I Kongresu PRON sprzed trzech lat (używano wówczas nazwy „strażnik praw obywatelskich”). Ruchowi temu, a przede wszystkim jego Komisji Prawodawstwa i Praworządności Rady Krajowej, przypisać też należy opracowanie pierwszych koncepcji i założeń tego urzędu. Inicjatywa PRON znalazła następnie poparcie X Zjazdu PZPR. Miało to miejsce zarówno w wystąpieniu generała Wojciecha Jarużelskiego w referacie Biura Politycznego KC PZPR, jak i w uchwale Zjazdu, w której czytamy m. in.:

„podjęcia wymagają również propozycje społecznych rzeczników praw obywatelskich”. W trakcie opracowywania Założeń koncepcji rzecznika praw obywatelskich najbardziej dyskusyjnymi okazały się kwestie organizacyjne. Znalazło to wyraz w wariantowości proponowanych rozwiązań. Postulowane są: utworzenie rzecznika praw obywatelskich w każdym z 49 województw (wariant A), bądź też powołanie łącznie z nim rzecznika krajowego na szczeblu centralnym (wariant B). Pomijając zatem inne możliwości, takie jak np. utworzenie tego urzędu również na podstawowym szczeblu podziału administracyjno-terytorialnego państwa, czy też wyłączenie jednego rzecznika praw obywatelskich, obejmującego swym działaniem obszar całego kraju.

Szczególnie interesująca wydaje się być ta ostatnia propozycja. Rzecznik powinien bowiem posiadać bardzo silną pozycję w stosunku do całego aparatu państwowego, aby móc

przemawiają również pozytywne doświadczenia funkcjonowania urzędu rzecznika w innych krajach, w których działa on wyłącznie na szczeblu ogólnopaństwowym. Ich tworzenie na różnych szczeblach jest bowiem charakterystycznym — ogół tylko dla państw federalnych (np. Austria i Jugosławia), przy czym i tam nie jest to przeprowadzane z pełną konsekwencją.

Zupełnie innym zagadnieniem jest natomiast kwestia, czy rzecznik praw obywatelskich powinien być urzędem jednoosobowym czy kolegiatnym. W świecie występuje w tym wypadku pewna różnorodność. Jednoosobowym urząd ten jest np. we Francji czy w Nowej Zelandii. Dla większej skuteczności działalności rzecznika bardziej interesującymi wydaje się być jednak rozwiązania, w których urząd ten tworzy grupa 3—4 osób, jak ma to miejsce np. w Austrii czy Szwecji. Pozwala to na dokonanie między nie podziału kompetencji opartego o kryterium rzeczowe. Wartym rozpatrzenia do zastosowania w Polsce wydaje się również rozwiązanie fińskie, w którym rzecznik ma swojego pomocnika; obydwaj wybierani są przez parlament na przemian co dwa lata na czteroletnią kadencję, co pozwala na ciągłość działania urzędu.

Dla wykonywania swoich zadań rzecznik powinien dysponować niezbyt licznym, wyspecjalizowanym sztabem fachowców, w tym głównie prawników. Zespół ten powinien dokonywać wstępnej analizy i opiniowania wpływających od obywateli oraz z innych źródeł skarg, oczywiście bez prawa podejmowania ostatecznych decyzji. Obawiam się jednak, że przy koncepcji utworzenia 49 rzeczników praw obywatelskich na szczeblu wojewódzkim, zaistnieją poważne trudności ze skompletowaniem takiego aparatu na odpowiednim wysokim poziomie merytorycznym, gwarantującym należyte wykonanie tych funkcji. Występujące w szeregu województwach duże kłopoty kadrowe są bowiem powszechnie znane, a przecież z rzecznikami nie mogą współpracować na stałe ludzie przypadkowi. W konsekwencji będzie to bowiem prowadzić do obniżenia rangi i autorytetu urzędu rzecznika praw obywatelskich. Wydaje się dlatego, że w toczącej się dyskusji i ten element powinien być brany pod uwagę.

O tym, czy rzecznik praw obywatelskich będzie organem, który spełni pokładane w tej instytucji nadzieje i oczekiwania społeczeństwa, zdecydować jednak niewątpliwie nie system organizacyjny urzędu, lecz zakres zadań i środków działania, w jakie zostanie wyposażony. W Założeniach proponowane jest, aby rzecznik przede wszystkim chronił: „indywidualnych praw obywateli w sprawach załatwianych bądź rozstrzyganych na wszystkich szczeblach przez:

- organy administracji państwowej,
- sądy, organy prokuratury, kolegia do spraw wykrójeń, organy MO,
- inne państwowe jednostki organizacyjne,
- organizacje społeczne, związkowe, samorządowe i spółdzielcze” oraz występował: „gdy rażąco naruszone zostały zbiorowe interesy obywateli”.

Założenia nie precyzują więc czy ochronie podlegają prawa obywatelskie, dla których podstawą stanowi wyłącznie wewnętrzny porządek prawny, czy również te wynikające z ratyfikowanych przez Polskę aktów prawa międzynarodowego. Uważam, że jedynie słusznym będzie w tym wypadku szerokie podejście do tej kwestii.

Przyszła regulacja prawna powinna również szczegółowo określić wyjątki, kiedy rzecznik nie będzie mógł wkroczyć z interwencją. Propozycje przedstawione w Założeniach są bowiem w moim przekonaniu zbyt mało precyzyjne wskazując:

- „sprawy objęte tajemnicą państwową,
- sprawy dotyczące obronności i sił zbrojnych oraz bezpieczeństwa państwa,
- rozstrzygnięcia podejmowane w ramach zasady niezawisłości”.

W wielu sytuacjach może to być wykorzystywane przez organy administracji państwo-



**D**o Anglii można wybrać się z Warszawy samolotem i już po dwóch godzinach wylądować na Heathrow, można przez Rotterdam dopłynąć „Stefanem Batorym”, a można także polskim statkiem handlowym MS „Inowrocław”. Ze w Łodzi o tej ostatniej możliwości nie wszyscy wiedzą, najlepiej świadczyliby popłoch, jaki we wszystkich oddziałach Orbiu i w PZM wywołała moja prośba o rezerwację biletu. Panią w popłochu grupowały się, gdzieś wydzwaniały, rozkładały bezradnie ręce i wyraźnie miały mnie dosyć, razem z jakimś tam „Inowrocławiem”. Nie wysłano mnie jednak do wszystkich diabłów, ale tylko do Szczecina, bo „Inowrocław” ma na rufie wypisany właśnie ten port macierzysty.

Bilet można kupić w Warszawie, w PLO. Nie jest drogi, a podróż do Anglii zajmuje dwa dni. Najpierw trzeba odnaleźć gdyńskie nadbrzeże kontenerowe, co wcale nie jest takie proste. Potem zgłosić się do budynku, na którym dumnie prężą się litery napisu: „Terminal kontenerowy”.

— Proszę przyjść nie o 11.00, jak głosi informacja umieszczona na bilecie, ale o 13.00 — powiedział celnik. Zdjął czapkę z głowy, o-tarł rękawem spoczone czoło i spojrzal mi z wyrzutem głęboko w oczy.

## ZAJRZAŁEM DO SALI ODPRAW

Kilku ludzi w szarych mundurach kręciło się zaafetowanych, z plikiem kartek w dłoniach, między stertami pudeł, paczek, kartonów, z sokami, owocami i wszelkim dobrem, jakie spracowany marynarz przywozi rodzinie do domu. Odprawiono załogę statku, który właśnie przybił do nadbrzeża.

Wreszcie nasza kolej. Dwanaścioro pasażerów. Bo tyle „Inowrocław” zabiera na pokład. — Czasem zabieramy czterysta i piętnastu — powiedział mi już na morzu ochmistrz — przyjdzie taka sierota, narzeka, że nie może zostać, bo mu Anglicy nie przedłużyli wizy, to płynie z nami.

Większość pasażerów stanowią kobiety. Ciężkie okrycia mają chronić je przed listopadowymi chłodami.

Ciężkie są też walizy. Panie posapują dzielnie i tłumaczą celnikom, że te cztery kilogramy kielbasy, to załedwie na kolację. I to skromna. Celnik jest nieublagny.

— Można dwa, to dwa — ucina dyskusję. — Mam pisać kwit?

— Ale ile tego wyjdzie? — posapuje głęboko dotknięta dama.

— No, jak się to całe jedzenie policzy, to jakieś dwadzieścia tysięcy — odpowiada urzędnik.

Kielbasa ładuje w torbie, którą ma odpro-wadzać na terminal przezornie zabrał ze sobą.

Jeszcze tylko Polka, która od czterdziestu lat przebywa w Anglii. Bagaż ze stojącej przed urzędem „Hondy” wędruje naład celniczą.

— Co to jest?

— Tu? — dziwi się dama — wódka.

— A tu? — palec wycelowany jest w rząd grzeźniczek stojących papierowych toreb.

— Tu jest wiśnióweczka, tutaj orzechóweczka, tutaj wódka własnej roboty.

— Znaczący się bimber — czapka urzędowa coraz bardziej zsunęta na tył urzędowej głowy.

— Nie żaden bimber — dama jest oburzona — to trojanka litewska.

Celnik załamał się wreszcie, gdy wziął do ręki trzeci z kolei taki sam opakowany elegancko szarym papierem i porządnie przeważanym szalonym sznurkiem, pakunek i trzeci raz usłyszał to samo: — To jest witraż. Ja bardzo lubię witraże.

## PODJEJŻDZAM DO STATKU

Mój „maluch” wywołuje sensację i przy 23-tonowych kontenerach wygląda niepoważnie. Natomiast zupełnie poważni są wopiel. Młode oczy uważnie przegladają samochód. Ples weszły podejrzliwie. Ale wszystko w porządku i chłopy z groźnymi pistoletami maszynowymi na plecach kręcą głową z podziwem nad pojemnością małych fiatów.

— Czego szukacie? — pytam ostrożnie, bo a nuż ofukną mnie z góry służbowych przepisów. Chwila wahania i jeden odpowiada.

— Narkotyków — i po dłuższej chwili dodaje — bo człowiek to by pan już tam nie zmieścił.

Wspinaczka po trapie, licznych schodach, i jestem już na najwyższym, pasażerskim pokładzie.

— Halo — zaskakuje mnie entuzjastyczne powitanie. Facet wypełnia całe wnętrze klubowego fotela. Wita mnie jak starego przyjaciela, Anglik.

— Przyjechaliśmy do Polski z darami dla szpitali — wyjaśnia straszny północnym dialektem, przez który z trudem mogę się przebić i złapać sens tego, co mówi. — Byłem u was pierwszy raz w życiu, ale na pewno nie ostatni. Było fantastycznie — wykrzykuje z zapalem.

— A co widziałeś?

— No, nie tak znówu dużo, bo musiałem cały czas pilotować kierownicę, bo przecież on drogi nie widział przy tym naszym odwrótnym ruchu.

— To chyba waszym — nieopacznie wymknęło mi się, ale nie doszło do poważniejszej wymiany zdań bo drzwi do salonu otworzyły się hukiem i wpadł nieduży pucołowaty chłopak, którego twarz była jednym wielkim uśmiechem.

— Jestem stewardem — przedstawił się — pokażę ci kabinę i oprowadzę po statku. Czuj się jak u siebie w domu.

Kabina dwuosobowa nie jest wprawdzie tak ogromna jak zapowiadała pani z PLO, ale, jak na wczas na morzu, wystarczy w zupełności. Łazienka, Przynic i toaleta. W razie kłopotu nie będzie z tym zbyt daleko.

## WRACAM DO SALONU

i z przemilnym Anglikiem i jego kumpłem kierownicą, niewysokim, szczupłym człowieczkiem o pociągłej twarzy, w okularach, zasiadamy przy piwie. Steward kapitański Włodek natychmiast zjawił się z paroma butelkami leżajskiego eks-

portowego. Anglicy nie bawili się w drobniaki! Każdy z nich kupił po dwa kartony piwa. Przez całą podróż leżeli na swoich kocykach, drzwi do kabiny mieli otwarte, bo dobrze jest widzieć, kto przechodzi korytarzem. Piwko tuż przy koi. Dla urozmaicenia parę butelek szampana na stoliku. Schodzili ze swoich legowisk tylko na posiłki.

— No, jak pierwsze wrażenia ze statku — zagaduje mnie pierwszy mechanik. Siedzimy razem przy stoliku i nawet nie zdajemy sobie sprawy z zaszczytu, jaki mnie spotkał. Dopiero potem jedna z pań, doświadczonych już podróżniczek, wyjaśniła mi, że przy moim stoliku siedzi kapitan, pierwszy mechanik, pierwszy oficer, ochmistrz i dwóch wybranych pasażerów.

— Na razie, to mam duże oczy ze zdziwienia — odpowiadam — nie jestem pierwszy raz na morzu, ale na statku handlowym po raz pierwszy.

— Już dawno byśmy wypłynęli, ale znów grzebią się na nadbrzeżu z wyładunkiem — mówi pierwszy mechanik. — Wie pan ich to nie obchodzi, że ja mam tylko dwa silniki i potem muszę całą noc naprzód, dogonić czas i w poniedziałek rano, żebyśmy się wściekli, to muszę być w Londynie. Potem Middlesborough,

## Do Anglii można samolotem i można statkiem, Marek Brzeziński wybrał się statkiem

# Przez Morze Północne do Londynu

pięć godzin postoju rozładunek — załadunek i z powrotem do Gdyni.

Wieczorem wychodzimy. Lampy jak na stadionie Widzewa. Oświetlają stocznio-wy- stek, na którym wre praca. Tam się pracuje dzień i noc: święta i piątek i naprawdę nie można zrozumieć dlaczego „Tychy” mają już kilka lat poślizgu. Światła portu początkowo silnie stopniowo słabną. Wreszcie przecinamy linie światła reflektorów oświetlających wejście do portu i wypływamy na Zatokę Gdańską. Coraz cięsza jasność brzegu rozmywa się w mroku i we mgłę.

## PO WYPŁYNIECIU NA MORZE

zaproszenie do salonu na kieszek koniaku.

— To taki zwyczaj tego statku — mówi ochmistrz witając pasażerów. — Chcielibyśmy państwa zapoznać ze statkiem i poinformować o niezbędnych krokach, gdyby zaszła konieczność użycia sprzętu ratunkowego.

Trzeci oficer prosi jedną z pasażerek, aby zademonstrować użycie pasa ratunkowego. Nieestety okazuje się, że tasiami są za krótkie.

— Damy radę — uspokaja pasażerkę po krótkiej szarpaninie trzeci oficer. Obydwoje są lekko zadyszani, ale w końcu udaje się.

— No tak, ale pan mówił, że należy się ciepło ubrać, a na płaszcz to już naprawdę nie da rady — martwi się pasażerka.

Czytamy instrukcję, jak należy zachować się na łodzi ratunkowej. Należy uzupełnić żelazne porcje złowionymi na wędkę rybkami. Wędkę znajdują się po obu burtach. Problem tylko w tym, że należy przedtem sprawdzić w „Atlasie ryb”, czy złowiliśmy rybę o trującej krwi, o trującej łusce, o trującym mięsie czy rybę jadła. „Atlasu ryb” w łodzi nie ma. Główną zasadą jest, że do łodzi mamy wsiąść najedzeni i napięci, a po wylądowaniu na bezludnej wyspie mamy zbudować sobie szałas, a w Arktyce konieczność igloo.

Zerkam na twarze pasażerów. Niektórzy wyglądają jakby już teraz rozmarzyli się o bezludnej wyspie w tropiku. Kandydatów do igloo nie widzę.

— Nasz statek to jednostka typu ro-ro — wyjaśnia ochmistrz — to znaczy roll on-roll off. Wszystkie da się na niego utoczyć i wytoczyć. Kontenery, samochody, inne ładunki. Stąd rufę ma taką, jakie są na promie. Opuszczana na nadbrzeże. Zbudowali go Finowie i chociaż w Gdyni nie wyglądał na kolosa, to jednak jest dużą jednostką. Zobaczycie państwo, gdy na Kanale Kilońskim staniami koło jakiejś innej jednostki. Nie jest to „Stefan Batory”, po którym państwo możecie swobodnie sobie spacerować, gdzie są organizowane wycieczki do maszynowni i opowiada się pasażerom różne koszałki-opalki. Nie ma też takich atrakcji jak na „Stefanie Batorym”, ale myślę że w kameralnej atmosferze miło spędzimy czas. Jest wido, sauna, kuchnia czynna całą dobę.

— To nie da się zejść do maszynowni — niedowierza pani, po której można poznać, że meżów, samochody i statki zmienia jak rękawiczki.

— Odradzałbym samotne wycieczki, bo jest to wycieczka karkołomna. Nielatwo znaleźć maszynownię, a i kłopotów można sobie napać. — Chyba, że ma się jakieś układy — pani jest nieustraszona. — W końcu pływano się już po prawie całym świecie.

Grzejemy w dłoniach kieliszki z koniakiem,

a ochmistrz opowiada o podróżach, w których brał udział. Poprzednio pływał do Nigerii.

— Od pewnego czasu, gdy skończyła im się hossa, to zawiązanie do Lagos może być niebezpieczne — zaczyna opowieść. — Nawet murzynscy robotnicy portowi po zapadnięciu zmroku zmykają czym prędzej do domów. Bandy grasują na całego i mają to do siebie, że najpierw strzelają a potem się pytają, czy masz coś cennego przy sobie. A cenne może być wszystko. Worek ziemniaków to wartość dwutygodniowej pensji. Jak tylko przychodzi któryś z ich urzędników, to od razu weszły po statku. „My musimy wszystko sprawdzić chie!” — mamrocze i lazi patrzeć co by tu można było zwał. Jak kiedyś przywieźliśmy im transport 20 ton maki, to mimo, że wszystkie kwity mieli podpisane i w porządku, to może z pięć ton trafiło do rąk odbiorcy rządowego. Resztę rozładowywano nocą na malutkie drewniane łódki, które podpływały z boku do burt. „Ma pan jakieś wątpliwości chie?” — zapytał mnie urzędnik dopilnowujący rozładunku. — „To jest ładunek nigeryjski i w nigeryjskim porcie, no nie? To możemy zrobić z nim co chcemy” — wyjaśniał przekładając z ręki do ręki rewolwer.

— Zgadza się.

— To nie lepiej te stare statki do polskich hut?

— Myślisz zbyt logicznie. To by było za proste. A poza tym brakuje acetyleny i tlenu do cięcia blach. No i stocznia, która się tym zajmowała zwinęła interes.

Idziemy z Andrzejem do maszynowni. Dla niego to normalna praca. Dla mnie frajda niebywała. Jedziemy cztery pietra windą na dół. A tam płatanina rury. Huk przeogromny. Smród spalin. Czuję się tak jakbym wsadził głowę do dieselskiego silnika. Wielkie tłoki pracują jak oszalałe.

— To są dwa silniki, a każdy ma po 7500 koni mechanicznych. — Andrzej przekrzykuje hałas. Idziemy wąskim przejściem, metalową kładką przerzuczoną nad jakimś warczącymi, syczącymi, stukającymi urządzeniami. Schodkami do góry, schodkami do dołu. Dwa potężne walce obracają się ze świstem. To śruby okretowe. — Pod nami jeszcze trzy metry zbiorników paliwa i dno statku.

Za szybą, zupełnie tak jakby to było w jakimś zakładzie energetycznym, siedzi na wachcie dyżurny mechanik. Wokół niego setki mrugających lampek, cienkie wazy wskaźników.

— Oni tutaj nawet nie wiedzą, czy jest dzień czy noc. Nawet jak jest sztorm to tutaj kiwa najmniej. W ogóle nie ma się wrażenia, że jesteśmy na statku.

Wychodzimy z trudem odsuwając ciężkie, metalowe drzwi.

— Ten statek jest wyjątkowy we flocie polskiej, bo posiada dwie oczyszczalnie — wyjaśnia dalej Andrzej — biologiczną i chemiczną. Do morza idzie prawie czysta woda. Tylko statki chodzące na liniach do USA mają oczyszczalnie, bo Amerykanie bardzo surowo tego przestrzegają i Cost Guards są niezwykle dociekliwi. Podpisaliśmy konwencję o ochronie morza przed zanieczyszczeniem, to musimy ją przestrzegać, ale tak między nami, to nawet trzydziści statków nie zanieczyści tak morza, jak jedno miasto wielkości Gdańska.

## BALTYK JEST ŁASKAWY

Płyniemy jak po stole. Pokład drży od pracy silników, ale nie kiwa.

— Jak na listopad to mamy duże szczęście — mówi Andrzej — dwa tygodnie temu był taki sztorm, że pasażerowie jeden po drugim odpadli i coraz bardziej bliżej schodzili na posilki.

Wieczorem, w szarówce, zbliżamy się do Kanalu Kilońskiego. Ruch jak na Piotrkowskiej. Wpływamy do służy. Na brzegu, nieskazitelnie czyste domki, wokół nich nadzwyczajnie zadbane ogródki. Na kei polery, na które zakłada się cumy pomalowane na różne kolory. Na pokład wchodzi pilot.

Koło nas przesuwa się jakiś odprany statek z Rostoku i nie lepiej wyglądający paliwowiec z Tromso w Norwegii. Miał rację ochmistrz. Mimo że są to duże statki, to przy „Inowrocławiu” wyglądają jak zabawki.

Ochmistrz opowiada o podróżach dookoła świata. Wyprawa na Nową Kaledonię czy na Fidżi staje się tak prostą jak podróż pociągiem podmiejskim do Gałkowska.

— Pływałem na liniach chińskich i to było i wielkie żarcie, i egzotyka. Pływałem dookoła Afryki i do Ameryki Południowej.

— Na polskich statkach?

— Na polskich i w pewnieście.

— ?

— Każdy chce pływać w pewnieście. To znaczy pod obcą banderą, i u obcego armatora. Składasz podanie. Czekasz w kolejce i jak przychodzi zapotrzebowanie na marynarzy w twojej specjalności to płyniesz. Trochę potrzeba szczęścia, trochę układów. Ale każdy chce i nie ma się temu co specjalnie dziwić. Wiecie, jaką mam tutaj podstawową pensję po 10 latach pracy.

— Nie.

— 12.500.— Pierwszy mechanik 15.000.— więc jak jest okazja popływać za dolary, to pływamy.

— Na jakich statkach jest najlepiej pływać?

— To różnie. Na przykład jeden mój znajomy pływał na arabskim. Arabia Saudyjska. Dobre pieniądze, ale przez cały czas nie ma mowy o alkoholu. Nawet piwa. Nie ma wlepszyny. Sam sobie gotował. Wytrzymał dwa lata.

— Ciężko jest pod obcymi rządami.

— Ciężko, ale przecież musisz zarobić na życie. Zresztą nie wszyscy wytrzymują, nie wszyscy mają fart. Znam takie dziewczyny, które poszły na „Greka” na Morze Karaibskie. Były stewardesami na polskim handlowcu, a u „Greka” dziewczyny do wszystkiego. W przelocie i doświadczeni. Siedziały cały czas pod pokładem, szorowały gary, obierały ziemniaki. Pływały po Morzu Karaibskim, a tak naprawdę, to nie wiedziały gdzie są. Co innego u Australijczyków. Po trzech tygodniach nieprzerwanego pobytu na morzu, masz zagwarantowaną i opłaconą przez armatora kilkudniową wypocznik w hotelu.

Późno w nocy wychodzimy z ochmistrzem na mostek kapitański. Wtedy mam możliwość poznania kapitana „Inowrocławia”, bo mimo że siedzimy przy tym samym stole w messie, to stewardzi ciągle znoszą niezapoczęte posiłki do kuchni. Kapitan jest cały czas na mostku. Nie wiem, kiedy śpi, kiedy je. Teraz przyglądam się jak razem z pilotami manewrują pomiędzy kolorowymi czapami bojek. W Kanale Kilońskim koncentracja musi być maksymalna.

Rano jesteśmy już na Morzu Północnym. Płyniemy szpalernem wzdłuż gęsto porostawianych, rzeźbicie oświetlonych platform wiertniczych. Za trzy godziny schowamy się za południowo-wschodnim krańcem Anglii, a o siódmej rano wpłyniemy na Tamizę.

— Ale to wymagałoby trochę inicjatywy.

— Jasne. Latwiej jest odklepywać stare schematy. Latwiej i bezpieczniej. A polski przemysł stoczniowy na tym cierpi.

— Mniej robimy statków?

— I do tego z poślizgami kilkuletnimi. A takie ogromne statki jak „Kasprowy Wierch”, który był ponad czterdzieści razy większy od „Inowrocławia”, już nie są budowane. I dobrze. On miał problemy, żeby wypłynąć na Zatokę Gdańską.

— I co się z nim stało?

— Poszedł na złom. Sprzedaliśmy go Chińczykom albo Japończykom.

— A my sami kupujemy złom do hut.

**Z**awsze miałem sentyment do hoteli. Do dziś urzeka mnie ich specyficzna atmosfera — ciszy, intymności, tajemniczości. Nosiłem się nawet z zamiarem napisania książki o łódzkich hotelach, które często bywały świadkiem wydarzeń historycznych, kulturalnych, i zostały uwiecznione w powieściach i poematach, a także w utworach o wątpliwej wartości literackiej.

Książce chciałem dać tytuł zapożyczony z romansu pisarki austriackiej Vicki Baum „Ludzie w hotelu”, a na razie (nie „półki co”, bo to paskudny nowotwór językowy) wzbogaciłem domowe archiwum zbieranymi skromnie informacjami i dyktirankami: o hotelach, co przetrwały do dziś, i o tych, po których zostały tylko wspomnienia.

Pierwszy skromniutki hotel w Łodzi znalazł swą siedzibę w ul. Piotrkowskiej 91, zajmując tylko jedno piętro z fron-

plując z boku: „Ni razu nie kupuła”.

Cukiernia hotelowa, Grand Cafe, to tradycyjne miejsce spotkań bohemy łódzkiej — ale to już późniejsze dzieje. Szościł się tu aktorzy, pisarze, muzycy, dziennikarze. Miejski upoważniający do rabatu przy placeniu za konsumpcję. Pamiętam, pół czarnej kosztowało 60 groszy. Dużo czy mało? Zależy jak na to popatrzeć. Była to równowartość piętnastu linijek wydrukowanego artykułu czy informacji, a stogramowa tabliczka „Jedyniej” pysznej czekolady firmy E. Wedel, kosztowała o pięć groszy więcej.

W Grand Hotelu gościł męstwo i stanął odwieczny Łódź, odbywały się tu doniosłe narady, a zaraz po zwolnieniu, gdy dopiero myślnie o odgruzowaniu Warszawy, reprezentacyjny hotel łódzki przyjął w gościnie progi przedstawicieli tworzonych ministerstw, central. W jednym z pokoiów mieszkał i urzędował

siły nabywczej pieniądza, nie było to zbyt wiele jak na taką inwestycję. Mniej więcej w tym samym czasie Jan Peterzilge wybudował „Dom pod Gutenbergiem” na Piotrkowskiej 86, by przenieść tam wydawaną przez siebie „Łódzki Zeitung” i choć jest to budynek zaledwie 4-piętrowy, kosztował go równo pół miliona.

Zapalczywy, ządrosny finansista z Wiednia, nie zastanawiał się długo nad lokalizacją. I wybrał jak można najgorzej: „Savoy” stał na wąskiej, ledwie przejezdnej uliczce bez skrawka zieleni w najbliższym sąsiedztwie, w nieefektywnym sąsiedztwie czynszowych kamienic, czym bynajmniej miasta nie ulepszył.

(...) I ten sterczący gupio „Savoy”, I wyfoczone przekupki, I szczył odwieczny „Muśkij portnoj. On-że madam i przerupki”. Julian Tuwim, „Łódź” „Savoy” zmieniła właściciel. Do września 1939 dzierżawił go

czło to na opędzenie kosztów, toteż właściciele „Victorii” postanowili szumnie zareklamować deficytowe przedsiębiorstwa, żeby ludzie walili tu drzwiami i oknami. Zadanie to powierzili pewnemu obrotowemu warszawianinowi. Zaprosili go na swój koszt do Łodzi, przydzielili mu pokój w hotelu i zapewnili wikt na jakiś czas, a także „twórcę” w spokoju wymsilił coś mądrego.

A oto plon jego wysiłków w postaci wierszyka, jaki był się ukazał w tygodniku... właśnie, w jakim? Za nic nie mogę sobie przypomnieć z czego przepisałem ten tasiecmowy elaborat. Z „Muchy”? A może z „Wolnej Myśli”? W każdym razie nie z „Wolnej Myśli-Wolnych Zartów”, bo pod tym zmienionym tytułem czasopismo to zaczęło później wychodzić.

Autor pisze, że „stał po pańsku w „Victoria” hotelu”, nadział odwieczny garnitur i poszedł coś przekaśić do hotelowej knajpki.

Zjadłem „warmerwurstli”, Palnąłem dwa piwa, Słucham... co u licha? Ktoś w hotelu śpiewa.

Teatr. Więc do Teatru: „Bilet, przyjacielu” I byłem na „Nitouche” W „Victoria” hotelu.

Zaraz po spektaklu Z Winklerem Marianem Dalszy rekonesans W grodzie bawelnianym.

W tejże restauracji Gdzie już we dnie byłem, Z filarami sztukiem, Noc całą spędziłem.

Wreszcie już nad ranem O cięśniu portfetu Znalazłem się w łózku. W „Victoria” hotelu.

Spałem niczym suset, Wybiła dwunasta... Zrywa się na nogi, Czas wielki do miasta.

Autor nie podpisał się pod swym utworem, a ja nie zanotowałem również daty numeru owego tygodnika. Jedno jest pewne: wiersz został napisany przed rokiem 1909, gdyż w maju owego roku prowadzony przez Aleksandra Zelwerowicza teatr „Victoria” padł pastwą pieleni, jaki więc byłby sens reklamowania czegoś, czego już nie ma?

Aktor-pogorzlecom, którzy z dnia na dzień zostali bez ubrań i pracy, na ogłoszony w prasie apel pospieszyli z pomocą ich koledzy z warszawskich i krakowskich teatrów. Dał oni kilka występów na rzecz poszkodowanych. Bilety w kasie Teatru Wielkiego na ul. Konstantynowskiej 14/16 (Obrońców Stalingradu), gdzie odbywały się przedstawienia, sprzedawali aktorzy, wśród nich Stefan Jaracz, a w wystawionym tam „Weselu” rolę Gospodarza grał Ludwik Solski.

Pożar — siła wyższa. Tu żadna reklama nie mogła pomóc teatrowi, na miejscu którego po trzech latach powstało kino „Czasoch” (dziś „Polonia”). Ale i hotelu wierszyk nie postawił na nogi, mimo tak natrętnej reklamy. Po krótkim czasie „Victoria” splajlowała i do jej powstania wprowadzili się stali lokatorzy.

A knajpka... knajpka ocalała. Zapisala się ona na trwałe w życiu kulturalnym miasta. Kiedy teatr jeszcze egzystował, czystym gościem knajpki był cenzor rosyjski Pietrow. Zaczęło się od tego, że gdy na deskach „Victorii” wystawiano „Wesele”, cenzor skreślił jako „niebлагонadiozna” scenę przedstawiającą wejście kosynierów. Ale Zelwerowicz uparł się, żeby tę scenę grać i na generalnej próbie, na chwilę przed pojawieniem się kosynierów, sekretarz teatru Włodzimierz Maliszewski wyciągnął Pietrowa do owej knajpki. Później cenzor już sam w odpowiednim momencie wymykał się tam z teatru — zawsze czekały nań butelczyna i „zakuski”.

Do knajpki, dzierżawionej później przez p. Szelkowiak, zachodził młodzuczek Julian Tuwim. Może to tam naprzeciwno Grand Hotelu zakiełkował w nim pomysły napisania „Parademarszu”? Miał to być oddzielny poemat, jednak poeta zrezygnował z tego zamiaru, napisał tylko fragment. Włączył go do „Kwiatów polskich”, na stronkach których z takim sentymentem wspomina swe rodzinnym miasto — ludzi, burzę dziejową, konflikty społeczne... i te dawne hotele łódzkie.



Mówi: Dorota Chrościelewska

— Co lubisz najbardziej? — Wydawać pieniądze. — Natychmiast go wypłacić? — Oczywiście. Do piątego chodzę i wydaję, co zostanie musi starczyć do dwudziestego, a później mąż dostaje, że jestem złą gospodynią.

— Jak to rozumiesz? — W domu jest co jeść i to za tanie pieniądze. — A na co głównie wydajesz? — Na kosmetyki, ciuchy, książki, jakieś idiotyzmy dla Joanny i na taksówki. — Nie lubisz jeździć tramwajem lub autobusem? — Nienawidzę. Nie mam poza tym czasu, aby godzinami czekać na tramwaj, do którego trudno się dostać. To mnie denerwuje.

— Co cię jeszcze denerwuje? — Totalny balagan. Góry śmieci na każdym osiedlu. Brudne kłafki schodowe. W naszym bloku też! I niemądre baby w kolejkach. — Dlaczego niemądre? — Bo stoja godzinami, nie wiadomo po co, zrobiły sobie świetlice z kolejek. Denerwują mnie też młode matki w kolejkach, które godzinami stoja z dziećmi.

— Ty nie stałaś? — Nigdy nie brałam Joanny do kolejk. Dziecko powinno iść z matką na spacer a nie do kolejki. Generalnie irytuje mnie bezmyślność. — Masz dom; męża, córkę i psa. Wynikają stąd obowiązki. Jaki masz do nich stosunek? — Nie noszę zmywania, choć nie staram się tej czynności zracjonalizować, jak to robi mój mąż.

— A co on robi? — Zmywa garnki tylko od wewnętrznej strony, bo — powlada — zewnętrzną się nie gotuje. Wracając do czynności domowych, nie noszę mydła zlewu, mycia okien i prasowania. Jeśli jeszcze udaje mi się coś umyć, to po wyprasowaniu koszula czy bluzka wygląda gorzej niż przed prasowaniem. — Zbliżają się święta, co z myciem okien? — Dzwonię po znajomych i pytam, czy będą w tym roku myć okna. Bo jak nie, to i ja nie. W grupie jest różnie. A ty będziesz myć okna?

— Doroto, to ja robię z tobą wywiad, a nie ty ze mną. Czy uważasz, że jesteś dobrą matką dla córki, żoną dla męża i panią dla psa? Czy udało ci się ich wychować? — Z Joanny jestem zadowolona. Jest miła, na swój sposób mądra. Po mnie odziedziczyła niechęć do zmywania, po tacie — zdolność do robienia balaganu. Jeśli założymy, że ja jestem dobrze wychowaną żoną, to Mirek jest dobrze wychowanym mężem. Poza tym nie wytrzymałabym z jakimś pedantem.

— A pies? — Pies jest ukochanym kundlem swojej pani, kiedy jest ze mną w domu. Gdy tylko wychodzimy na spacer robi się terierem na dół, a że na osiedlu nie ma dzików, to napada inne psy. Jestem z tego psa znana na osiedlu. Pies jest Płk, a ja Dama Płkowa. — Lubisz święta? — Święta tak. Ale nie przedświąteczne porządki. Lubię choinkę, prezenty.

— Dawał czy dostawał? — I jedno, i drugie. Wprawdzie tłumaczę Joannie, że na tę gwiazdkę dostanie taki niby-prezent, a prawdziwy dopiero na Nowy Rok, bo pieniądze przyjdą po gwiazdce, ale dziecko nie chce tego zrozumieć i domaga się z łyżwami. Nawet nie wiem, ile to kosztuje i czy można dostać. — Kim ty właściwie jesteś? Z naszej rozmowy wynika, że jesteś cholerną realistką, a przecież jesteś poetką liryczną, wydałaś 5 tomików wierszy i dwie powieści: „Wielcy artyści mojego pokolenia” i „Wino o smaku niezapomnianym”.

— Jak powiedział Norwid: poeta się bywa. Gdy wyłam poetką, jestem liryczna, sentymentalna, sympatyczna. Gdy nie bywam poetką, jestem osobą trzeźwo stąpającą po ziemi. — Ile w obu twoich powieściach autobiografii? — Zadna z bohaterów nie jest mna. — Ale opowiadają, że w powieści „Wielcy artyści mojego pokolenia” sportretowałaś środowisko, w którym pracujesz, to jest środowisko naukowców jednej z uczelni... — Wycofał to pytanie.

— Nie myła cię z Honoratą Chrościelewską? — Raz na spotkaniu autorskim zapytałem, gdzie moja siostra. Gdy powiedziała, że nie mam siostry, a Honorata, to moja mama, pytająca zdziwila się, że ona taka młoda. Mama powinna się z tego cieszyć. Ja mnie. — W twojej rodzinie wszyscy piszą: ojciec, mama, mąż i ty. Można z tym wytrzymać? — Nie chciałabym, aby Joanna pisała, bo to cholerna obciążenie. A nasze nieszczęście doadatkowo polega na tym, że każdy z nas pisze na własny rachunek, a niektórzy odbierają nas jako całość.

— Czy nie ma między wami rywalizacji? — Ponieważ każde z nas pisze, wie ile to kosztuje, więc nie ma już miejsca na bezinteresowną zawiść. Gdybyśmy jeszcze między sobą rywalizowali, to można byłoby zwirować. Cieszymy się, że komuś coś wyszło. — Pisujesz też felietony do „Expressu Ilustrowanego”. — Bawi mnie to i pozwala żyć normalnie już bez poezji. Sześć „ET” — Adam Lewaszkiewicz zapisał mnie poza tym punktualności i terminowości. Boję się go jak nikogo w życiu. — Wyobrażam sobie, że poetka, a już liryczna powinna miewać romans. Miewasz? — Nie mam ochoty, co nie znaczy, że nie miałabym czasu i okazji.

— Lubisz wielkie bale? — Najbardziej lubię bawić się prywatnie, w gronie dobranych przyjaciół. — A nie chciałabyś zatańczyć walca w pięknej, powłóczyście sukni, na lustrzanej sali? — Zatkalo mnie. A ty? — Co najbardziej cenisz u mężczyzn i kobiet? — U mężczyzn — opiekuńczość, u kobiet — serdeczność. — Wierzyś w przesady? — Nigdy niczego nie zaczynam w poniedziałek. Długów też tego dnia nie oddaję. — A w horoskopy? — Naturalnie. I sprawdza mi się, tylko na opak. Jak pisza, że „udany tydzień”, to u mnie świat się kończy. Szczególnie teraz przed świętami. Więc, co z tym myciem okien?

— Rozmawiała: BOGDA MADEJ

ADAM OCHOCKI

## Dawne hotele łódzkie

tu. Data powstania i nazwa tego przybytku uchowały w pomroce dziejów. Zachowały się natomiast nazwy innych: d'Angleterre (?), Ryski, Północny, Rzymski (gdzie Rzym, gdzie Krym?)... Rozlokowały się one w śródmieście — na Dzielnej (obecnie Narutowicza), Wschodniej, Zawadzkiej (Próchnika), na Sredniej (później Pomorska, obecnie Nowotki).

W mieście przed pierwszą wojną światową aż roilo się od takich hotelików, a w nich — od pluskiew i innego robactwa. Ale insekty nie odstraszały bywalców, zresztą nie zdążyły wydokuczyć. Goście przeważnie zbyt długo tu nie popasali — ot pół godziny, godzinę — w kolejce czekał już inny i inne. A jeśli ten inny przychodził solo, też mógł liczyć na miłe spędzenie czasu, bo zawsze pod ręką była jakaś inna inna.

Miała Łódź i inne hotele. Miało często odwiedzały bogaci kupcy z Kurskiej, Tombovskiej czy Omskiej gubernii. Przyjeżdżali po perkaliki, fanele, inletry: rynek imperium rosyjskiego, jak gąbka wodę, wchłaniał łódzkie tkaniny. Wśród tych hoteli z prawdziwego zdarzenia berio pierwszeństwa dzierżył zawsze Grand Hotel, któremu już za kilka miesięcy stuknie równo sto lat. I właśnie z „Grandem” wiąże się wiele doniosłych dla miasta i jego mieszkańców wydarzeń.

To tutaj w r. 1892 zainaugurował swą działalność chór „Lutnia”, jedna z pierwszych tego rodzaju placówek w Polsce. To tutaj dwa razy — w r. 1905 i 1921 — wstąpił do restauracji hotelowej głodujący bezrobotni i usunęli na ulicę jadających się frykasami gości. Tutaj przed budynkiem hotele zapłonęła pierwsza w mieście lampa elektryczna, a w 1918 załopotala pierwsza biało-czerwona flaga.

Grand Hotel przyciągał jedno z pierwszych kin łódzkie — „Mirage”, późniejsze Grand Kino. Chyba równocześnie na Piotrkowskiej 17, w nieistniejącym już na podwórzu budyneczku, otworzyło swe podwoje kino „Belle-Vue”. A jeśli to kogoś interesuje, w poprzedniej oficynie tejże posesji przyszedł na świat autor niniejszego tekstu.

W Grand Hotelu, gdy Łódź znajdowała się pod okupacją rosyjską, służbowe kwatery zajmowali wyżsi oficerowie carscy. Znalazł się wśród nich autentyczny książ gruziński w stopniu kapitana, a może nawet samego pułkownika. Książ dysponował apartamentem wyposażonym w łazienkę, będącą w owych czasach, nawet w hotelach pierwszej kategorii, szczytem komfortu. Po kilku miesiącach kniazia odwołano do Sankt Petersburga. Recepta wystawiona rachunek. Wyszczególniono wszystkie ponieszone: numer hotelowy, od sprzątnięcia, śniadania, pranie i kąpiele w łazience. Ostatnią pozycję gość skreślił zamazując tym pociągnięciem pióra, do-

Ignacy Loga-Sowiński, pierwszy pełnomocnik rządu w Łodzi.

Tutaj też zatrzymał się król tenorów Jan Kiepura, gdy przybył w r. 1959 do Łodzi na kilka koncertów. I choć panicznie stronił od fotoreporterów, pozwoili sfotografować się Henrykowi Smigaczowi, gdy ten przypomniał mistrzowi, jak to przed laty razem śpiewali w „Gianni Schicchi” w dziedzieli operze jednoaktowej. Na pamiątkowym zdjęciu i ja figuruję: odwidziłem Kiepurę, by go naklonić do wywiadu dla „Karuseli”. Jednak nie z tego nie wyszło. Może dlatego, że nie odspiewałem z mistrzem żadnej arii?

Ale wróćmy do początków istnienia Grand Hotelu. Należał on do spółki akcyjnej. Największy pakiet akcji skupili dwaj przemysłowcy wspólnicy — Heinzel i Kunitzer, od których fabrykę odkupił później Uszer Kon, niepodzielny do wojny władca „Widzewskiej Manufaktury”. Trochę akcji zgromadził przemysłowiec Ludwik Meyer. Ten dostąpił największego szczytu spośród wszystkich akcjonariuszy — imieniem jego nazwano sąsiadującą z „Grandem” uliczkę; dzisiejsza Stanisława Moniuszki to dawny Pasaż Meyera.

Po okupacji rosyjskiej w Grand Hotelu nastąpiła zmiana wachty. W pokojach hotelowych znowu rozgościli się sztabowcy — tym razem Niemcy. A w r. 1915 przed frontem budyneku odbyła się synna parada niemieckich batalionów przed przybyłym do Łodzi dostojnikiem wojskowym. O boku gościa kornie stanęli miejscowi dygnitarze z „krajskomendy miasta Łódź”.

Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi z trzaskiem parademarsz odchodzi.

Brodzaty landszturm, w lewo łby, A karłą linją za feldfeblem Wyruca sztywno i uparcie Podkute stopy. Trzeszy w trzęsieniu... Julian Tuwim, „Kwiaty polskie”.

Sławy Grand Hotelowi pozazdrościł wiedeński bankowiec Salomon Ringer. Postanowił wznieść w Łodzi hotel, który zcałm ekskluzywny „Grand”. Przede wszystkim musi górować nad nim o kilka pięter. Trzeba wiedzieć, że „Grand” był wówczas — a działo się to na początku bieżącego stulecia — o dwa piętra niższy niż obecnie, dopiero po pożarze podniesiono go w latach 1910—1911 do obecnej wysokości. A zatem — kilka pięter wyżej! Żądanie to p. Ringer zlecił architektovi z Warszawy Cynamonowi, a ten szarpnął się na 7-piętrowy „drapacz chmur”. Niech przechodnie zadzierają głowy i chmorkaja z podziwu! — cieszył się pan Salomon.

Budowa „Savoyu”, także miłośno otrzymał hotel, pochodził od właściciela Jerzy Urbankiewicz w „Sukiennicach nad Łódką” — 300 tysięcy wówczas. Mimo znacznej wówczas

Józef Palejewski, postać raczej nie znana, ale dla ścisłości przypominać to nazwisko.

W Łodzi egzystowało jeszcze kilka hoteli średniej klasy. Poza „Grandem” i „Savoyem” przetrwała do dziś tylko „Polonia” należąca przed wojną do braci Dobrzyńskich. Z mapy hotelowej miasta zniknął „Manteuffel” Józefa Petrykowskiego (Zachodnia 45), nie ma hotelu „Polskiego” (Piotrkowska 3), dzierżawionego przez Karola Bertholda, ani „Monopolu” przy ul. Zawadzkiej 7 (Próchnika).

Dzierżawcą „Monopolu” był p. Bernheim. Trzech znanych braci Bernheimów zostało w Łodzi. Dwaj pozostali — w branży gastronomicznej. Szoeł miał restaurację koszerną po nieparzystej stronie Piotrkowskiej, tuż za rogiem Piłsudskiego i Wieckowskiego, bodaj pod numerem 27. Często, przeważnie w piątki, wyskakivaliśmy tam z redakcją na tradycyjny czulent — duszone w oliu wołowym aż do brązowości kartofle, kawałki mięsa (obowiązkowo wołowego!), fasola jaskiek i gęsia szyszka nadziewana mąką z tłuszczem (garnek musiał być z lanego żelaza, całą noc drzemał w piecu piekarniczym). Delektowaliśmy się siekaną wtróbką (tę gęsią), a na deser — sztrudefem. Gdy czasu nie stawało, wpadałiśmy jak po ogniu do drugiego Bernheima, Hersza właściciela mieszczącego się w ławie „Republiki” baru à la Fourchette (Piotrkowska 62) i czekał tam na nas kanapki (tę kaszerne) i kufelki piwa.

I nie ma już hotelu Klukasa przy ul. Cegielnianej 34 (Jaracza), którego ostatnim właścicielem był potomek tego rodu, Fryderyk. Dzisiaj w pomieszczeniach dawnego hotelu funkcjonują agendy Uniwersytetu Łódzkiego. Hotel Klukasa, podobnie jak „Grand”, utrzymał Tuwim w „Kwiatkach polskich”. W latach siedemdziesiątych minłego stulecia w drodze z Paryża do Petersburga, zatrzymał się tu genialny aktor murzyński, Ira Aldridge, niezrównany odtwórca Otalla i innych postaci tragedii Szekspirowskich. Artysta miał trzy razy wystąpić przed łódzką publicznością w teatrze „Parady” na Piotrkowskiej 175a. Zagrał tylko raz: po pierwszym przedstawieniu zakończył życie.

W tymże hotelu poeta ułokował bohaterkę swego poematu pokojówkę, ukochaną ogrodnika-leguna Ignacego Dziewierskiego (...u „Klukasa”, tam gdzie pan Ignasz poznał swoją Andzię).

No i wreszcie hotel, a właściwie, jak byśmy to dziś nazwali, kombinat hotelowo-rozrywkowo-gastronomiczny pod wspólną nazwą „Victoria”, na wspólniej posesji przy ul. Piotrkowskiej 67. Hotel zajmował front budyneku, teatr grał w głębi podwórza, a hotelowa knajpka karmila i polła gości w oficynie.

Hotel i teatr robiły bokami, interes zdecydowanie kulał. Tylko knajpka przynosiła jakieś takie dochody, ale nie wystar-



W kroplistym pocie czoła w suchości spierzchniętych warg w strachu przenikającym do szpiku kości w chwytaniu brzytwy przez tonącego w tym ciągłym nie do życia nie do wytrzymania w każdej chwili nie do stracenia czoła na ciebie ta stara złodziejka nigdy dotąd nie złapaną za rękę



Bez próby w marszu w rozwartości ramion chodnikowej płyty w olejnej obłędzie ścian w opór wymykającej się z dłoni klamki z ciężarem życia wienicowym bólem rozsypując się w proch z którego powstała w który się obróciła poszerzając obszar pytań bez najmniejszych szans na odpowiedź



A ona przyjdzie Bóg wie skąd wejdzie ukradkiem i światło zapali nagle piospiewnym wstępnym na most na główny dworzec z tej najdalszej dali

A ty jak dowiec śmiechu wart zatoczyć kolo nim się skryjesz w mrokach nareszcie wolny jak odkryty ład na nią szary jak pociąg jak odjazd na odjazd



To tylko wrosnąć w ziemię bezgłośnie jak powieka opaść w fotelu lub zwalić się na bruk prowadząc dziecko do przedszkola pierzchnąć ucieleśnić spóźnieć się na obiad wpadając w jej ręce nie nawiązać do przeszłości

Wiersze z tomu „Na uwierz”, WL, Kraków 1986

Edward Kolbus debiutował w okresie, kiedy wytraciła się już (nie rozstrzygamy tu problemu, na ile ów proces był naturalny) kulturowa i społeczna potęga Nowej Fali. Zachowując sympatię dla pewnych postulatów nowofalowych takich choćby jak powinności etyczne poezji, próbę regulowania rozkojarzonych mechanizmów społecznych czy nieufność wobec hasła zadufanego języka „oficjalnego”, eksponuje równocześnie postawę pewnego

### Złowiony

zdystansowania wobec uproszczeń nowofalowych. Podkreślają to nawet tytuły jego kolejnych tomów: „Działania uboczne”, „Między innymi”, „Temat zastępczy”. Zapewne to zdystansowanie chroni go przed trochę historycznymi czy frustracyjnymi gestami charakterystycznymi Nowe Roczniki, ale warunkuje równocześnie pewien ton gorzkości i męskiej ironii wobec statusu poezji w nieautentycznym, „konsumpcyjnym” świecie dzisiejszym. Wszystkie mechanizmy społeczne, przeciwko którym z młodzieńczą buńczucznością powstał poeci lat 70-tych, trwają nadal wikłając twórców w sytuację dwuznaczną. Wszyscy jesteśmy na uwierz determinujących nas ról społecznych, jakie musimy odgrywać i wszystkie nasze gesty — nawet te w intencjach najbar-

dziej autentyczne — są tylko ruchami marionetek ożywianych pociąganiem sznurka. Co prawda można rozpoznać w twórczości Kolbusa pewne cechy programowej nadświadomości „starszych braci” — choćby charakterystyczną dla Nowej Fali potrzebę samokreślenia: celów poezji i jej społecznej władności, ale widać też wyraźnie, że to programowanie jest utemperowane, sprowadzone na ziemię, bliskie przeciętnym, doświadczonym

codzienności („niechby w najciemniejszym kącie duszy przechowywać jak ziemniaki na zimę pilnie bacząc by nie zgnili” — jak odczytujemy z wiersza „Tak cię pisać”). Nowa Fala była bowiem — oby nie ostatnim — okresem, kiedy poeci wierzyli w swoje posłannictwo. Dziś — jak pisze Kolbus „poeci kochają ulicę” ale „ulica kocha piłkarzy”. Nie plasuje się też dzisiaj poezja w regionach wielkiej historii, ponieważ nie ma wpływu na zdeintegrowany, chaotyczny, ale także eksplozywny charakter dzisiejszych wydarzeń. Tej rzeczywistości nie da się opanować ani interwencyjnym gestem, ani demagogicznym uroszczeniem — ocalającym pięknym słowem. Kolbus nie prezentuje — o czym wcześniej mówiono — postawy frustracyjnej bezradności. Jeśli nawet

niczego nie chce ocalać — a przynajmniej nie wyraża expressis verbis takich zachcianek — to przynajmniej zajmuje postawę ironicznego komentatora przywołując niejawną, podskórny system wartości dający pewną szansę godnego bytowania w „świecie bez kodeksu”. Ta męska, mądra godność — charakterystyczna i dla poprzedniego tomu — może być jedyną przeciwwagą dla świadomości podwójnego uwikłania człowieka współczesnego. Uwikłani jesteśmy w historię, która choć niespójna, incydentalna i zarazem groźna, nie daje jednostce szans na jej uporządkowanie; jesteśmy też uwikłani („na uwierz”) determinacji biologicznych — naszego kodu genetycznego, łańcucha DNA, którego rozzerwać nie można. Ale mimo wszystko, mimo amputacji naszych marzeń i możliwości („poezja ma odjętą lewą pierś”) mimo istnienia w pospiesznym rozkładzie zostaje przecież świadomość, że:

„życie jak nigdy dotąd pachnie życiem, choć nie bardzo wie, jak tu upomnieć się o swoje”

HENRYK PUSTKOWSKI

E. Kolbus — Na uwierz, Wyd. Lit. Kraków 1986

### Przypowieść i groteska

Dojrzałość artystyczna pisarza przejawia się między innymi w doskonałym opanowaniu przyjętej konwencji, niezbędnym dla pełnego zrealizowania autorskich zamierzeń, albowiem szczególnie w literaturze ważne jest nie tylko co się mówi, ale także w jaki sposób i przy pomocy jakich technik artykułuje się swoje myśli. Andrzej Łuczeńczyk już w debiutanckim tomiku opowiada „Kiedy otwierają się drzwi” pokazał, że jest pisarzem potrafiącym niezwykle inteligentnie dobrać i użyć środków, pozwalające na jak najszersze zawiadanie — materia słowa i subtelnie harmonizujące z teścią wypowiedzi. Nowa książka Łuczeńczyka, mikropowieść „Gwiezdny księż” jeszcze silniej i dobitniej akcentuje te walory, udowadniając ponadto, że autorowi nie są obce różne typy stylizacji językowej, że równie swobodnie czuje się na gruncie współczesności, jak i w średniowieczu, nie ztracając przy tym nic ze swej indywidualności i charakterystycznej dlań specyfiki obrazowania. Łuczeńczyk odrzuca schematyzm i monotematyczność na rzecz twórczości nienasyconej, poszukującej, drażliwej, przez cały czas nacechowanej jednak rozpoznawalnym bez większego trudu piętnem osobowości autora.

Zwolennicy klasycznej powieści historycznej mogą czuć się nieco rozczarowani po lekturze „Gwiezdnego księcia”. Historia odgrywa tu rolę (przynajmniej pozornie) marginalną, stanowi zaledwie pretekst do podjęcia głębszych rozważań natury psychologicznej, filozoficznej i moralistycznej, rozważań zmierzających wprawdzie do konkretnego i poważnego przesłania, pozbawionych jednak uporczywego mentorstwa i tego, co Wańkowicz nazywał „dydaktycznym smrodkiem”. Anonimowość postaci, zredukowane do minimum (acz starannie przedstawione i znakomicie wkomponowane w całość) realia, umowność czasu i miejsca akcji — wszystko to sprawia, że „Gwiezdny księż” oddalając się od formuły powieści historycznej, w pospolitym rozumieniu tego terminu, przybiera raczej kształt przypowieści czy baśni, osadzonej w bliżej nie określonym czasie minionym i dziejącej się wszędzie, czyli nigdzie, ale też punktem jej odniesienia ma być nie narzucone z góry miejsce w czasoprzestrzennym uniwersum, lecz ruchomy, nie dający się łatwo uchwycić podmiot; człowiek, którego stosunek do rzeczywistości jest płynny i tajemniczy, zmieniający się w zależności od okoliczności, przekonania i uwarunkowań kulturowych. Jest to możliwe dlatego, że świat, o którym mowa, wia-

ściwie nie istnieje, a staje się, nie przestaje się rodzić. Wpisanie „Gwiezdnego księcia” w taki model rzeczywistości pozwała żywić nadzieję, że książka Łuczeńczyka, choć może być różnie odczytywana, przez długi czas zachowa swą wartość i nie stanie się jeszcze jedną z tych nikomu niepotrzebnych pozycji, tracących jakikolwiek znaczenie niemal z chwilą przedstawienia przez autora końcowej kropki. Czy opowieść o okrutnym, bezwzględym, makiawelicznym jakby księciu, który pokonał wszystkich wrogów i przeciwników, zgładził króla, sięgnął po pełnię władzy, zdobył sławę i powodzenie tylko po to, by następnie siebie samego w romantyczny sposób pozbawiając życia, wzgardzić fałszywą potęgą doczesności, czy ta opowieść zostanie zaaprobowana przez wszystkich jest rzeczą wątpliwą.

Z punktu widzenia tak zwanego zdrowego rozsądku bohater „Gwiezdnego księcia” postępuje absurdalnie i irracjonalnie i nie należy się dziwić, że może to wywoływać niesmak i oburzenie, a co za tym idzie, doprowadzić do zlekceważenia zawartego w tej książce przesłania stoickiego i moralizatorskiej przestrogi. Jednak miłośnikom pisarstwa filozofującego, psychologicznego, nie obliczonego na tani efekt, „Gwiezdny księż” z pewnością dostarczy bogactwa i niebanalnego materiału do przemyśleń. Opowieść Łuczeńczyka można przyjąć bądź odrzucić, można dyskutować nad jej wymową, lecz nie można przejść nad nią do porządku dziennego, nie można jej nie zauważyć. Nie jest to bynajmniej książka wielka, nie narodził się (przynajmniej na razie) „nowy Gogol”, ale warto „Gwiezdnego księcia” przeczytać, warto o nim mówić i pisać i już to jest dużym sukcesem pisarza, który, młodym nadzieję, nie wyczerpał swoich możliwości twórczych i intelektualnych i który posiadał niełatwą sztukę rozbudzania emocji i wyobraźni czytelników.

„Dziedzictwo” Jerzego Łukosza, autora będącego niemal równieśnikiem Łuczeńczyka, jest pozycją pod każdym względem od „Gwiezdnego księcia” różną. Jeśli „Gwiezdny księż” jest powieścią klasycyzującą, szalenie wysublimowaną i „poprawną” warsztatowo (pisany jest notabene bardzo piękną, jedyną i misterną polszczyzną), to „Dziedzictwo” traci niesformość, potoczność, chęć przełamania schematów językowych i stylistycznych. Tyle tylko, że nie bardzo udaje się Łukoszewi zrealizować swój zamiar, że wszędy miar przesłania godny pochwały — „Dziedzictwo” stanowi bowiem coś w rodzaju zlepką „cytatów z

przyszłych dzieł”, przypomina aromatycznie i zachęcająco pachnącą potrawę, która mimo wszystkich przypraw okazuje się mdła w smaku. Jest to książka-papka, książka-pulpa, w której próżno by szukać jakiegokolwiek kaskada, który można rozgryźć i przeżyć. Jerzy Łukoszek wywołuje się z kręgu młodej prozy „językowej”, skłonnej niestety, w myśli witegensteinowskiej tezy, że quale postrzeżeń nie może być zakomunikowane innej osobie, do popadania w swoiście pojmany solipsyzm, na pewno barwny i efektywny, lecz w zasadzie uniemożliwiający wydanie jakiegokolwiek sądu orzekającego o rzeczywistości, czyli pozbawiony funkcji poznawczych. Krąg oddziaływania tego typu prozy jest niezmiernie wąski, ograniczony poprzez swój subiektywizm i skąpy aparat pojęciowy. Z tego względu jest to piarstwo bezbronne wobec czasu i mód literackich czy kulturalnych, budzące czujność i ostrożność badaczy i odbiorców, ale nie budzące zaufania.

„Dziedzictwo” jest zbiorkiem trzech opowiadań, pomysłańskich kompozycyjnie jako całość, opowiadań, jak przewrotnie pisze autor, „z prawdziwego dzieciństwa”, dotyczących groteskowych przeżyć groteskowego dziesięcioletka w groteskowym świecie, pisanych groteskowym językiem. Jest mowa o dojrzałości i niedojrzałości, „ojczyźnie” i „synchronizacji”, młodości i dorosłości, zderzeniu marzeń z konwenansem i realizmem — a nad chłopczykiem w krótkich spodenkach unosi się niespokojny duch Gombrowicza i od czasu do czasu mruga porozumiewawczo do czytelnika. „Dziedzictwo” nie jest ilustracją żadnej tezy w przeciwieństwie na przykład do utworów pokrewnego Łukoszewi pisarza, Dariusza Bitnera), niczego nie dowodzi i niczemu nie zaprzecza, bo uczynić tego nie może. To książka zabawna, napisana z werwą, talentem i, o zgrozo, inteligentnie, ale wydrążona, pusta w środku. Brak jej tego decydującego ciosu, wywołującego dreszczyk niepokoju i poruszenia, będący solą prozy i stanowiący o jej obiegowej wartości. Odnoszę wrażenie, że Jerzy Łukoszek doskonale zdaje sobie z tego sprawy i dlatego niepotrzebnie chyba przyjmuje postawę obronną — wdzięczną, łobuzerską pozę, mającą na wszelki wypadek zapewnić mu „alibi”. „Od czasu, kiedy miałem dziesięć lat, nie istotałem w moim życiu po prostu się nie zdarzyło (...)” — pisze chytrze autor. A szkoda...

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Andrzej Łuczeńczyk — „Gwiezdny księż”, Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1986, wyd. I

Jerzy Łukoszek — „Dziedzictwo”, Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1986, wyd. I

# Z półki recenzenta

## PAMIĄTKA Z MŁODOŚCI

Chcę mówić o książce, która w sposób niebanalny, a przy tym sugestywny, przedstawia okres niespokojnej wiosny i gorącego lata 1938 roku we Lwowie. Jest to wlewkowa opowieść, choć zostaje opowiedziana ustami narratora-licealisty. Mamy więc obraz miasta, wielkiego molocha pełnego piękna i brzydoty, namietności i szlachetnych uczuć. Egzystują obok siebie robotnicy, studenci ucziwie szkół licealnych, studenty, prostytutki, właściciele prywatnych firm, policja. I jest także — choć w powieści nie ma o tym wyraźnej wzmianki — grupa osób, która porywa za sobą tłumy, każe im wyjść na ulice i place, splewać, nieść sztandary i transparenty i ginąć od kul karabinowych.

Opisany świat jest oglądany oczami młodego chłopca przegotowującego się do matury. Jest on uważnym i dokładnym obserwatorem zdarzeń, choć jeszcze nie pojmuje podskórnych przyczyn, które owe zdarzenia wywołują. Widać świat jest barwny, pełen rzeczy niezwykłych, czasem wręcz dramatycznych, niekiedy nawet okrutnych. Autor w mistrzowski sposób przywołał na karty swojej książki świat, który odszedł w przeszłość, ale pozostał w jego pamięci za wszystkich szczegółami, z barwanami i zapachami. Te imponowalności uwiarygodniają opisane zdarzenia, zmuszają czytelnika do zadumy, wywołują wzruszenia. Wacław Billiński — bo o jego najnowszej książce noszącej tytuł „Pomadka od Hawurassa” mowa — jest mistrzem w tworzeniu nastroju, w gromadzeniu i dozowaniu napięć, w niebanalnym konstruowaniu akcji.

Gorąco zachęcam czytelników do lektury tej świetnie napisanej książki.

Wacław Billiński: „Pomadka od Hawurassa”. KAW Oddz. w Łodzi 1986. Str. 244. Cena 250 zł.

## PAMIĘTIK JEŃCA

Drugiego dnia wojny autor omawianej tu książki dostał się pod Sieradzem do niewoli. W taki to sposób zakończyła się wrześniowa kampania 1939 r. dla 23-letniego wówczas dowódcy plutonu 31 pułku Strzelców Kaniowskich w Sieradzu porucznika Aleksandra Stanisława Rzewskiego. Potem było sześć długich i ciężkich lat niewoli w różnych niemieckich obozach. I o nich właśnie traktuje omawiana przez mnie książka. Nie ma potrzeby pisać, jakie były i czym były owe obozy, natomiast należy podkreślić, że Polacy w nich przebywający umieli zachować dumę i poczucie przynależności narodowej, że ani przez chwilę nie wąpłli w upadek Tysiącletniej Rzeczy, że wreszcie większa ich część powróciła do ojczyzny w dorzeczu Odry i Bugu, by nadal służyć tej „co nie zginęła”.

Aleksy Stanisław Rzewski: „Pamiętnik Jeńca”. KAW Oddz. w Łodzi 1986. Str. 148. Cena 160 zł.

## ŁÓDŹ SPRZED 80 LAT

Łódzki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej co jakiś czas wydaje publikacje z zakresu szeroko pojętej literatury społeczno-politycznej. Zyskały one przychylny krytyki i uznanie czytelników. Dziś chcę parę słów poświęcić najnowszej książce z tego cyklu, a mianowicie „Z kamieniem i brauningiem” Lucjusza Włodkowskiego. Jest to — oparta na dokumentach — relacja z wydarzeń, jakie zegrały się w Łodzi w latach 1900—1905. Jednocześnie jest to swoisty rejestr zasobów materialnych miasta (ilość latarni ulicznych, stan ulic, pierwsze tramwaje elektryczne, telefony, prasa, hotele, dorozki itp. itd.), przegląd bogactwa materialnych i nędzy setek tysięcy, kronika działalności partii politycznych działających wśród robotników (żydowski Bund, SDKPiL, PPS, PPS-Proletariat, Poalej-Syjon, Narodowy Związek Robotniczy Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich czy wreszcie Narodowa Demokracja), jest to książka także reporterским zapisem narastania rewolucji, która osiągnęła swoje apogeum w czasie znanych z historii wystąpień klasy robotniczej w maju 1905 roku.

Nie jest tu miejsce, by streszczać całą książkę, natomiast warto powiedzieć o jej rzetelnym przygotowaniu, o naładowaniu faktami w takim stopniu, że z powodzeniem może ta publikacja zaspościć ciekawość — tych wszystkich, którzy o swoim mieście pragnęłyby wiedzieć szczegółowej, lecz podanej bez nudnych obłążeń akademizmu. Ale nade wszystko czytelnik może łatwo przekonać się, iż historia — przecież nie tak zdów odległa w czasie — była niezwykle fascynująca.

Całość uzupełniają fotografie wykonane w tamtych gorących i dramatycznych latach.

Lucjusz Włodkowski: „Z kamieniem i brauningiem”. KAW Oddz. w Łodzi 1986. Str. 176.

Cena 200 zł.

Opracował: E. IW.



## IX FESTIWAL FILMÓW SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH

8 GRUDNIA odbyła się po raz dziewiąty w naszym mieście inauguracja, oczekiwanego z dużym zainteresowaniem, Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych. Impreza ta od kilkunastu lat na trwałe wpisała się w pejzaż kulturalny Łodzi.

Uroczyste otwarcie Festiwalu dokonał przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, sekretarz KŁ PZPR — Grzegorz Misiewicz. W uroczystości udział wzięli: szef kinematografii, wiceminister kultury i sztuki — Jerzy Bajdor oraz wiceprezydent Łodzi Jan Nosko.

Do konkursu zakwalifikowano 59 filmów ze 130 zgłoszonych przez krajowe wytwórnie.

11 grudnia jury pod przewodnictwem rektora PWSFTviT doc. Henryka Kluby ogłosiło werdykt.

Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych zaprezentuje podczas przeglądu 20 tytułów. Imprezami towarzyszącymi będą: pokaz filmów o tej tematyce bratnich kinematografii ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, KRLD i Kuby oraz przegląd filmów Henryka Kluby w kinie „Tatry”.

Odbędzie się również sympozjum poświęcone roli filmu społecznopolitycznego w kształtowaniu świadomości społeczeństwa.

16 i 17 GRUDNIA odbędzie się w kinie „Tatry” (po raz trzeci w tym sezonie kulturalnym) Przegląd Etud Filmowych. Impreza ta organizowana przez Centrum Informacji Kulturalnej, PWSFTviT oraz Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Łodzi ma na celu prezentację widzom pierwszych filmowych kroków renomowanych już dziś reżyserów.

Przegląd zapowiada się interesująco, bowiem pokazane zostaną między innymi filmy Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego, Krzysztofa Gradowskiego, Andrzeja Krauzego i Janusza Zaorskiego.

W OSRODKU Propagandy Sztuki, w parku Sienkiewicza, od 28 listopada do 28 grudnia czynna jest retrospektywna wystawa plakatów wybitnego naszego artysty grafika, o światowej renomie, Waldemara Świerzeżo.

Warto nadmienić, że wśród wielu nagród jest on zdobywcą Grand Prix im. Toulouze-Lutrec'a na I Międzynarodowej Wystawie Plakatu Filmowego w Wersalu (za plakat do „Czerwonej Oberży”) oraz laureatem Nagrody I stopnia ministra kultury i sztuki Organizatorówami wystawy są: Muzeum Narodowe w Poznaniu oraz Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi i Szczecinie.

Ekspozycję innego polskiego grafika, Romana Cieślewicza, wielce zasłużonego propagatora polskiej kultury plastycznej w świecie, cenionego plakacisty, zamieszcza w Paryżu mogą oglądać widzowie w Galerii Sztuki BWA przy ul. Wólczańskiej.

Na wystawie zgromadzono 156 plakatów i fotomontaży tego artysty.

W DNIACH 2—7 grudnia odbywały się już po raz trzeci w Łodzi Dni Muzyki Gitarowej („...a solo e in concerto”). Miłośnicy muzyki gitarowej mogli podziwiać, obok krajowych, kunszt zagranicznych wykonawców: m.in. Nigela Northa i Davida Russela z Wielkiej Brytanii oraz Milana Zelenka z Czechosłowacji. Organizatorem „Dni” był Centralny Ośrodek Gitarowy przy Ludowym Instytucie Muzycznym w Łodzi.

26 LISTOPADA, w Klubie Nauczyciela, w ramach Wieczorów Autorów Łódzkich Oficyn Wydawniczych odbyło się spotkanie Tadeusza Chróścielewskiego z czytelnikami. Tym razem prezentacji swojego autora, cenionego prozaika, poety, tłumacza, edytora oraz aktywnego uczestnika życia kulturalnego w naszym mieście dokonał jego Wydawca — KAW Oddział w Łodzi.

Wieczór zgromadził licznych miłośników twórczości pisarza.

27 LISTOPADA w siedzibie Łódzkiego Oddziału ZLP odbyło się spotkanie z Markiem Wawrzkiwiczem, nowym redaktorem naczelnym miesięcznika „Poezja”.

4 GRUDNIA w Małej Sali Teatru Nowego odbyła się prapremiera polska sztuki Semena Zlotnikowa pt. „Przyjeździe mężczyzna do kobiety...” w reżyserii Jana Bratkowskiego, ze scenografią Krzysztofa Pankiewiczza. W spektaklu występują: Mirosława Marcheluk i Piotr Krukowski.

TRZYDZIESTOLECIE pracy scenicznej obchodziła podczas prapremiery „Garażu” popularna w Łodzi aktorka Barbara Polomska, która na deskach Teatru Powszechnego stworzyła wiele znakomych kreacji. Wśród licznych życzeń. Jubilatka otrzymała list gratulacyjny od prezydenta m. Łodzi Jarosława Pietrzyka.

I choć dawniejsza scenografia, którą zapewne stworzył sam kompozytor, stosować się musiała do częstej zmiany miejsca akcji, to obecny zamysł, operujący myślowym i plastycznym „skrótem” wydaje mi się słuszniejszy, bliższy estetyce tamtego okresu. Odrzuca on bowiem konsekwentnie zewnętrzna warstwę baśniowej i naiwnej fabulki, przesuując punkt ciężkości spraw do wnętrza psychiki bohaterów.

Zakrawa to na paradoks, ale obecna realizacja, w kostiumie niemal współczesnym (zamiast feudalno-baśniowego), rezygnująca z odwarzania niezwykłych wydarzeń lecz dająca wyraz doznaniom ludzi, idealnie „przystaje” do charakteru muzyki, a zwłaszcza oddaje dobre usługi narracyjnej funkcji partii wokalnych, opartych na recytatywie. A wszystko to razem wspiera się na stonowanej dynamice partii orkiestrowej, która w I części nie przekracza rozpiętości pomiędzy trzema „p” a mezzofortem. Jest tu ciągłe pulsowanie przesubtelnej, wrażliwej i z precyzją prowadzonej partii orkiestrowej. Nie ma za to leśnego źródła, gdzie Golaud odkrył Melizandę, nie ma ogrodowej fontanny ani grotu, wszystko to wyczarowuje w naszej wyobraźni muzyka, a także niestanna zmiana natężenia i koloru światła, rozjaśniającego pałacowy półmrok, tak przynębiający nową mieszkankę, zakochaną w Peleasie, choć poślubioną jego bratem.

Zupełnie nowej wymowy nabrały niektóre sceny. Nieumyślnie upuszczenie pierścienia (jak to określała nasza przewodnica operowej) zmienia się tu na rozmyślnie odrzucenie go przez Melizandę, czemu towarzyszy jej kokieterijny,



Sergiusz Prokofiew — „Kopciuszek”  
Foto: Grzegorz Galasiński

## Po rewizycie artystów z Lyonu

wspominają o jakichkolwiek próbach wystawienia „Peleasa i Melizandy” przez opery polskie, pomimo tego, iż ten dramat muzyczny Debussy'ego, powstały na przełomie wieku, odegrał niezmiernie ważną rolę w rozwoju sztuki muzycznej, a zwłaszcza formy operowej, a zalicza się go (podobnie jak poemat symfoniczny „Popołudnie fauna” tegoż kompozytora) do pionierskich dzieł impresjonizmu muzycznego.

Godzi się jednak nadmienić, że niektórzy znawcy przedmiotu są zdania, iż impresjonizm malarski nie znajduje wystarczająco bliskiego odpowiednika w muzyce, by móc z czystym sumieniem używać tego określenia, nawet tam, gdzie stosunkowo silnie dochodzi do głosu kolorystyka dźwiękowa. Co do „Peleasa i Melizandy” to można byłoby odwoływać się raczej do literackiego symbolizmu, gdzie głębszy sens dzieła ukrywa się w niedopowiedzeniach, jak właśnie w dramacie Maeterlincka, który posłużył kompozytorowi za libretto.

Nie czując się w tej materii kompetentny porzucam czym prędzej ten pociągający wprawdzie, ale także zdradliwy dla profana temat i żeby już skończyć z dygresjami, do których mam z pewnością nieusprawiedliwioną słabość, nadmieniam jeszcze, że z inspiracji dramatu Maeterlincka powstał poemat symfoniczny Arnolda Schönberga o tym samym tytule, a choreografie bazująca na tej muzyce stworzył Roland Petit.

Na temat dzieł tej opery, niemitych choć i zabawnych perypetii związanych z jej wystawieniem, i o najnowszych, pomyślnych już jej losach możemy wiele ciekawego wyczytać ze znakomych opracowań, dostarczonych przez operę w Lyonie, a zamieszczonych w teatralnym programie, z reguły przecież kupowanym przez widzów i chyba przez nich czytany, co zważnia recenzenta od jałowego odpisywania...

Kiedy podnosi się kurtyna, widać po prawej stronie sceny, nieco ukośnie, wznoszący się wysoko fronton pałacu (przypominający także teatr). Już ta dekoracja informuje o zamysle realizatorów, ujęta syntetycznie i poniekąd symbolicznie, gdyż oglądamy ją jakby jednocześnie od strony pałacowego wnętrza (o czym świadczy kinkiet), jak i od zewnątrz, o czym świadczyłoby zwieńczenie budynku atyką (która od środka nie jest widzialna).

Dekoracja ta stanowi stale, niezmiennie tło dla umownej zmiany miejsca akcji, można by sobie nawet pozwolić na żart, że wyjątkowo takim sposobem osiągnięto tu faktyczną jedność miejsca akcji, gdyżby nie wynikało to ograniczenie z przyjętej koncepcji ogólnej, przeciwnie, widać tu teatralny realizmowi czy muzycznemu weryzmowi, zgodnie z założeniami zarówno sztuki Maeterlincka, jak Debussy'ego.

udający przerażenie, okrzyk, co staje się tu widomą oznaką jej uczuć wobec Peleasa. Są jednak sceny, których połączona umowność stanowi pewien dysonans w stosunku do całości, jak np. podnoszenie małego Yniolda, by zagałdał przez nie istniejące tu okno i opowiedział ojcę, co w tym momencie dzieje się z Melizandą. Dotyczy to też zbyt realnego sztyletu w rękę Golauda, choć co prawda, trudno sobie wyobrazić te sceny zrealizowane inaczej.

Wykonawcy arcytrudnych wokalnie i muzycznie partii wykazali się wielkimi umiejętnościami, m. in. niezwykle swobodnym operowaniem oddechem, ich recytatywy doskonale zresztą harmonizowały z powściągliwymi środkami aktorskimi, bliższymi teatrowi dramatycznemu, i to kameralnemu, niż typowej konwencji operowej, mimo zamierzonej statyczności ról, a nawet pewnej ich hieratyczności (jak Arkel — JEAN PHILIPPE COURTIS). Jedyne partie wokalne Golauda — JOSE VAN DAM odznaczała się silniejszym dramatyzmem i dynamiką działań aktorskich, do czego inspirowała muzyka.

Trudno byłoby wskazać, zwłaszcza z uwagi na obcy język, miejsca szczególnie wyróżniające się, należałoby jednak wymienić odznaczające się czystym liryzmem scenę pierwszych wyznań miłosnych Melizandy (COLETTE ALLIOT-LUGAZ i Peleasa — FRANCOIS LE ROUX, czy też pieśń śpiewaną przez Melizandę w oświetlonych drzwiach: „Jestem szczęśliwa, jestem smutna”. Przepięknie „odeztywała” list Golauda Genowefa — JOCELYNE TAILLON. Ponad wszelkie pochwały przygotowała utwór muzycznie i poprowadziła przedstawienie pani CLAIRE GIBAUT, pod której komendą świetnie zaśpiewał też nasz chór teatralny.

Mieliśmy więc niezwykle rzadką okazję gościć na naszej scenie niezmiernie interesujące, znakomicie przy tym zrealizowane, wybitne dzieło muzyki francuskiej, mające ważne znaczenie dla rozwoju opery. Ze wszech miar wart pomniana okazał się także „Kopciuszek”, a jeśli dodamy niedawną rewelacyjną „Chowańszczyznę” z Nowosybirsk, możemy uznać listopad pod względem gościnnych imprez za wyjątkowo owocny, którego mogliby nam pozazdrościć miłośnicy opery i baletu największych metropolii.

### JERZY KWIECIŃSKI

Sergiusz Prokofiew: „Kopciuszek”. Balet na motywach bajki Charlesa Perraulta. Reżyseria i choreografia — Maguy Marin, dekoracje i kostiumy — Monserrat Casanova.

Claude Debussy: „Peleas i Melizanda”. Libretto Maurycego Maeterlincka. Kierownictwo — Claire Gibault, reżyseria — Pierre Strosser.

niejednokrotnie występują na kartach jego powieści i opowiadań, drugi bohater nigdy nie istniał. Potwierdza to również sam Stachura w „Się”, które jest testamentem egzystencjalnym autora.

Edward Zentara jako Pradera z naznaczonym bólem i zaleźstwem wzrokiem wygłasza dziwne dla otoczenia sentencje, a sny przeszłodowce przekonują, że istotnie cierpi. Niemniej jednak, pamiętając go z „Karate po polsku” trudno oprzeć się wrażeniu, iż za chwilę komus przytoży.

Daniel Olbrychski, jak zwykle energiczny introwertyk, jako Michał Kątny jest jakby lustrzanym odbiciem Pradera, a piosenka w jego wykonaniu może się podobać.

Z tą największe wrażenie robi Krzysztof Majchrzak, który z siekiera w ręku szuka puszczającej się żony i rozbija stoły na wiejskiej zabawie, aby się rozładować.

### TOMASZ KUBIK

„Siekierzada” — reż. Witold Leszczyński — film prod. polskiej (1986).

Nasza Łódź i podobnie włókiński Lyon pozostają z sobą od dość dawna w ożywionych kontaktach kulturalnych, czego wyrazem m. in. bliska współpraca uniwersytetów obu miast, wzajemne wymiany artystyczne Centralnego Muzeum Włókiennictwa i siostrzanej placówki w Lyonie, do czego dochodzą obecnie wzajemne występy gościnne teatrów operowych, zapoczątkowane niedawno wizytą zespołu łódzkiego Teatru Wielkiego z operami Moniuszki. Z kolei rewizytował nas z dwoma utworami, zaprezentowanymi w kilkunastu występach przez francuskich przyjaciół ich teatr operowy, z całym swoim zespołem operowo-baletowym wraz z orkiestrą.

Baśń o Kopciuszku należy do najbardziej znanych i lubianych utworów dziecięcej literatury, nic dziwnego więc, że od dawna inspirowała ona twórczość kompozytorów i choreografów, w tym takich znakomitości baletu, jak Ferdinand Albert (Londyn 1822), a zaraz po nim Charles Didefot, aż po bliższych nam w czasie Petipa i Fokina.

Nowego impulsu choreografom dostarczyła muzyka Prokofiewa, którego rozpoczęta pracę nad baletem przerwał wybuch ostatniej wojny, toteż wystawiono go dopiero po jej zakończeniu. Podjęcie się tego tematu przez dzisiejszego choreografa wydaje się gwarantować baletowi niezawodne powodzenie nie tylko u dzieci, ale i u dorosłej widowni, której nigdy dość utworów o oszałamiającej karierze prostej i ubogiej dziewczynki, wychodzącej za mąż za „księcia z bajki”.

A jednak choreografia łódzkiego teatru Maguy Marin nie poszła bynajmniej najłatwiejszą drogą, przetartą już przez radziecką wersję Rostisława Zacharowa, opartą na librecie wiernym baśni Charlesa Perrault, dzięki czemu byliśmy świadkami innego, pogłębionego odczytania sensu tej zdawałoby się jednoznacznej historyjki oraz zrealizowania jej w odmiennej inscenizacyjno-choreograficznej formie.

Mijałoby się z celem wyliczanie wszystkich, jakie licznych różnic pomiędzy znaną nam fabułą a przedstawieniem łódzkiego baletu. Wspomnijmy jednak, że zamiast pojawienia się dobrej wróżki obserwujemy scenkę jakby w sklepie z zabawkami, że oglądamy później pełne nieporadnego wdzięku usiłowania tancerzki Kopciuszka, szukającego się do upragnionego baletu, że sam bał wreszcie nie przynosi małej nowicjusze łatwego sukcesu, jest ona bowiem spychana w cień i spotyka się z drwinami złośliwie rozplotkowanych dworskich bywalców albo nawet z wyrafinowanym okrucieństwem (scena ze skakanką). Dochodzi więc tu do głosu nieuszminkowana prawda życia zamiast baśniowego lukru, co zapewne znajduje oddźwięk wśród dorosłych widzów, chociaż np. odjazd Kopciuszka z wybięciem północy dziejącym samochodzikiem przypominał nam znów właściwego adresata widowiska.

Wszystkie te wydarzenia rozgrywają się na różnych płaszczyznach trójwymiarowej symultanicznej sceny, a wprowadzanie do akcji poszczególne postaci lub niektórych elementów dekoracji polegało na wydobywaniu ich z mroku przez wderujące światło reflektora. Postaci zresztą bez wyjątku występowały w maskach, co wprowadziło zubożoną interpretację ról pod względem mimicznym, przypisując postaciom stałe cechy dominujące, w zamian jednak ułatwiało skoncentrowanie uwagi na wyrazistości ruchu i gestu, doskonale uzupełniającego charakter postaci, anonosowany przez maskę.

Ponadto maski, bliskie wyobrażeniom dziecka (a przynajmniej dziecięcym rysunkom) sprawiły, że cała rzecz toczyła się jakby na pograniczu dziecięcej zabawy w Kopciuszka i scen z życia dorosłych. Dowcipnie i z wdziękiem posługiwano się środkami ekspresji, jakie przejawiają się u dzieci, gdy ruchami ilustrują w zabawie przedstawiane treści. Tu np. przezbawna była trójka tancerzek udających „dorosłe” baleriny, odgrywające podpatrzoną kobiecość zachowań. Było to tak spójne i konsekwentne, że gdy na zakończenie, wśród oklasków publiczności tancerze kianiali się zdejmując maski, można było dopiero zdać sobie sprawę z sugestywności tych iluzji.

Były też sceny wzruszające, ujmujące liryzmem, jak wtedy, gdy zaczęła rozkwitać czysta miłość obojga młodych, FRANCOISE JOULLIE i STEPHANE VESSIER. Doskonałym pomysłem było całkowite wyciszenie tła orkiestrowego i ilustrowanie działań scenicznymi nagranymi na taśmie (może w żłobku) głosami dziecięcego śmiechu i gaworzenia, jakby sztychowego komentarza do akcji. Efektu tego jednak, moim zdaniem, nieco nadużywano, a wtedy oczekiwało się powrotu jakże ciekawej i doskonale wykonywanej muzyki Prokofiewa.

Zarówno przewodniki muzyczne, jak i ukazująca się encyklopedia muzyczna PWM nie

## Miłość i drwale

Do rzadkości należą przypadki miłosnej sielanki, gdy rutynowe podchody i utarczki trwają krótko albo w ogóle ich nie ma. Być może na tym polega urok zjawiska, lecz natury wrażliwe z reguły nie wytrzymują napięcia i spalają się w ogniu urażonej miłości własnej.

Edward Stachura był z miłości przez całe życie i taki swój obraz utrwalił w książkach. Płaczący charakter tej twórczości utrudnia obiektywny osąd i nie wiadomo czy niejaka Gałzka Jabłoni — przedmiot kultu i modlitw — była dziewczą czy też porządna dziewczyna, która nie miała ochoty na Edwarda.

Ostatnia pozycja „Fabula rasa” ukazuje dewiacje psychiczne, do jakich doprowadził się autor, cierpiąc z powodu kobiety i uwalając nad własną szlachetnością.

Witold Leszczyński podejmuje ambitne tematy, a twórczość Stachury wciąż modna i raczej dystansująca się do rzeczywistości odpowiada skłonnościom reżysera. „Siekierzada”, czyli zima leśnych ludzi” to powieść, w której autor oprócz przemyśleń o charakterze osobistym opisał tło. I to prawdopodobnie skłoniło Leszczyńskiego do sfilmowania.

Janek Pradera, z ubrania i zachowania inteligent, którego domem jest droga i ciągle wędrowanie, przybywa w Bieszczady, aby nie dać się rozpaczy i ukoić duszę. Ale nawet wycinanie lasu i alkoholizowanie się z robotnikami nie przynoszą ulgi i depresja pogłębia się. Koledzy drwale wyczuwają smutek człowieka, lecz jedynym środkiem uspokajającym, jaki mają do zaoferowania, jest wódka, gdyż Janek ma ochotę wyłącznie na jedną dziewczynę i albo rabie drzewo, albo piecze ziemniaki.

Bratnia dusza zazwyczaj uspokaja i przywraca światu. Tutaj jednak Michał Kątny wskazuje nieopatrznie sposób zakończenia ziemskiej egzystencji i Janek ginie rozjechany przez lokomotywę.

„Siekierzada” to połączenia powieści, piosenkowania i samobójczej śmierci Stachury, co wraz z muzyką Vivaldiego na tle bieszczadzkiej pejzaży stwarza wrażenie smutnej, choć nieco nutącej całości.

Podobieństwo psychofizyczne odtwórców głównych ról, Edwarda Zentary i Daniela Olbrychskiego, nie jest przypadkowe, gdyż według relacji osób, które znały Edwarda Stachurę i

„Ale wulkany wyznaczają śmiałkom  
Los wulkaniczny:  
Zakrzęsł się,  
Pokrył się czarnymi plamami,  
Eroza szarpała go sepiem dziobem,  
Otrząsał się, burzył daremnie,  
I gwałt wysoki i wolny  
Aż usnął doszczętnie  
Z otwartymi ustami krateru.  
Tak wypalił się w Gwatemali  
Wulkan polski, Andrzej Bobkowski”.  
(Kazimierz Wierzyński, „O wulkanach”)

Zdarza się, że książki, które mamy czytać układają się same w takiej, a nie innej kolejności. Nam się wydaje, że dobraliśmy sobie lektury (co nie jest wcale prostą sprawą), a w rzeczywistości, to książki dobrały sobie nas. Jakby wiedziały, czuły chwilę najodpowiedniejszą, wiedziały, że odczytane teraz, zostaną w naszej pamięci dłużej, a może i spowodują jakąś zmianę, żyjąc raz jeszcze najpełniej.

I stało się. Przeczytałem „Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego. Pierwsze strony nie zapowiadały jeszcze nic nadzwyczajnego, tym bardziej, że przedtem czytałem eseje Vincenza i „Tamte brzegi” Nabokowa, ale w miarę czytania przychodził coraz większy zachwyt, aż do momentu, kiedy od książki z trudnością się odrywałem. Tak poznałem pisarza w kraju prawie zupełnie nieznanego.

„Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego to niezwykle dziwny dziennik pisany we Francji w czasie wojny. Zaczyna się notką zapisaną pod datą 20.5.1940, kończy książkę wkrótce alian-tów do Paryża. Pierwszy tom jest barwnym opisem chaotycznej ucieczki z Paryża (autor pracował w fabryce broni w Chatillon i ewakuował się z nią na południe). W czasie tej drogi widział, jak potężne rozmiary osiągnęła klęska Francji, kraju, który Andrzej Bobkowski kochał, ale przy tej okazji, jak i wielokrotnie później, nie szczędził mu wielu gorz-kich uwag. Na przykład w rozmowie z żoną, jeszcze przed wyjazdem z Paryża:

„Spojrzałem na Basię i śmiejąc się powie-  
działem: „No wyróżyłaś”. Rzeczywiście nie  
wiem jak, ale od roku, jeszcze zanim wojna  
wybuchła, już wiedziała i ciągle mi odpowia-  
dała na moje zachęty nad Francją, że gdy  
Niemcy w to uderzą, rozsypie się ten kraj jak  
purchawka. Nie wierzyłem. Wychowałem się na  
miecie Francji. A teraz co? Wali się — i to wa-  
li się jakby po cichu, pęka jak fastryga, wła-  
ściwie bez trzasku”.

I dalej, już po podpisaniu zawieszenia bro-  
ni, gdy 14 lipca 1940 r. rząd francuski ogło-  
sił jako dzień żałoby narodowej:

„Byłem dziś w zamku, w katedrze. Przed oł-  
tarzem stał sztandar, ksiądz w czarnym orna-  
cie, msza bez dzwonek. Po nabożeństwie or-  
gany huknęły Marsyliankę. Kolana mi się u-  
gięły, ścisłało to gardło. Tadzio miał łzy w o-  
czach. A Francuzi wychodzili z kościoła uś-  
miechnięci, wielu jeszcze przed wyjściem tkalo  
papierosa w usta, nakładali kapelusze, grzebie-  
li po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek lub  
zapalniczek. Zaczęli śmiać się. O ileż trudniej  
tyć, gdy się jest — barbarzyńcą. Nie — przy-  
szłość nie należy do żołądka i mózgu; pomimo  
wszystko — do serca”.

## PO PODZIELENIU FRANCJI

na „wolną” i okupowaną, Bobkowski postana-  
wia wrócić do Paryża, gdzie czeka na niego żo-  
na. Wraca, ale nie najkrótszą drogą. Razem z  
robotnikami z fabryki, warszawskim taksów-  
karzem Tadzkiem, podejmuje rowerową wycie-  
czkę przez południe Francji. Opisuje tę podróż  
niezwykle lekko, ale zwraca przy tym uwagę  
na słowo, bardzo konkretne, momentami lapi-  
darne, a zarazem bardzo celne. Celne w opi-  
sach przyrody, w których zaskakuje wielością  
barw, zmieniających się jak w kalejdoskopie:  
„Niebo różowiło się od strony wschodu i  
poprzez komplet wszystkich odcieni ceglatego,  
pomarańczowego i cytrynowego, przechodziło  
w fiołkowy szafir, na którym błyskały jeszcze  
gwiazdy. Wszystko w dolinie pokryte było  
szronem, ciskającym nikielne ogniki, jak miliardy  
rozrzuconych brylantów; wierzchołki gór, lekko  
zaróżowione, zawinięte były w pasma przezro-  
czystej mgły. Powoli wschodziło słońce i sypa-  
ło coraz nowymi kolorami. To samo drzewo, ten  
sam szczyt zmieniał się, zrzucał jeden strój i  
odziewał się w inny. Świerki zmieniały także  
klejnoty, bo stopiony słońcem szron stawał się  
wielkimi kroplami wody o wszystkich barwach  
tęczy. Ciemny szafir nieba rozwinął się, stał  
się bardziej fiołkowy aż do niebieskiego.  
Gwiazdy gaśły w oczach i robił się dzień. Jesz-  
cze kilka poprawek, niedbałych pociągnięć  
pędzlem słońca i obraz był skończony”.

Dodam, że świat, który Andrzej Bobkowski  
ogłada, nasuwa mu co i raz nowe skojarzenia  
intelektualne. W Montpellier, gdzie przechodził  
przez ulicę, na której znajdują się same domy  
publiczne, gwar i tłum przypominają mu wiersz  
O. Wilde’a i po chwili, na zasadzie ciągu sko-  
jarzeń, rysunki Constantina Güysa i „Fille Eli-  
sa” Goncourta. Dalej, na trasie w Bandol uda-  
je się do miejsc, gdzie mieszkała Katarzyna  
Mansfield, pisarka, która fascynowała Andrzeja  
Bobkowskiego. Jest wzruszony, gdy patrzy na  
kamienny stolik, na którym pisywała Katarzy-  
na mając przed sobą, w dole, morze.

## ANDRZEJ BOBKOWSKI

urodził się 27 października 1913 roku w Wiener  
Neustadt (ojciec Henryk, profesor Theresianis-  
che Akademie w Wiedniu, matka Stanisława z  
Malinowskich; siostra Wandy Osterwiny).  
Gimnazjum ukończył w Krakowie, potem stu-  
dia w Wyższej Szkole Handlowej w Warsza-  
wie. Ożenił się w 1938 roku.

Rok później w marcu, młode małżeństwo wy-  
jechało do Paryża. Tutaj zastała ich wojna i  
tutaj powstają „Szkice piórkiem”, o których  
Paweł Jasienica powiedział:

„Tyle u nas pisano o tym kraju, lecz takiego  
artystycznego wizerunku jeszcze nie było i nie  
wiem, czy gdzie jest”.

W tym miejscu wypada chyba zapytać, dia-

czego Andrzeja Bobkowski nie zgłosił się do  
polskiego wojska formującego się we Francji?  
Otóż wydaje się, że najważniejszym wytuma-  
czeniem były względy polityczne. Autor „Szkic-  
ców” chciał wstąpić do polskich oddziałów, ale  
nie został przyjęty. Stryj Andrzeja Bobkowskie-  
go w rządzie Felicjana Sławoja Składkowskie-  
go był wiceministrem komunikacji; ojciec do-  
szedł do stopnia generała i łączył go osobi-  
sta znajomość z Józefem Piłsudskim, a ad-  
ministracja Władysława Sikorskiego niechętnie  
widziała w szeregach tworzącego się wojska  
ludzi, nawet pośrednio związanych z rządem  
przedwojennymi. I tak Andrzej Bobkowski po-  
został w Paryżu, ale jak się okazało i tutaj  
był bardzo potrzebny.

Razem z doktorem Zbigniewem Koziańskim  
zajmował się tajną pomocą dla robotników  
polskich. Kilka załatwionych spraw, często dość  
trudnych, opisał w „Szkicach”. W tychże „Szkic-  
cach” przedstawił dyskusję z Tadzkiem, który  
zmusza swymi pytaniami do tłumaczenia rze-  
czy podstawowych, co jak się okazuje, nie jest  
wcale takie proste.

Po latach w „Dzienniku Podróżny” drukowa-

## TOMASZ A. WŁODKOWSKI

# Polski wulkan

nym w „Tygodniku Powszechnym”, Andrzej  
Bobkowski tak wspomina te rozmowy:

„Rozmawiałem z Hiszpanem. Rozmowa potoc-  
czyła się na temat kultury i cywilizacji. Od  
czasu, gdy toczyłem rozmowy na ten temat z  
jednym z moich najbliższych przyjaciół, szofe-  
rem taksówki z Warszawy (pamiętasz Tadzio?),  
i gdy zostałem przez niego tak docięnięty do  
muru, iż musiałem ściągnąć te płynne pojęcia  
do postaci tak uchwytnej jak cylinder i flok  
— nie potrafiłem wymyślić tu nic lepszego”.

Z karteńki dziennika ukazuje się człowiek nie-  
zwykle spostrzegawczy, który potrafi opisać o-  
taczający go świat. Język poddaje mu się bez  
oporów. Bo dziennik zmienia się od wielkości  
zdarzeń wplecionych w inność przyrody, idzie  
w kierunku intelektualnym. Andrzej Bobkowski  
nie rezygnuje z opisu codzienności. Pokazuje  
subtelności życia w okupowanym Paryżu, tak  
różnego od życia w tym samym czasie w  
Polsce, ale przy tym coraz więcej stron zapeł-  
nia wrażeniami z czytanych lektur, rozważa-  
niami o kulturze, polityce, Polsce i Polakach.  
„Szkice” stają się dziennikiem intelektualnym,  
który porównać można z „Dziennikiem” Witol-  
da Gombrowicza i „Notatkami, niespiesznie  
przechodnia” Jerzego Stempowskiego.

Pisarzem, którego nazwisko pojawia się naj-  
częściej jest Honoriusz Balzac. Andrzej Bob-  
kowski ożywia Paryż lat 40., na pomoc  
przywołuje właśnie Balzaca z jego wachlarzem  
typów. Mnóstwo ich na kartach „Szkiców”;  
drobnych aferzystów, przestraszonych urzędni-  
ków; ten mieszczański świat znowu żyje, ze  
swoją nadmuchaną administracją tonącą w  
stertach nikomu niepotrzebnych druczków i  
formularzy. Jakby rewanżując się Balzakowi za  
oprowadzenie go do Francji, pisze o autorze „Lu-  
dzkiej komedii” z niezwykłą swadą. Maria Da-  
nielewicz-Zielińska w „Szkicach o literaturze  
emigracyjnej” napisała:

„Karty dotyczące np. lektury powieści Balza-  
ca są odkrywcze i wspaniałe, wytrzymują  
zwykłego porównanie z Boyem”.

## SA I INNI PISARZE

a ilość czytanych i omawianych książek jest  
imponująca. Tymon Terlecki pisząc o „Szkicach  
piórkiem” nazwał je „dziennikiem lektur” i  
miał dużo racji. Kogóż tu nie ma. Lista naz-  
wisk jest ogromna, aby wymienić tylko niektó-  
re: Juliusz Słowacki, Georges Sand, Joseph  
Conrad, Fryderyk Chopin, Henryk Sienkiewicz,  
Władysław Reymont, Diderot, Goncourtowie,  
Huxley, Flaubert, Bainville, de Maistre, są i pi-  
sarze rosyjscy (o Fiodorze Dostojewskim Bob-  
kowski pisze, że jest sztuczny, Lew Tolstoj go  
męczy i „Wojny i pokój” nie może przeczytać  
do końca).

Zygmunt Lichniak w swojej książce o litera-  
turze emigracyjnej dowodzi, że pogląd ten wy-  
nika z chorobliwej antyrosyjskości Andrzeja  
Bobkowskiego. Cóż, prawdą jest, że autor  
„Szkiców” Rosji nie lubił i miał do tego prawo,  
prawo ma także nie lubić Lwa Tolstoj. Czy  
jedno wynika jednakże z drugiego? W jakiejś  
mierze na pewno, ale nie do końca. Sprawdza-  
nie wszystkiego do tego typu zależności ma  
swoje słabe strony.

Zygmunt Lichniak pisze:  
„Nawet już nie to, że zloszczą go — powiedz-  
my — pisarze radzieccy, lub — co byłoby  
w stanie pojąć — odpychają apokryfowe utwory  
trywialnych socrealistów. Moglibyśmy to zrozu-  
mieć, ba, przyjąć, podyskutować. Ale nie. On  
nawet „Wojny i pokój” nie jest w stanie  
przełknąć”.

I dobrze, ceśmy go za szczerść, gdyż nie  
każdy przyznałby się do tego poglądu.  
I inny temat pojawiający się w „Szkicach”:

## POLSKA I POLACY.

Witold Gombrowicz pisze w „Dzienniku”, że  
odpoczywa najczęściej ze „Szkicami piórkiem”.  
Książka podoba mu się, ma jednak jeden za-  
rzut i to dość poważny:

„Ja o Polsce pisałem zawsze chłodno, jak o  
jednej z przeszkód, utrudniających mi życie, dla  
mnie Polska była i jest tylko jednym z rozli-  
cznych moich kłopotów, ani na chwilę nie za-  
pominałem o drugorzędności tego tematu. Bob-  
kowski, młodszy, w swoim dzienniku, na go-  
rąco pisany, mniej ode mnie jest zimny — on  
Polskę odpycha od siebie, ale, odpychając, rani  
sobie ręce do krwi. Ja choć się wyrwoliłem! —  
krzyczę. — Ja nie będę spalał się na tym  
ołtarzu, ja choć żyć na własny rachunek... ale  
krzyk właśnie, tak namiętny, świadczy, że pę-

powina nie została przecięta (...) Szkice byłyby  
stylizowane mocniejsze, gdyby walczył wręcz z  
mitem polskim została z nich usunięta”.

Zastanawiające, iż temat najbardziej podobny  
do gombrowiczowskich problemów, jemu  
najmniej się podoba. Czyżby tylko Witold  
Gombrowicz posiadał monopol na potyczki z  
polskim mitem?

Andrzej Bobkowski jest młodszy (trudno się  
z tym nie zgodzić), ale że Polskę odpycha od  
siebie, rani sobie ręce, albo że „Szkice” były-  
by lepsze, gdyby usunął z nich fragmenty wal-  
ki z mitem — tego już nie jestem pewien. Bo  
przecież uwagi Andrzeja Bobkowskiego doty-  
czące Polski i Polaków — są niezwykle cenne.

„Nieraz wydaje mi się, że w każdym Polaku  
tkwi gdzieś głęboko ukryty kompleks winy, iż  
Opatrzność nie pozwoliła nam umrzeć za oj-  
czyznę. I to mnie buntuje. Bo śmierć jest dla  
mnie zawsze wstępną, nawet za ojczyznę. (...)”

Czym jest nasze życie? Nawijaniem na kawa-  
łek tektury krótkich kawałków nitek bez moż-  
ności powiązania ich ze sobą. Gdzie mam szu-  
kać metryki urodzenia mojego dziadka? Gdzie  
odnaleźć ślad pradziabki? Do czego przypieczę-  
tować cofającą się wstecz myśl? Do niczego — do  
opowiadań, prawie do legend tego kraju, który  
wymagał sobie w Europie pokój przechodni i  
przez dziesięć wieków usiłuje urządzić się w  
nim z wszelkimi wygodami, i ze złudzeniem  
pokoju z osobnym wyjściem, wyczerpując całą  
swą energię w kłótniach i walkach z prze-  
chodzącymi.

(...) To nie jest życie — to ciągła tymczaso-  
wość życia motyla i dlatego w charakterze na-  
szym jest może tyle cech przypominających tego  
owada. Jakim cudem mamy być mrówkami?  
(...)

Nasza wieczna tragedia, to brak pieniędzy.  
Wrodzona inteligencja i bystrość (wprost olś-  
niająca w porównaniu z innymi narodami),  
a z drugiej strony brak, wieczny brak pieńie-  
dzy i rozpiętość między pragnieniem a możli-  
wościami zaspokojenia go, robią z każdego Po-  
laka po prostu „kanciarza”. Wysokie poczucie  
honoru, wrodzone najgorszemu chamowi (...)  
każe jednak upozorować każdy „kant”. I tu  
wyciąga się ojczyznę. Biedna ojczyzna pokrywa  
wszystko, a jeżeli ktoś o niej zapomni, jest  
lajdakiem. Zarabia się — dla ojczyzny, ban-  
krutuje — dla ojczyzny, coś ci zarzucają, mó-  
wią żeś złodziej — nie zapomnij krzyknąć  
żeś patriota. Wybacz. Zupelne pomieszanie  
idei z materią. (...)

Polska usiada nam na mózgu i paraliżuje  
myślenie. Zamiast być „homo sapiens” nale-  
żymy do rasy „homo polacus”, do rasy ogłupio-  
nej ojczyzną, do kretynów chorobliwego patri-  
otyzmu i nacjonalizmu”.

Witold Gombrowicz pisze jeszcze, iż autor  
„Szkiców” próbując oderwać się od Polski  
wpada w nowy schemat, nazwał go „antynaro-  
dowym”. Ale i to nie tak wygląda, świadczą  
o tym chociażby ostatnie fragmenty książki,  
gdzie autor opisuje powstanie w Paryżu, po-  
równując je, myśląc o trwałym powstaniu w  
Warszawie.

Sądze, że zarówno Witold Gombrowicz jak i  
Andrzej Bobkowski w potyczkach toczonych z  
Polską osiągnęli swój cel: uzyskując potrzebny  
dystans do tych problemów.

## CO ZOSTAWIŁ PO SOBIE?

Był pisarzem dziwnym, traktującym swe pi-  
sarstwo jak czynność dorywcza, uboczną. Nie-  
wiele napisał. To co pozostało, świadczy o  
dużym talencie. Śmierć nie pozwoliła mu roz-

winąć się do końca. Pozostawił 2 tomy „Szkic-  
ców piórkiem”, wydanych w Paryżu dopiero w  
roku 1957. Obszerne fragmenty były drukowa-  
ne w „Twórczości”. Cała książka w końcu lat  
czterdziestych była złożona w „Czytelniku”.  
Niestety nie ukazała się w Polsce.

W roku 1970, już po śmierci autora, w to-  
mie „Coco de oro” wyszły opowiadania i ar-  
tykuły, ale nie wszystkie. Zostało jeszcze tro-  
che porzucanych po prasie emigracyjnej i  
znacznie więcej w gazetach krajowych. Pisał  
cykl artykułów, będących jakby przedłużeniem  
dziennika wojennego, które ukazały się w Iwa-  
szkiewiczkowskich „Nowinach Literackich”, „Ty-  
godnik Powszechny” drukował cykl „Z dzienni-  
ka podróży” i szkic „Lourdes”, który wszedł do  
„Coco de oro”.

Andrzej Bobkowski jest także autorem dra-  
matu „Czarny ptasek” i nie skończonej powieści,  
której fragment ukazał się w paryskiej „Kul-  
turze”, pt. „Zmierzch”.

Są listy. Napisał ich ogromnie dużo. Obok  
Jerzego Stempowskiego był największym „listo-  
pisem” emigracji. W wydawnictwie „Znak” ma  
ukazać się wybór jego korespondencji. W dru-  
gim numerze „Twórczości” z 1988 roku wydu-  
rowane zostały listy do Jarosława Iwaszkiewi-  
cza. Niezwykle ciekawa to lektura.

## W CZERWCU 1948 ROKU

wyjechał z żoną do Gwatemali. Decyzja o opu-  
szczeniu Europy była najważniejszą w jego ży-  
ciu. Dlaczego wyjechał? Odpowiedzi na to py-  
tanie można już szukać w „Szkicach piórkiem”,  
gdzie przewiduje, że kończy się definitywnie  
jakaś epoka, że Europa będzie musiała się  
zmienić, nasiąknąć ideami, które wojna wyzwo-  
liła i stary świat pęknie, powstanie nowy po-  
rządek, a ludzie, którzy zostali wychowani dla  
podtrzymywania starego porządku będą musieli  
przystosować się do nowego i jeśli nie zechcą,  
pozostanie im tylko ucieczka.

Andrzej Bobkowski odczuwał inność nadcho-  
dzącego świata, stawał w swoim wojennym  
dzienniku diagnozę, którą potwierdziła rzeczyw-  
iście, w jakiej znalazła się Europa w drugiej  
połowie lat czterdziestych. Pisał w „Na dro-  
gach Francji”, że pojawiły się nowe, obce kon-  
trasty, dużo kontrastów i żał mu, bo Francja  
wchłonęła je w siebie. A kraj, który był dla  
niego symbolem europejskiej kultury zmienia  
się na jego oczach, staje się obcy. Kocha go.  
Ale nie może nic zrobić, by zatrzymać to, co  
nadhodzi.

Andrzej Bobkowski w pisaniu swoim miał  
dwóch przewodników: po Francji oprowadzał  
go Honoriusz Balzac, dalej wskazał mu drogę  
Joseph Conrad. Można powiedzieć, że cały po-  
wojenny okres, właściwie już do końca życia  
wypełnił mu Conrad. W roku 1960 napisał  
esej pt. „Biografia wielkiego Kosmopolaka”,  
dotyczący właśnie Conrada. Esej ten jest —  
moim zdaniem — kluczem do zrozumienia An-  
drzeja Bobkowskiego po wojnie i to nie tylko  
w pisaniu, ale także w życiu. Pisał, że Conra-  
dowi udało się w pełni oderwać od Polski, ale  
przy tym wcale nie stał się Anglikiem.

„Nie był oczywiście Anglikiem, bo człowiek  
urodzony w Polsce, żeby nie wiem co wypra-  
wiało, żeby nawet spał z parasolem, może być  
co najwyżej przysłówowym Anglikiem z Kolo-  
mby (...). Ale także nie był już całkiem Pola-  
kiem. Był typowym okazem Kosmopolaka i ja-  
ko do takiego okazu należy do niego podcho-  
dzić”.

Pojęcie, które Andrzej Bobkowski ukuł —  
„Kosmopolak” — znakomicie pasuje do niego  
samego. Emigracja nie podcinała go, a wręcz  
przeciwnie, dawała mu siłę, a to niezwykle lo-  
su rządzenie, gdyż rzadko zdarza się, by od-  
dalenie od kraju pomagało, choć trzeba przy-  
znać, że wśród polskich pisarzy znalazłoby się  
kilku, którym wyjazd nie przeszkodził w pracy  
twórczej. Andrzej Bobkowski w Gwatemali pi-  
sze utrzymane w duchu conradowskim wspa-  
niałe opowiadania, będące małymi arcydzieła-  
mi, wyróżniającymi się na pewno w polskiej  
literaturze, oczywiście nie tylko emigracyjnej.

## DLACZEGO WYBRAŁ AMERYKĘ POLUDNIOWĄ?

Dlaczego Gwatemalę? Po pierwsze: bo to da-  
leko, niewiele tam z Europy docierało. Po dru-  
gie: bo i Joseph Conrad miał w swoim życiu  
taką chwilę, że chciał wyjechać do Ameryki.  
Tylko, że Conrad nigdy nie zrealizował swojego  
zamierzenia. Andrzej Bobkowski był Europej-  
czykiem i to w każdym calu. Zegnał Europę  
w „Dzienniku podróży”. Jest tam dużo smut-  
nych, wręcz wrzaszających fragmentów. Na  
przykład, pożegnanie z francuskim wybrzeżem,  
które poznał dobrze podczas rowerowych wy-  
praw. Miastom i miasteczkom nadaje ludzkie  
cechy, pociesza, że wróci, choć sam w to już  
nie wierzy.

Po wyładowaniu na amerykańskim konty-  
nencie zajął się „produkcją” modeli samolotów.  
Ponieważ zajęcie to było w Gwatemali zupeł-  
nie nieznane, dało mu podstawy, na których  
mógł oprzeć swoją i żony egzystencję. Kłopoty  
z jakimi, jak zwykle na początku, trzeba było  
się borykać, także barwnie opisał w listach do  
Jarosława Iwaszkiewicza.

Nie zaprzestał jednak pisania. Powstały jego  
opowiadania, eseje i artykuły. A były one coraz  
dojrzałsze i...

Andrzej Bobkowski zmarł 26 czerwca 1961  
roku. W Gwatemali wypalił polski wulkan.

## W BEŁCHATOWIE O OCHRONIE ŚRODOWISKA

Na wniosek kierownictwa organizacji partyjnych Elekrowni i Kopalni w „Bełchatowie”, za pośrednictwem KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim, w miniony piątek, 5 grudnia 1986 roku, w Elekrowni „Bełchatów” w Rogowcu odbyło się spotkanie przedstawicieli Elekrowni i Kopalni „Bełchatów” z kierownictwem redakcji tygodnika „Odgłosy”.

W czasie spotkania wymieniono poglądy na temat cyklu artykułów Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego: „Nasz Bełchatów”, traktujących między innymi o ochronie przyrody. W dyskusji przedstawiciele Elekrowni i Kopalni „Bełchatów” sprezentowali wiele nowych faktów oraz zakwestionowali niektóre podane w artykułach. W rezultacie powstała pilna potrzeba wnikliwego przestudiowania wielu danych zawartych w różnorodnych materiałach, jak też skonfrontowania ich z innymi danymi.

Redakcja pragnie też w najbliższym czasie zaprezentować poglądy przedstawicieli Elekrowni i Kopalni na temat ochrony środowiska.

## „KONCERTA NIE SĄ SZKODLIWE”

Życie muzyczne w Łodzi w połowie XIX wieku było słabo rozwinięte. Muzyka, zwłaszcza koncerty, interesowała się niewielką grupą zamożniejszych mieszczan. Stawiali się z nią przeważnie w kawiarniach, restauracjach, na zabawkach i balach. Grywała tam kapela miejska Józefa Kretschmera, zwana także Towarzystwem Muzycznym, złożona z 22 muzyków. Orkiestra ta od roku 1842 była na częściowym utrzymaniu miasta i z tej przyczyny do jej obowiązków należało grać w dni galowe przed ratuszem, a także w obu kościołach łódzkich podczas uroczystych świąt.

Znaczniejsze ożywienie ruchu muzycznego nastąpiło w latach sześćdziesiątych. W tym czasie powszechnym stało się bywanie na koncertach w prywatnych ogrodach Paradyż, Elisium i innych. W Elisium, przy zbiegu ulic Emilii (3 Marceja) i Przędzalnianej, w każdą czwartek grał zespół Kretschmera. Prezydent Łodzi, Franciszek Traeger, chwalił tę imprezę, mówiąc: „Koncerta po obiedzie, raz na tydzień, zwłaszcza uczęszczane przez możniejszych fabrykantów, nie są szkodliwe, owszem — niejednego odprowadzą od innych i mniej przyzwoliliwych towarzyszy”.

W Paradyżu koncerty odbywały się dwa razy w tygodniu, niedziela i poniedziałek. Prezydent Traeger przy wyrażeniu zgody na te imprezy postawił warunek następujący: „aby muzyka nie trwała dłużej jak do godziny dziesiątej wieczór, aby nadmierne używanie trunków, zwłaszcza przez czeleź i niższą klasę rzemieślniczą, nie miało miejsca, aby spokojność i porządek były przestrzegane”. Koncerty urozmaicano muzyką taneczną, przy której zabawiali się bywalcy ogrodów. Część dochodów z imprez przeznaczano na cele dobroczynne.

W latach sześćdziesiątych pojawiła się w Łodzi orkiestra symfoniczna Augusta Heinricha. Liczyła ona ponad 20 muzyków. Orkiestra ta, składająca się przeważnie z 5 muzyków, urządziła koncerty o znacznej wartości artystycznej. Po nieudanych staraniach o nominację na dyrektora miejskiej muzyki Heinrich wiosną 1870 r. opuścił Łódź. Po nim przedownictwo w łódzkich koncertach wiodła orkiestra teatralna Fryderyka Sellina pod kierownictwem skrzypka G. Steinhauera. W 1872 r. Steinhauer wyjechał do Kijowa, zaś kierownictwo orkiestry przejął teatrycy Wiesenberg. Dzielił on występy swego zespołu między teatr i ogródki koncertowe.

Spośród szeregu orkiestr łódzkich głośna stała się Miejska Kapela pod dyrekcją Roberta Orzechowskiego, występująca w latach 1873—1876. Orkiestra ta, mająca w swym składzie kilku dobrych solistów, koncertowała najczęściej w Paradyżu, czasem też w Teatrze Letnim Sellina. Wyjeżdżała również na gościnne występy do różnych miejscowości. Zespół Orzechowskiego, jak wszystkie dotychczasowe orkiestry łódzkie będący w własnym rozrachunku, na skutek trudności finansowych został w 1876 r. rozwiązany.

Odwiedzając Łódź towarzystwa dramatyczne w swoim repertuarze uwzględniały znacząco zainteresowanie łodzian spektaklami muzycznymi. Dzięki temu społeczeństwo miejscowe miało możliwość poznać wodewile, balety, opery i operetki. W 1867 r. w Łodzi wystawiono balet „Wesele w Ojcowie”, a następnego roku komedio-operę „Cud zmienił, czyli Krakowscy i Górale”. Goszcząc w Łodzi towarzystwa dramatyczne korzystały częstokroć z pomocy zespołów muzycznych związanych na stałe z miastem.

Znaczącą rolę w życiu muzycznym ówczesnej Łodzi, zwłaszcza jeśli chodzi o upowszechnienie muzyki w szerszych kręgach społeczeństwa, spełniały stacjonujące tu orkiestry wojskowe 6 pułku dragonów i 37 pułku piechoty oraz 10 brygady artylerii ze Zgierza. Dyrygentami ich byli najczęściej Niemcy, Czech i Polacy. Orkiestry wojskowe koncertowały często w łódzkich parkach podczas różnych festynów i tomboli. Spore uznanie miejscowej publiczności zyskiwały sobie kapela wojskowa pod batutą Edwarda Dietricha i Franciszka Adamczyka.

Szczególną popularnością cieszyły się koncerty orkiestr wojskowych w parku Helenów (obecnie park im. 19 Czerwca). Muzykowie prezentowali w Helenowie repertuar lekkiej muzyki, melodie operetkowe. Melomani korzystali z koncertów z popołudniowych koncertów kapeli wojskowej, jak i z rannych przedchodzących „przy koncertach”, trwających od 6 do 9 rano. Podziwiać należało ówczesnych łodzian, którzy dla wysłuchania koncertu nie wahali się zerwać z łóżek o tak wczesnej porze.

Nie wszyscy miłośnicy muzyki byli zadowoleni z popisów kapeli wojskowych. „Orkiestra względnie zgrana, repertuar obfity — pisał sprawozdawca „Rozwoju” — ale zawsze to trębacze i zawsze jeden i ten sam kolorystyczny melodi, więc nudny, zamknięty w ciasnej skali instrumentów dętych, bez urozmaicenia, jakie daje orkiestra kombinowana smyczkowa i dęta”.

Niemalże znaczenie dla poszerzenia kultury muzycznej wśród mieszkańców Łodzi — zwłaszcza zaś w klasie robotniczej — miała działalność amatorskich zespołów muzycznych. Pod koniec XIX wieku powstało w mieście kilka orkiestr amatorskich, związanych z różnymi przedsiębiorstwami i instytucjami. Były to między innymi orkiestry fabryczne zakładów włókienniczych K. Scheiblera oraz J. Heinza i J. Kunitera, a także orkiestry Ochotniczej Straży Pożarnej, Kolej Warszawsko-Wiedeńskiej oraz Stowarzyszenia Pracowników Handlowych. Najstarsza z nich, orkiestra scheiblerowska, założona została w roku 1885 i prowadzona była przez Arno Thonfelda. Liczyła 28 osób, w większości robotników. Na utrzymanie jej wspomniane przedsiębiorstwo wydatkowało 2 tys. rubli rocznie. Orkiestra miała w swoim repertuarze utwory poważne jak i muzykę lekką. Koncerty były bezpłatne i dostępne dla wszystkich. W porze zimowej muzykowanie odbywało się w sali Klubu Pracowniczego na Księżym Młynie, latem zaś w parku miejskim Źródlińska, gdzie wzniesiono istniejącą do dnia dzisiejszego estradę dla orkiestry, bądź też w osiedlowym ogrodzie spacerowym. Ponadto orkiestra scheiblerowska występowała na specjalnych uroczystościach w przedsiębiorstwie, a także w mieście. Podobny zakres działalności miały pozostałe orkiestry amatorskie.

Wybredni melomani łódzcy odczuwali potrzebę utworzenia w mieście stałej orkiestry symfonicznej. Zabiegi czynione w tym kierunku przez dyrygenta Otto Heyera speliły wszakże na ni-

czym, nie znalazły bowiem wsparcia władz miejskich. Sytuacja uległa zmianie po założeniu w 1899 r. Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego. Wkrótce Henryk Melcer zorganizował przy nim 50-osobową orkiestrę symfoniczną. Występowała ona rzadko, bo raz na dwa miesiące. Koncerty stojące na wysokim poziomie przeznaczone były dla wąskiego grona zamożnych snobów. Z chwilą wybuchu rewolucji 1905 r. orkiestra została rozwiązana.

WACŁAW PAWLAK

## JEDENASTE — NIE DENERWOWAĆ!

W sobotę 15 listopada 1986 roku ukazała się na łamach prasy informacja następującej treści:

„W środę 12 bm. w zakładzie karnym w Barczewie zmarł w wieku lat 90, jeden z najbardziej znanych zbrodniarzy hitlerowskich — Erich Koch. Był on m.in. gansterem i nadprezydentem Prus Wschodnich z siedzibą w Królewcem, Siepacze z SS i Wehrmachtu podlegający Kochowi, wymordowali podczas II wojny światowej 4 mln ludzi! Wywieźli na przymusowe roboty do II Rzeszy 2 mln Polaków, Rosjan i Żydów. Po powstaniu warszawskim Koch pomagał rabować Warszawę — kiedy to powierzono mu organizację transportu wszelkich kosztowności wywożonych z naszej stolicy do Rzeszy. Z nazwiskiem Kocha wiąże się m.in. tajemnica słynnej „bursztynowej komnaty”, której do dziś nie odnaleziono.

Po wojnie Koch został schwytany przypadkowo, przekazany okupacyjnym władzom brytyjskim, a następnie Polakom. W 1959 roku za swe zbrodnie otrzymał przed polskim sądem wyrok kary śmierci, którego jednak nie wykonano ze względu na stan zdrowia Kocha.

Jeżeli ktoś sądzi, że wiadomość ta przeszła bez echa, że nie wywołała komentarzy, jest w błędzie. Odstając swoje w różnych kółkach, czy w innych skupiskach ludzi się znajdujących, można było wielokrotnie słyszeć wymiany poglądów na temat tego wydarzenia, a wszystkie one miały wspólny mianownik — dlaczego kłamli i w dodatku tak nieudolnie?

Co do tego jak się powinno zawiadomić społeczeństwo o zgonie Ericha Kocha zdania były już podzielone. Jedni twierdzili, że trzeba było wreszcie napisać całą prawdę, a ta prawda — ich zdaniem — polega na tym, iż chciano od Kocha wydobyc tajemnicę „bursztynowej komnaty”. Drudzy natomiast rozmawiali tak: — skoro nie chciano powiedzieć wszystkiego do końca, trzeba było stwierdzić tylko, że zmarł, nie wdając się w szczegóły.

Erich Kocha — jak stwierdza Wielka Encyklopedia Powszechna na PWN — okupacyjne władze brytyjskie wydały Polsce w 1950 roku. Śledztwo ukończono w roku następnym, rzecz była oczywista i dowodów winy długo szukać nie było trzeba. Sprawę oddano jednak aż do 1959 roku z powodu choroby supermordercy.

I tu rodzi się wątpliwość pierwsza. Oczywiście mógł — chociaż jak się okazało, niepotrzebnie — Erich Koch ciężko się przestraszyć. Dał tego dowód, gdy na wiadomość o decyzji wydania go polskim władzom najpierw symulował ciężką chorobę, a następnie próbował popełnić samobójstwo. Angielscy lekarze szybko jednak poznali się na draniu i wykspediowali go do Polski.

Przez osiem lat — co łatwo policzyć — nasza służba zdrowia niezmiennie widać twierdziła, że stan zdrowia nie pozwala Kochowi uczestniczyć w rozprawie i dopiero w 1959 roku rozpoczął się przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie proces zakończony 9 marca tego roku, wydaniem wyroku śmierci na oberkerta.

Ale Erich Koch chorował wyrokiem dalej na zdrowie przez dalsze 27 lat i dopiero dobry Pan Bóg położył kres tej przeciągającej się poza wszelkie granice przyzwoitości farsie.

Zdarzyła się ponoć w okresie drugiej wojny światowej następująca historia: Jeden z naszych generałów znajdując się na Zachodzie, i nie mogąc ze względu na poduszki wiek iść na front, odwiedzał wojskowe obozy. W czasie rozmowy z żołnierzami Staszkiwi wyrwało się jakże niefortunne zdanie, które wywołało żywiołową wesołość wśród podchorążych. „Ja moi drodzy — powiedział — chętnie oddałbym życie za ojczyznę, tylko mi zdrowie nie pozwala”.

Analogia to bardzo daleka, ale życząc, że istnieje jakiś logiczny związek między zdrowiem i życiem, czy też między zdrowiem i śmiercią.

Erich Koch był śmiertelnie chory przez 36 lat, dożył okrągłej 90-tki i daj Boże takie zdrowie każdemu. Czyżby więc myliła się nasza medycyna? Powiedzieć sobie wprost — lekarzy mamy dobrych i aż takiej pomyłki nie mogli popełnić. Skoro zatem nie o stan zdrowia chodziło, to o co? Dziesiątkami i setkami najwęższych wyroków dokumentowaliśmy, że nie ma u nas pobłażania dla hitlerowskich zbrodniarzy. Skoro Erich Koch — jeden z najgorszych — wybronił swoje parszywe życie, musiała być jakaś przyczyna tego wyjątkowego traktowania.

Panuje nieustępliwe przekonanie, że w utrzymywaniu Kocha przy życiu ściśle się wiąże tajemnica „bursztynowej komnaty”. Osiemnastowieczna Komnata, wykonana przez kopenhaskich, gdańskich i królewieckich artystów w pałacu w Carskim Siole, wspaniale udeziło sztuki wywieżona została przez Niemców w 1942 roku i ślad po niej zaginął. Uważano, że Erich Koch, który ten rozkaz musiał wydać, wie o miejscu jej ukrycia. I żeby wszystko było jasne — jeżeli taki był powód przedłużenia nędznego żywota arcyzłota można to zrozumieć. Każdy naród winien dbać o swą kulturę materialną i duchową, a ludzie rzeczący strają bursztynowej komnaty niemają ponieśli ludzkie zbrodnie w swą dzisiejszą spuściznę.

Tak prawdę jednak mówiąc, chociaż mogą przy tej okazji różne myśli po głowie. A może się to bardzo cackano z bandziorom? A może trzeba mu było pomóc w odzyskaniu pamięci?

No, ale stało się i Erich Koch, ostatnie wydając tchnienie, miał być może także ostatnią satysfakcję, że to tym zagrał na nienawidził — choć pozabawiony władzy i wolności — zgrał na nosie. Wydawałoby się, że po tym co świat przeszedł w latach ostatniej wojny, ludzie pokroju Ericha Kocha napotykać powinni tylko na mur nienawiści i pogardy. Diabła tam! Zadeklarował się Erich Koch jako chrześcijanin i widać w myśl dewizy „miłujcie nieprzyjaciół wasze”, aż z bądz co bądź odległej Republiki Federalnej Niemiec otrzymywał — co za ironia — duchowe wsparcie. Udzielał mu takiej duchowej pociechy przyjeżdżający specjalnie w tym celu do Polski jeden z znanych zachodniemieckich pastorów. Nie wiem o czym rozmawiali ze sobą w zaciśniętym wycieńczeniu kapłan i ludobójca, ale jeżeli tenże pastor spełniał tylko swą kapłańską powinność, naprawdę można mu współczuć. Nawracanie bowiem diabła, jak dotąd nie było w historii Kościoła praktykowane.

Wrakując o owej gazetowej informacji uzmysłowić trzeba by że powracając jak bumerang w okresie burz i naporu hasło: „prasa kłamie” naród zdezorientuje nie tylko słowem wrogim socjalizmowi. I podejrzawać można, że z owych sil przedstawieli śmiejąc się w kulak i ręce zacieraając, czytając takowe niefortunne enuncjacje, w które nikt wierzyć nie chce i nawet pretensji mieć o to nie można.

To jest właśnie ta druga sprawa. Może nawet ważniejsza od pierwszej.

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

## CO WIEMY O KAROLU ZBYSZEWSKIM?

Wielkie brawa dla Tomasa A. Włodkowskiego, który w artykule „Julek lubił balet...” z pietyzmem „odkurzył” i życzliwym słowem opatrzył, mało znaną i trudno dostępną książkę pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu” Karola Zbyszewskiego. Jestem tym szczególnie wdzięczny, który miał możliwość przeczytać tę rzecz, a autora artykułu, że warto rozważyć możliwości jej nowego opracowania i wydania.

Prawdopodobnie, mimo pewnych — widać skromnych — zainteresowań literaturą, umiarbym w niewiedzy, że istnieje tak wspaniała biografia Juliana Niemcewicza, gdyby nie bibliofilskie i czytelnicze zainteresowania jednego z moich uczniów. Otóż dostrzegł on zapewne moje wysiłki zmierzające do ukazania wielkich postaci nie „na kolanach”, ale właśnie w sposób normalny, w całej krasie posiadanych zalet i ułomności. Przyniósł więc wspomnianą pozycję i zaproponował jej przeczytanie, aby dać wyraz temu, że jednak można inaczej, można i trzeba „odbrzązwać”, jednocześnie niczego nie ujmując z wielkości i zasługi.

W pierwszym rzędzie jednak pragnę zwrócić uwagę na pewną drobną niesciłość. Książkę Zbyszewskiego czytałem wprawdzie w ogromnym pośpiechu, bo czas naglił, ale na tyle uważnie, aby pamiętać, że nie była wydana tylko jeden jedyny raz, jak informuje swoich czytelników Tomasz A. Włodkowski. Ile było wydań, dokładnie nie wiem, natomiast z całą pewnością mogę stwierdzić, że co najmniej dwa, gdyż właśnie wydanie drugie, którego wydawcą w roku 1939 było Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, mam przed sobą, gdy piszę tę korespondencję.

Po przeczytaniu książki o Julianie Niemcewicu starałem się bliżej zainteresować Karolem Zbyszewskim i jego książką, nieścisły błąd pozostawiając efektowi. Skłania to do wniosku, że nie tylko książka jest trudna do dostania, ale i autor znany jedynie wąskiemu gronu historyków literatury. Inaczej nie umiem sobie wytłumaczyć tego faktu, że w żadnej z dostępnych mi lektur, nie spotkałem się choćby ze wzmianką o Karolu Zbyszewskim. Nawet w jednym z najnowszych wydawnictw: „Literatura polska — przewodnik encyklopedyczny”, gdzie pod literaturą polską znajduje się bibliografia przedmiotowa, pod hasłem „Niemcewicz Julian Ursyn” nie ma słowa o K. Zbyszewskim.

O Zbyszewskim wlem tylko tyle, co napisano w przedmowie, a więc, że był przyjacielem Stanisława Mackiewicza, że zapowiadał się jako wzięty publicysta, a wielkość jego pióra polegała na „niesłychanej jedności i wyrazistości”. Ponadto, że był historykiem Polski z XVIII wieku i jego „stosunek do króla — kołchanka, króla — Stasia, króla — rokoko przypomina młodego draba, który od starego estety i mecenasa sztuki, od starego arystokraty o pięknym obliczu, lecz sflaczających nogach, wymaga, aby dobrze kopał piłkę i trzęsł nim i wymyślał za to, że ten nie umie grać w football”.

Dopełniając zdanie Tomasa A. Włodkowskiego, że „książka została dedykowana młodemu historykowi, aby wiedzieli jak pisać prace doktorskie”, należy powiedzieć, że „Niemcewicz od przodu i tyłu” jest właśnie pracą doktorską Zbyszewskiego, która nie została jednak przyjęta, mimo że, jak pisze w przedmowie Stanisław Cat-Mackiewicz, „w osobie Karola zbiegł się historyk o nie było jakiej erudycji i dzielnikarstwa pierwsorzędny, więc książka ta staje się lekturą wspaniałą, oryginalnym rarytatem dla ludzi o wyrobionym podniebieniu literackim”.

Myślę, że na zakończenie warto przytoczyć z przedmowy jeszcze jedno zdanie, a mianowicie, że w czasach niesłychanie pompatycznej, mdławej wzniosłości, w powodzi tych nieudbnie skrojonych frazesów, typer-frazesów, ultra-frazesów, którymi prześladowana jest Polska, od góry do dołu, od toaśów pp. wójtów do exposé pp. ministrów, lapidarności Karola, chociażby brutalna, chociażby obelżywa, staje się tym, czym zimna woda dla spoconego w duchocie ciała”.

STANISŁAW SOWIŃSKI

## MIGAWKI

### I. O SPRAWACH SZKOLNYCH

„Matematyka 8”, czyli podręcznik matematyki dla ósmej klasy szkoły podstawowej. Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, 1983. Druk: RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Łodzi (dla porządku: zamówienie nr 2648/1687). Podręcznik, który z założenia ma obsługiwać trzy kolejne roczniki uczniów. I nawet na okładkach są odpowiednie napisy, kto używał jako pierwszy, jako drugi, jako trzeci. Mój syn jest tym drugim. Ale czy trzeci będzie mógł z książki korzystać — raczej wątpliwe.

Wiadomo, że książki szkolne są szczególnie „obciążone”, w trakcie ich eksploatacji. To nie jest pozycja, którą po zakupie czyta się raz lub kilka razy i odstawia na półkę. To jest przedmiot używany na co dzień, noszony w przeładowanych teczkach czy tornistrach. Wydawałoby się więc, że powinny być one produkowane ze szczególną starannością. A tymczasem jest to z reguły bubeł. Na kiepskim papierze, klejony, a nie zeszyty. Dlaczego? Czyżby odpowiedzialność za wszelką niedogodność lub niemoc produkcyjną? Wątpliwe. Raczej brak wyobraźni.

Siedzę więc nad „Matematyką 8”, zastanawiam się komu to wszystko zawdzięczamy i — czy i jak będę mógł to dzieło wydawnicze posklejać na koniec roku, aby oddać w szkole następnemu dziecku?

Szanujemy więc ten papier, czy nie? Bo z drugiej strony szkoły oblepione są plakatami na temat krwiodawstwa. Nie neguję — temat szczerzy, godny ze wszelkich miar poparcia. Tylko gdzie: czyżby czterdziestolatki miały oddawać krew? A wpojenie pewnych zasad i ideałów następuje w dzieciństwie w czasie. Coś się chyba komuś pomylilo. Albo chce „odfajkować” temat.

### II. O METODACH

Prasa doniosła, że któryś z organów społecznych wniosł do prokuratury zarzut przeciwko „Skautom Piwnym”, iż reklamują oni spożywanie napojów alkoholowych. Mój Boże — różne rzeczy sobie wyobrażałem, ale wyobraźnia moja (i chyba nie tylko moja) nie nadążyła za rzeczywistością. Tak więc wykonawcy, a może nawet i autorzy programu TV, który leciał przez szereg miesięcy, był akceptowany, cenzurowany itp. nagle naruszają przepisy ustawy o wychowaniu w trzeźwości!

Nasuwa się pytanie: gdzie byli ci działacze wcześniej? Czemu nie skarży telewizji, bo ta przecież pierwsza publikowała nieciekawe podobno produkcje Skautów. Dlaczego dopiero teraz? A może rzeczywiście wykonawcy pobierają jakieś ankaże od producentów piwa i — nie daj Boże — innych napojów alkoholowych, co przecież jest domeną Państwa, za reklamę?

W. AFELT

1.

Niech pan wycofa pieniądze z tego drapacza chmur — poradziła Grażyna osiłekowi. — Złatwiłam panu niedaleko stąd tani pensjonat. Będzie pan płacił trzy tysiące za dobie.

Rzuciłem mściwie:  
— Sam mógł pan to złatwić już pierwszego dnia, gdyby się panu zechciało ruszyć sto metrów w lewo lub w prawo. Tak czy owak, wycofaj pan te pięćdziesiąt kawalków i będziesz pan zaraz bogatym człowiekiem.

Osiłek popatrzył na mnie bez uśmiechu. Nie uśmiechnął się również do Grażyny.

Wyszli.  
Nie powiedział: — Dziękuję.  
W jego zasobnej skądinąd polszczyźnie brakowało zwrotów grzecznościowych.

2.

Wrócił po godzinie. Tak, jakeśmy z konsulem podejrzewali, bagaż trzyosobowej rodziny, która przyleciała do Meksyku z końca świata, ograniczał się do jednej sztywnej eleganckiej walizki, podobnej kropką w kropkę do aktówki Romana, ale trzy razy większej. Można by ją nazwać dyplomatką, gdyby istniał w jakimś kraju czterometrowi ambasadorowie.

— Dałbym w łeb — powiedziałem cicho do Grażyny.

— Za co?  
— W pierwszym rzędzie za dziecko, w drugim za żonę. Łobuz. Nie miał prawa ich narażać.

Kobieta pytała:  
— Był telefon, Józek?  
— Był.  
— Gadalesz?  
— Le tam. Ktoś śwargotał po amerykańsku, nie mogłem zrozumieć.

— Pieniądze za hotel odebrałeś?  
— Odebrałem, odebrałem — przytaknął gderliwie osiłek, który żywił nadzieję na znacznie większe pieniądze od krewniaków-Polaczków z USA.

Aczkolwiek było to bardzo blisko, konsul wziął kartkę i zaczął szkicować z zaznaczeniem wszystkich przecznic szlak, który zaprowadził miał rodzinę do nowego siedziska. Ja z kolei rysowałem drogę do najbliższego przystanku metra i tłumaczyłem, jak dostać się na lotnisko.

Powtarzaliśmy raz po raz:  
— Samolot jest o jedenastej, ale musicie wstać rano, najlepiej o szóstej, zakładając, że w drodze może się coś skomplikować. Na dworcu lotniczym powinniście być najpóźniej dwie godziny przed odjazdem.

— To polecim, panie?  
— Kto wie? Dzwonił, Grażyna, do Aeroflotu. Grażyna zadzwoniła i tłumaczyła cierpliwie, jak bardzo zależy ambasadzie na trzech miesiącach dla skrachowanej polskiej rodziny.

Szepnęłam jej dwa słowa na ucho. Skinęła głową i mówiła w mikrofon:  
— Pan Makowiecki rezygnuje, więc jedno miejsce już jest. Ale bardzo, bardzo prosimy, żebyście zabrali go w przyszłą sobotę. Jeśli trzeba, będzie interweniował w tej sprawie dyrektor Tomczyński.

— Na jutro?

— Rozumiem, ale co oni mają zrobić? Są z małym dzieckiem, Lenoczką. Zmłuj się!

Odłożyła słuchawkę. Była blada i zdenerwowana.

— Na razie jest komplet.  
— Znaczą się, nie polecim, panie?  
— Istnieje taka możliwość — przyznała Grażyna.

Osiłek pompował spracowanymi piąchami i sapał donośnie. Żona znów dała upust łzom. Sprawiała wrażenie najnieszczęśliwszej istoty na świecie.

— Proszę się uspokoić — powiedziałem. — Jest pani w pięknym kraju. Czekają panią piękna podróż. Miliony Polaków wyliby z radości, gdyby mogli znaleźć się na pani miejscu.

— Nie ma to jak u siebie, panie.

— Ano, nie ma, nie ma. Czuję, że pojutrze będziecie w domu, a jak nie, to nie brak wam już pieniędzy: starczy, żeby jeść, pić, śpiewać, tańczyć i kupić banany. Niech pani popatrzy na córkę.

Popatrzyła.  
— Śmieje się i jest zdrowa — powiedziałem.

I wyszedłem.

3.

Polecieli.  
Grażyna ucieszyła się serdecznie, konsul odepchnął, po czym zajął się inną Polką z dzieckiem, która przekroczyła granicę Stanów Zjednoczonych, ale w przeciwną stronę. Temat trochę mi już spowszedniał. Ostatnim godnym uwagi faktem było poznanie dwóch rodaków, którzy przybyli do Meksyku półtora roku temu, przebrnęli Rio Bravo, podjęli bez wizy pracę w USA, następnie wrócili do Meksyku i odlecieli do Polski na ten sam bilet LOT-u, który wykupili przed wyjazdem w Warszawie.

Polak potrafił! Ale Meksyk, do diabła, to nie tylko Polacy. W sobotę po południu pojechałem na Plac Trzech Kultur i przeczytałem ze wzruszeniem wykute w kamieniu słowa:

DZIA 13 SIERPNI 1521 ROKU TLATELOCO, BOHATERSKO BRONIONE PRZEZ CUAUHTEMOC, ZOSTAŁO ZDOBYTE PRZEZ HERNANA CORTESA. NIE BYŁO TO ANI ZWYCZYSTWO ANI KLĘSKA. BYŁY TO BOLESNE NARODZINY NARODU METYSÓW, KTÓRY JEST DZIŚ NARODEM MEKSYKAŃSKIM.

Grzegorz Jaszufski komentuje ten napis:  
„Tablica jest wymowna i charakterystyczna dla mentalności współczesnych meksykańskich intelektualistów i polityków. Podkreślają oni to wszystko, co łączy naród meksykański, a starannie unikają wydobywania z przeszłości wydarzeń, które by mogły doprowadzić do zatargów między potomkami Indian a potomkami hiszpańskich konkwistadorów.

Nie jest to równoznaczne z fałszowaniem historii. Dzieci dowiadują się w szkołach, jak Hiszpanie zdobywali Meksyk, i dowiadują się, że było to połączone z eksterminacją miejscowej ludności i ze zniszczeniem przekazów jej kultury. Ale zarazem dowiadują się, że w cią-

gu następnych setek lat — za rządów hiszpańskich wicekrólów i po uzyskaniu przez Meksyk niepodległości — kształtował się jednolity naród, który potrafił połączyć trzy kultury (indiańska, hiszpańska i metyska — przyp. A.M.) w harmonijną całość. Wyrazem tego połączenia stała się w moich oczach chłopka ze stanu Oaxaca siedząca obok mnie w autobusie. Rysy jej twarzy nie pozostawiały wątpliwości, że jest czystej krwi Indianką. Do dwójki dzieci, z którymi jechała, mówiła ładnie po hiszpańsku.

Jan Szerszeń udzielił mi kilku przykazań. Powiedział między innymi, że powinienem poświęcić dzień na staranne zwiedzenie Muzeum Antropologicznego. Jeśli tego nie zrobię, opuszczę Meksyk zubożony i nie znajduję klucza do serca i duszy Metysów.

Poszedłem więc do muzeum, przeklinając

bijanla twardej, niedużej peloty. Odbijano ją również kolanami, udami, tułowiem i stopą, przy czym trzeba od razu powiedzieć, iż nie tylko futbol, lecz i wszystkie inne piłkarskie gry wykluczały się w Meksyku. Była tu imitacja siatkówki, koszykówki, szczyptorniaka i baseballu, za którym szaleje Ameryka. Można obejrzeć kamienne pierścienie oraz kamienne i drewniane łopaty, którymi walono z rozmachem w piłkę.

Hiszpańscy zdobywcy Meksyku ulegli czarowi nieznanemu w Europie rozrywki, zwalczali ją jednak, szczególnie księża, jako przejaw barbarzyństwa i jeden z filarów pogańskiej wiary. Piłka zesłała w pewnym sensie do podziemia, jak w stałowskiej Polsce jazz. Grano w ustronnych miejscach, w dżunglach i na pustyni, kogo złapano, ucinano mu rękę lub nogę, co było karą sto-

Pewnego dnia poszedłem na film Johna Boormana „Zagubiony w Amazonce” (Perdido en el Amazonas). Dla polskiego widza byłby to średnio atrakcyjny film rozrywkowy. Ot amerykański inżynier buduje elektrownię nad ogromną rzeką. Brygady białych robotników wdzierają się w dżunglę, drzewa padają pod piłami, rosną nowe, blokowe osiedla, powstają bary i burdele, cywilizacja gryzie dziewczicą Amazonię swoimi brudnymi kłami.

Inżynier mieszka z żoną i dwójkiem dzieci. Paroletni synek ma duszę wędrownika. Gubi się raz i drugi. Jedzie z ojcem na budowę. Zagłada w mrok dżungli. Zostaje porwany przez indiańskie plemię Niewidzialnych.

Następuje kilkunastoletnia przerwa w akcji. Wiemy jednak, że rodzina szuka cały czas chłopaka. Małpa zaczyna pracować w przytłoku dla sierot z nadzieją, że rozpoznaje w jednym z owych nieszczęśliwych, bezdomnych dzieciaków swego syna. Ojciec studiuje język amazońskich Indian i przemierza z przyjaciółmi dżunglę rzeźne zakątki.

Chłopiec tymczasem osiąga wiek męski. Zostaje usynowiony przez wodza Niewidzialnych i jego żonę. Uczy się polować i walczyć. Jest szczęśliwy. Pała uczuciem do pięknej, indiańskiej dziewczyny.

Powiniem dodać, iż scenariusz oparto na autentycznych wydarzeniach, co bez wątpienia przydaje filmowi dramatyzmu.

Przyjaciel ojca zostaje zamordowany przez podłe indiańskie plemię, pozostające z Niewidzialnymi w stanie wojny. Inżynier ucieka, goni go uzbrojona w dzidy i łuki dzicz. W tych oto okolicznościach zagubiony syn poznaje swego prawdziwego ojca, wyciąga go z tarapatów i niesie ciężko rannego na plecach do wioski Niewidzialnych.

Inżynier wraca do zdrowia dzięki znachorskim zabiegom starego wodza. Indianie są wobec niego grzeczni i usłużni: proponują mu nawet piękną kobietę do hamaku, chcą żeby został. Inżyniera ciągnie jednak do domu. Oczekuje, że przystojny, choć zdziwały syn porzuci Niewidzialnych i wyruszy z nim w drogę.

Chłopak kocha go, lecz jeszcze bardziej kocha swoją przybraną rodzinę, której nie ma zamiaru zdradzić. Ścierają się dwie cywilizacje, dwie wizje szczęścia, dwa różne poglądy na świat. Z jednej strony chciwość, bezprawie, ryk budźców i loskot padających drzew, z drugiej nieczym nie zmażony spokój.

Racje te przemawiają do inżyniera na tyle, iż przestaje namawiać syna do powrotu. Sam wszelako marzy o powrocie. Zostaje usyniony. Wojownicy z plemienia Niewidzialnych przenoszą go w stanie nieświadomości w pobliskie miasto, po czym wracają na swoje leże w odmetach dżungli i zastają widok mrozący krew w żyłach.

Wrogie im plemię indiańskie wymordowało kobiety i starców, zaś młode dziewczęta, z nagimi piersiami i kusymi włosami, wrzynającymi się w posiadki opaskami na biodrach, zostają sprzedane za wódkę w burdele, którym, nawiasem mówiąc, zarządza sympatyczny i czynny tatuś niewolnicy Isaura.

Oj, zmienił się ten poczciwy chłop! Bestia. Czystej wody skurwysyn. Ubiera niewinne dziewczęta indiańskie w pstrukate sukienki i zmusza je do nierządu.

Ale bieży już pomoc. Młodzi wojownicy Niewidzialnych odbijają swoje urodzone żony, naręczone i siostry biorąc srogi odwet na indiańskich przeciwnikach i masakrują pracowników burdele.

Stary wódz ginie przekazując władzę przybranemu, lecz ukochanemu dziecku, synowi inżyniera. Ten, siłą zaklęć i woli, spiętrza potężny nurt Amazonki: fale rozbijają wzniesioną przez inżyniera elektrownię, z czego należy wysnuć wniosek, iż ekspansywna dżungla pokryje z czasem wyręby i odzyska utracone obszary.

Świat do dżungli. Indiańskie plemię jest niewidzialne w świecie (w dżungli). Kiedy opuszcza dżunglę (świat), grozi mu zagłada. Wierzy jednak w potęgę świata (dżungli), który gwarantuje człowiekowi radość, zgodną z prawami natury egzystencji. Wódz Niewidzialnych, zielonooki syn inżyniera, bierze za żonę urodziwą Indiankę. Pobierają się inne pary. Więcej pań niż panów. Te, którym brak męża, mają prawo spać z wodzem. Księżycowa noc. Polanka. Sielanka. Koniec.

W Europie ludzie opuściliby kino dowcipkując. W Ameryce tłum wychodzi na ulicę w grobowym, pełnym zadumy milczeniu. Oczy kobiet są mokre od łez. Mężczyźni panują dzielnie nad wzruszeniem, ale mają w twarzy coś groźnego. Słyszą szepc:

— Uczciwie pokazane.  
— Piękny film.  
— Przeklęte miasto!

W Europie dzieło Johna Boormana odczytamy jako egzotyczną bajkę. W Meksyku, kraju, który, podobnie jak Brazylia, posiada na południu dziewicze tereny, niezbadane i nie tknięte stopą cywilizowanego człowieka, opowieść amerykańskiego reżysera brzmi autentycznie — jest czymś bliskim, w pewnym sensie namacalnym; zmusza do refleksji.

Skąd bierze się w Meksyku powszechny pęd ludności do wielkich miast? Dlaczego Meksykanie odwracają się plecami do (bydwo) oceanów, w których są ryby i mariscos, a nad brzegami nie brak urodzajnych pól i owoców gwarantujących przetrwanie?

Natura ludzka jest przewrotna. Palmy papierosy, choć szkodzą. Ciągniemy do zatrutych spalinami ulic, choć można jeszcze znaleźć w każdym kraju oazy świeżego powietrza. Najmniejsze mieszkanie w mieście bywa silniejszym magnesem niż wygodny dom w wiejskim ustroniu.

Laknemy hazardu. Ruch, wrzask, tłok, przepychanka. Oto czego nam trzeba. Bez tego nudno. Bez tego smutno. Bez tego żaden pucybuit nie ma prawa marzyć, iż któregoś dnia zostanie milionerem.

C.D.N.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Chwył odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

(13)

złamany palec, który ledwo mieścił się w białym, szwedzkim trepie. Nie żalowałem wszelako. Oprócz stałej ekspozycji czynna była akurat wystawa poświęcona dziejom meksykańskiej piłki. Dołączyłem do niej, iż teza o latyno-amerykańskim rodowodzie futbolu jest wierutną bzdurą, teraz nie mam wątpliwości, że to prawda. Diego Maradona, też jakby lekko podrasowany indiańskim brzemem, posiadał swoich meksykańskich poprzedników: zachowały się liczne tego świadectwa, i to sprzed naszej ery.

Najpierw kopano uciętą i zakrwawioną głowę wroga, potem, w wiekach średnich, zabawa ucywilizowała się trochę: grano w kokosy, w wypchane trawą szmacianki i skóry. Już wówczas był podział na amatorów, wybiegających na boisko od przypadku do przypadku, i zawodowców, cieszących się takim szacunkiem we wspólnotach plemiennych, jak czarownicy i znachorzy. Widziałem rzeźbione w kamieniu posągi tych odetych i nader poważnych gladiatorów, których twarze zdawały się mówić: dajcie no mi flachę wody ognistej i jakąś charakterną panienkę, a jutro zrobię na stadionie taki młyn, że przeciwnik zasłocha.

Gra miała swoją skomplikowaną technikę i kontynuowana jest do dzisiaj przez niektóre szczepy indiańskie. Zawodnik wkładał na biodra specjalny, skórzany pan-czer, służący do od-

sunkowo łagodną wzięwszy pod uwagę, iż szalająca w Meksyku inkwizycja wbiła swoje ofiary na pal.

Futbol przetrwał, bo jest wielki. Gdyby się ktoś zapytał, co to ma wspólnego z granicą USA, przytoczyłbym mu fragment reportażu z barcelońskiej La Vanguardii:

„Cajexiro, Kalifornia. W szczyrim polu grupa chłopców, zapewne pod wpływem emocji wywołanych Mundialem, rozgrywa mecz piłki nożnej. I oto piłka, niezbyt dokładnie wybita z rogu, przelatuje na drugą stronę plotu. Lewy napastnik, dwunastoletni na oko dzieciak, ubrany w zieloną koszulkę, jakie nosi reprezentacja Meksyku, wdrapuje się na metalowe ogrodzenie wysokości około dwóch metrów, zeskakuje po drugiej stronie parkanu i, już znajdując się w Stanach Zjednoczonych.”

Zbyt łatwo chyba pisze się barcelońskiemu dziennikarzowi.

4.

Meksykanie to obłądny patriotyzm. Meksykanie to gościnność, duma i przyjaźń. Meksykanie to szacunek do pracy. Meksykanie to całkowity brak rozwydrzonych kobiet. Bóg raczy wiedzieć, która krew przeważa w Meksykanie: hiszpańska czy indiańska?



nasse — 100 posiłków mniej dziennie. W kinach: „Pub Saint Germain” frekwencja zmniejszyła się o 50 proc., „Grand Rex”, sala na 2800 osób, o 20 proc. A organizatorzy V Festiwalu Filmu Żydowskiego woleli anulować imprezę. W marcu 1985 roku, podczas IV Festiwalu, wybuch bomby w kinie „Rivoli Beaubourg” zranił 18 osób.

Ten klimat obłędności dotyczy tylko Paryża. Nie objął on prowincji. Niemniej jednak środki ostrożności podjęte zostały w innych większych miastach jak Lyon, Marsylia, Bordeaux czy Nicea, gdzie rewizje przy wejściu do miejsc publicznych stały się powszechne. Telewizja sprawiła, że Paryż stał się zbyt bliski, aby nie wzbudził lęku. Mieszkańcy prowincji ograniczali do minimum wyjazdy do stolicy na spektakle czy w sprawach służbowych.

— Tam wojna jest na każdym kroku. To się widzi. To się czuje — stwierdził jeden z nich po powrocie ze stolicy.

Mimo iż do wszystkich wrześnieowych zamachów przynajmniej jedna grupa o nazwie Komitet

## Tam wojna jest na każdym kroku — mówią ludzie odwiedzający stolicę Francji

# Obleżony Paryż

Solidarności z Arabskimi Włazniami Politycznymi, żądając uwolnienia swych towarzyszy z więzień Francji,

## ŚLEDZTWO UTKNĘŁO W MIEJSCU

Policja nie posiada żadnych poważnych dowodów, zaledwie kilka wskazówek. Zeznania świadków, bardziej lub mniej fantazyjnie, usiłują opisać osoby, które ewentualnie podłożyły bombę, nie pomagają im prawie wcale. Każdy jest pewien swych racji. Urzędnik na poczcie „Hotel de Ville” jest przekonany, że odpowiedzialność za podłożenie bomby ponoszą dwie kobiety o typie śródziemnomorskim. Według niego przysłały one trzykrotnie po przekaz telefoniczny w wysokości 3 tys. franków. Poproszono je, aby poczekały, gdyż trzeba było przekazać odszkodowanie. Postąpiły więc chwile i opuściły pocztę tuż przed zamknięciem. Wychodząc, jedna z nich odwróciła się i spojrzała w miejsce, gdzie ukryty był ładunek wybuchowy.

Według niektórych gości przebywających w „Pub Renault”, gdzie pokazano nowy model Renault 5, podkładający bombę był człowiekiem młodym o smagłej cerze. Po wypiciu kieliszka samotnie przy stoliku, opuścił restaurację na kilka sekund przed wybuchem bomby transportowanej pośpiesznie do podziemia przez dwóch policjantów i kelnera, którzy zostali rozszarpani przez eksplozję.

W restauracji na „Defense” świadkowie widzieli mężczyznę jedzącego spokojnie przy jednym ze stolików, gdy nagle podniósł się gwałtownie, pod pretekstem, iż oblał się wodą i kierując się w stronę toalet, opuścił lokal, zostawiając pod krzesłem paczkę. Później policja wyjaśniła, że był to zwyczajny konsument, który zauważywszy opuszczony pakunek, szybko opuścił lokal obawiając się eksplozji. Policja robi co może, ale wydaje się niemożliwe schwytać podkładaczy bomb, bo nie sposób w gęstym tłumie toreb, paczek czy satek odkryć tę, która kryje ładunek wybuchowy.

Wobec takiego nasilenia terroryzmu, którego Francja do tej pory nie знаła, rząd podjął ostatnio całą serię decyzji, dosyć kontrowersyjnych, aby wzmocnić bezpieczeństwo wewnętrzne i zapobiec dalszym zamachom. Można tu wyróżnić cztery zasadnicze punkty:

1. Częste i masowe sprawdzanie dowodów tożsamości. Przedłużenie do 4 dni aresztu tymczasowego dla osób podejrzanych o związki z terroryzmem. Prawo wzorowane na Włoszech, które daruje karę w zamian za współpracę z policją. Przyspieszenie formalności przy podejmowaniu decyzji o wydaleniu.

2. Wzmocnienie kontroli na granicach. Obsadzono 724 przejścia graniczne, które do tej pory nie były strzeżone. Wzmocniono kontrole w budynkach publicznych.

3. Usprawniono działanie służb wywiadowczych.

4. Przywrócono wizy wjazdowe do Francji.

## PRZYWRÓCENIE WIZ WJAZDOWYCH DO FRANCJI

obowiązuje od września wszystkie kraje oprócz państw Wspólnego Rynku, Szwajcarii, Tunezji, Algierii i Maroka, które na razie obowiązują „dyptyk” — dokument wydawany przez władze danego kraju. Decyzja ta spowodowała duże zamieszanie w konsulatach francuskich na całym świecie. W USA jedenaście konsulatów przyznawało dotychczas 20 tys. wiz rocznie, a teraz w przeciągu najbliższych sześciu miesięcy będą musiały wystawić około 600 tys. Konsulaty narzekają na brak personelu i lokali. Kontrola tożsamości osób przyjeżdżających do Francji napotyka na odciepłość biurokracji i maszyny. Jedynie 12 konsulatów posiada komputery, trzeba będzie wielu miesięcy, aby obsadzić stanowiska kompetentnym personelem. Aby ograniczyć nieuniknione kolejkę, rząd przyznaje, że obywatele różnych krajów nie będą traktowani jednakowo: dla najmniej „podejrzanych” formalności ograniczyły się do zwykłego przystawienia stempła.

Dlatego w takim razie obciążać tym dodatkowym zabiegiem administracyjnym Norwegów, Austriaków czy Kanadyjczyków?

przesłuchania zmieniły ton. Dwóch policjantów zadawało mi ciągle te same pytania i w końcu przestałem na nie odpowiadać. Wtedy kazano mi się rozebrać i bito mnie. Po południu wszystko zaczęło się od nowa, więc zacząłem odpowiadać, w miarę jak odpowiadałem miałem prawo się ubierać. Moja żona natomiast zawieziono do mieszkania i kazano spakować bagaże — relacjonował Mohamed Tlili.

Po nocy spędzonej w areszcie, gdzie Tlili spotkał około dziesięciu innych zatrzymanych, niektórzy ze śladami pobicia, jak Rashad Ibrahim, który po wypuszczeniu na wolność złożył skargę o ciężkie uszkodzenia ciała, przesłuchania rozpoczęły się na nowo.

— DST zadaje bez końca pytania na temat organizacji propalestyńskich, przekonana, że do brzo wiemy, gdzie ukrywana jest broń. Pokazują nam setki zdjęć, większość nieaktualnych, niektóre nawet sprzed 10 lat — opowiadał Mohamed Tlili.

Późnym popołudniem prokurator ogłosił wszystkim zatrzymanym, że z braku obciążających dowodów, zostają wypuszczeni na wolność. Ale mimo tego kieruje się ich po raz ostatni do DST.

— Wtedy proponują nam jasno współpracę. Jeśli się zgodzimy zostawiają nas w spokoju, w przeciwnym razie grożą wysiedleniem. Odmówiłem, ponieważ nie miałem żadnych informacji do przekazania. Powtórzyłem po raz kolejny, że jestem przeciwny zamachom.

Mohamed Tlili i jego żona zostali wypuszczeni na wolność i na razie mogą pozostać we Francji.

Inny los spotkał Roberta Bachaalani, libańczyka, mieszkającego we Francji od 8 lat, naczelnego redaktora przeglądu ekonomicznego „Gaz i ropa arabska”, który wraz z dziesięcioma rodakami oczekuje na wysiedlenie.

— Kiedy policja przyszła po niego — opowiada żona — nawet specjalnie się nie niepokoiłem. Rok temu złożyliśmy podanie o naturalizację. DST przeprowadziła śledztwo i wystawiła pozytywną opinię. Teraz, kiedy dowiedziałam się, że grozi mu odesłanie do Libanu, obawiam się o jego życie. Wyjechaliśmy stamtąd, aby żyć w pokoju.

Seria zamachów bombowych zmusiła policję do podjęcia drastycznych środków w celu wykreślenia sprawców, niemniej jednak uznanie osobnika z racji jego narodowości czy religii za podejrzanego, któremu stawia się alternatywną między współpracą z policją a spakowaniem bagaży, nie napawa specjalnym zaufaniem do francuskiej policji. Czy przeszłość polityczna obywatela arabskiego może być jedynym dowodem obciążającym, stanowiącym podstawę arbitralnej decyzji administracyjnej, a ponadto czy aresztowania i automatyczne wysiedlenia „podejrzanych”, których nazwiska wylgnięto przypadkowo z kartotek DST, mogą być skutecznym środkiem walki z terroryzmem? Pytania te niepokoją opinię publiczną Francji.

## ZAMACHY BOMBOWE I NASTRÓJ NIEPOKOJU

jakie wywołują, wpływają ujemnie na obroty handlu, turystyki i rozrywki, a na dłuższą metę mogą zahamować rozwój handlu zagranicznego i opóźnić odnowę ekonomiczną, z którą wielu Francuzów wiąże duże nadzieje. Część gospodarki ponosi duże straty, które znikają, gdy tylko skończy się zagrożenie wybuchami bomb. Chodzi głównie o duże domy towarowe, które oceniają spadek sprzedaży we wrześniu 1986 r. na 10—20 proc. Podobnie odczuwają to restauracje, gdzie chodzi się na wyjątkowo okazje, a także kabarety i dyskoteki. Straty poniosły też teatry i kina.

Teatr we Francji, boryka się z trudnościami od 30 lat, a kino, wielki potentat przemysłowy, który zatrudnia tysiące ludzi, przechodzi kryzys od dłuższego czasu. Szczęśliwie przed zamachami zanotowano spadek liczby publiczności o 10 proc., a we wrześniu 1986 r. sprzedano o 20—30 proc. biletów mniej. Ale stare przyzwyczajenia szybko powrócą i straty zostaną wyrównane, pod warunkiem, że terroryzm zostanie szybko opanowany. Jeśli groźba wybuchów i nastroj niepokoju utrzyma się nadal, sytuacja we Francji może stać się podobna do sytuacji Włoch w okresie działalności Czerwonych Brygad, kiedy to ludzie ograniczali zakupy, właściciele przedsiębiorstw przedstawiali inwestować i wypuszczać nowe produkty na rynek. Trzeba było dwóch lat po rozgromieniu Czerwonych Brygad, aby gospodarka włoska powróciła do normy i odzyskała swój dynamizm.

Terroryzm jest bardzo niebezpieczny dla rozwoju handlu zagranicznego, który stanowi poważny procent francuskiego dochodu narodowego. To, co jest istotne w tej dziedzinie, to nie tyle realna sytuacja wewnątrz kraju, ile wyobrażenie, jakie o niej mają cudzoziemcy. Włosna była względnie spokojna, ale nieliczne wypadki, które miały miejsce, zostały do tego stopnia wyolbrzymione za granicą, że tysiące turystów zrezygnowało ze spędzenia wakacji we Francji. A przecież napływ turystów pociąga za sobą wymianę handlową. Francja niespokojna i częściowo zamknięta będzie miała duże trudności, aby utrzymać handel zagraniczny na dotychczasowym poziomie.

## MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

Przed wszystkim, aby kraje Północnej Afryki łatwiej mogły strawić te decyzje. Corocznie miliony mieszkańców z drugiej strony Morza Śródziemnego (milion tylko z samej Algierii) przyjeżdżają do Francji na wakacje, studia, w celach handlowych, jak również w poszukiwaniu pracy, często nielegalnie, gdzie występuje ciągły brak wszelkiej pracy. Czyż więc pod tą pozornie słuszną decyzją nie kryje się ciche marzenie większości Francuzów, aby wreszcie ograniczyć napływ niepożądanych cudzoziemców?

Ambasador Maroka powiedział: — Mój kraj rozumie motywacje Francji i zrobi wszystko, aby jej pomóc. Również ambasador Tunezji poparł te decyzje, natomiast brak wypowiedzi ze strony algierskiej.

Stany Zjednoczone uznały przywrócenie wiz za „skuteczny środek w walce z terroryzmem”. Wielka Brytania też zaaprobowala „wzmocnienie kontroli na granicach”, a rząd w Bonn powiedział, że „na razie nie pójdzie w ślady Francji i granice zostaną otwarte”. Inne państwa są krytycznie nastawione do decyzji francuskiej, zwłaszcza kraje europejskie, które nie skorzystały, jak Szwajcaria, z wyjątkowych względów. Austriackie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uznało ją za „anachroniczną” i zapowiedziało podjęcie odpowiednich kroków, tzn. prawdopodobnie wprowadzi się wizy dla obywateli francuskich. Dotychczas około 500 tys. Austriaków udawało się corocznie do Francji. Jeśli chodzi o Szwecję, minister spraw zagranicznych stwierdził, że swoboda poruszania się między dwoma krajami została znacznie ograniczona przez tę „negatywną” decyzję. Francja będzie od tej pory bardziej zamknięta dla cudzoziemców, a świat mniej dostępny dla Francuzów.

Codziennym stał się obrazek, kiedy na ulicy czy w metrze

## POLICJANCI ZATRZYMUJĄ „PODEJRZANEGO OSOBNIKA”

najczęściej o rysach arabskich i sprawdzają jego tożsamość. Niektórym każą stanąć twarzą do ściany z rękoma do góry i obmacują jego ubranie, sprawdzają zawartości toreb. Po każdym zamachu mają miejsce rewizje, przesłuchania i tymczasowy areszt osób należących do różnych, arabskich organizacji politycznych, których nazwiska nie są dla nikogo tajemnicą.

Mohamed Tlili, tunezyjczyk i jego żona, działacze Ludowego Ruchu Wyzwolenia Palestyny zostali zatrzymani o świcie w ich mieszkaniu nazajutrz po zamachu na pocztę.

— Już poprzedniego dnia zauważyłem, że jestem śledzony. Policjanci nawet nie kryli i fotografowali wszystkich ludzi, z którymi się spotykałem — powiedział Mohamed Tlili.

Po dokładnej rewizji mieszkania i piwnicy („zabrał wycinki z gazet i dokumenty dostępne wszystkim”) małżeństwo zostało przewiezione do komisariatu, gdzie nastąpiły pierwsze przesłuchania.

— Następnie przekazano nas w ręce DST (Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego) i tutaj

# W zielonej strefie Czernobyla

## Rozmowa z wiceministrem Gospodarki Leśnej Ukrainskiej SRR — W. M. BREZNIEMEM

— Walery Michajłowicz, nieszczęście na czernobylskiej atomówce nie ominęło leśników... — Tak, bo przecież prawie połowa obszaru, który znalazł się w trzydziestokilometrowej strefie, zajmują gaje i lasy — ponad sto tys. hektarów (...). Po awarii zatrudnieni na tym terenie zostali ewakuowani ze strefy zagrożenia (...). Leśnicy nie opuścili swoich posterunków dopóki nie ogłoszono ewakuacji. Kiedy zaczął się pożar na czwartym bloku energetycznym, zorganizowano ochronę lasu, nie dopuszczając do zapalenia. Wielu pracowników napędziano piaskiem worki dla lokalizacji pożaru, ładowali je do helikopterów. Szykowali też drewno na budowę tymczasowych zagród dla bydła, w gospodarstwach, do których przemieszczano ewakuowanych ze strefy, rozładowywali wagony kolejowe (...).

— A co z lasem w tej strefie?

— Otrzymał poważny cios, poziom promieniowania jest tutaj kilkakrotnie wyższy niż na otwartej przestrzeni. Lasy to systemy biologiczne, gromadzące materię promieniotwórczą w igliwiu, drewnie, korze, poszyciu... W takich systemach opadłe igliwie zamienia się w poszycie, a z czasem w glebę, z której izotopy i inne substancje przenoszą się do korzeni drzew, gdzie nagromadzą się powtórnie, zmniejszając migrację substancji poza teren skażony. To po pierwsze. A po drugie, około 70 proc. lasu w strefie, to młody las, do czterdziestu lat. Będzie jeszcze dość długo spełniając ważną funkcję ekologiczną. Lasy potwierdziły swą zdolność do utrzymania się przy życiu. Jak zwykle zielenią się wzdłuż szosy na Czernobyl. Murami stoją sosny i w drodze do Prypeci i wokół miasta. Tylko w jednym zakątku nie są do siebie podobne — pokryte zeschniętym igliwem. Tutaj z całym okrucieństwem zadziałał niewidzialny wróg — promieniowanie. Powierzchnia, jaką zajmują zrużdziałe, w istocie martwa, drzewa jest niewielka. Tak jest w pobliżu czwartego reaktora, gdzie nastąpił wyciek po wybuchu.

Państwowa komisja postanowiła zachować czernobylskie lasy. Ponadto rozpatrywana jest kwestia zasadzenia nowych drzew na terenach o wysokim poziomie promieniowania, na których na razie nie ma możliwości prowadzenia upraw rolniczych. Uczeń zalecający drzewa liściaste, przede wszystkim brzozy, które cechuje zwiększona odporność na promieniowanie i szybki wzrost.

— Latem, przez wiele dni, panowały upały, co jest niebezpieczne dla lasu. Ochrona ich przed pożarami też przecież jest zadaniem leśników?

— Tak. Wokół Czernobyla rosną głównie lasy sosnowe — jest ich 76 proc. Zrozumiałe, że łatwo się zapalają. Pożary dolowe szybko stają się górnymi, które bardzo trudno gasić. Co oznaczałoby pożar w skażonym promieniotwórczym lesie? Wywołałby gwałtowne zwiększenie tła radioaktywnego, wtórne skażenie terenu i utrudniłoby prace przy likwidacji skutków awarii. Mając to na uwadze, Ministerstwo Gospodarki Leśnej powołało specjalną grupę, do której obowiązków należała kontrola stanu lasów w trzydziestokilometrowej strefie i walka z pożarami (...). Włączyło do niej najbardziej doświadczonych specjalistów, dobrze znających okoliczne lasy. Do pomocy przydzielono załogi dwu patrolowych śmigłowców Mi-8 i spadochroniarzy z wojsk desantowych, którzy przybyli z federacji rosyjskiej. Śmigłowce są odpowiednio wyposażone: na każdym para pompy motorowych z węzłami strażackimi, pojemniki na wodę, urządzenia do jej tłoczenia. Podobnie jak grupy specjalistów, załogi zmieniają się co dwa tygodnie (...).

Jesteśmy zadowoleni z ich pracy. Przez dłuższy czas supek rłci dochodził do 35—40 stopni, a w strefie nie dopuszczono do żadnego większego pożaru. Po zauważeniu dymu lub ognia w lesie, lotnicy-obszernicy szybko oceniali sytuację i podejmowali decyzję, czy mają gasić spadochroniarze, czy też meldować przez radio do sztabu likwidacji skutków awarii. Główny Zarząd Straży Pożarnej MSW Ukrainskiej SRR, w razie konieczności, operatywnie włączał do akcji pododdziały wojskowe. Nawet wówczas kiedy zaczynał się gdzieś palić las lub torfowisko, żywił nie miał czasu by się rozprzestrzenić.

Również obecnie są surowo przestrzegane wszystkie przepisy bezpieczeństwa pożarowego. Środki transportu i urządzenia techniczne wyposażono w iskroochłaniacze. W odległości 5—35 metrów od poboczy dróg i tymczasowych przejazdów przez lasy stworzono mineralizowane pasy szerokości 2,5—3 metrów. Zaorano też, po obwodzie, uroczyska i sosnowe szkółki 10—25-letnie, założono sieć barier przeciwpożarowych, zapewniono regularne patrolowanie lasów po wszystkich drogach.

Nie słabnie też kontrola nad obszarem martwego lasu. Szerokim pasem mineralizowanym odgrodzono go od lasu żywego, co jakiś czas opylany jest ze śmigłowców chemikaliami, zmniejszającymi możliwość zapalenia się.

Leśnicy czują się winni, co w ich mocy, żeby zachować zielone bogactwo, żeby jak najszybciej powróciło tu życie...

„SIELSKAJA ŻYŻŃ” z 15.X.1986 R.

Nie, nie można było uratować magazynów z artykułami przemysłowymi: tam ogień sycym i potężnym hukiem doszedł całą szerokością do środka i sunął dalej. Łupek na dachu pękał od gorąca i strzelał okrucznie, tak jak strzelają i podskakują orzechy na rozgrzanej patelni. Wyrzucało też gównie. Było niebezpiecznie znaleźć się w pobliżu. Któryś z mężczyzn przeganiał stamtąd dzieci, które odskakiwały przed uderzeniami rąk i ogłupiałe, z wytrzeszczonymi oczyma, z powrotem ciągnęły do ognia, jak do magnesu. Iwan Pietrowicz wypatrywał Alonę wśród osób miotających się po podwórzu, dalej coś wynoszących i przenoszących, ale nigdzie jej nie było. Rósł stos uratowanych rzeczy. Dobrano się do magazynu z artykułami gospodarstwa domowego, dzwicywały kosy, rondle, rozmaite pomniejsze naczynia, dzwoniła blacha. Boże, czy to trzeba ratować, czy tamto... Czy mają rację ludzie, że nie można się obyć bez czajnika i patelni, a bez lodówki i telewizora można?

Zaskrzypiał, zatrząsał się w posadach plot między magazynami i sklepem i pierwsze jego przesto runęło do środka, odłoniwszy ulicę i traktor do dłuźyc, który odjeżdżał i zawracał, żeby staranować następnie przesto plotu. Służnie, zauważył Iwan Pietrowicz, wprowadzić magazynów nie da się uratować, ale można ocalić sklep, od niego do magazynów jest daleko. Koło traktora gorączkował się Kozielec, główny inżynier. Na pewno to był jego pomysł, żeby zwałić plot, który mógłby się stać wygodną ścieżką dla ognia.

O tak, płakały magazyny towarów przemysłowych, płakały japońskie bluzeczki i rodzime patelniczki — ale czy dużo w porównaniu z tym, co zdołano wynieść, zostanie tam, w tym żarze? Magazyny przemysłowe, pomijając te z prawej strony, jeszcze i teraz można było uratować, żeby tylko był ogniowóz i trochę porządku. Tylko że ogniowóz, jedyny w całym przedsiębiorstwie, przed dwoma laty rozbrabali na części zamienne, i tylko fikcyjnie jest na stanie...

Iwan Pietrowicz ciągle jeszcze rozglądał się gorączkowo, ciągle jeszcze chciał odszukać Alonę, kiedy złał go za ramie stary Misza Champo.

— Champo-o... champo-o! — wydobywał z siebie z trudem, pokazując lewą, zdrową ręką w rąb podwórza. Tam, w lewym rogu, z boku i z tyłu oświetlony luną, schylając się i prostując, stał człowiek i jak granaty ciskał przez plot butelki. Iwan Pietrowicz pospieszył do niego, ale jeszcze wcześniej, wyskoczywszy skądś z prawa, pospieszył do niego Boris Timofiejcz, skoczył nań z krzykiem, szarpnął, o mało co nie zbijając z nóg, znowu chciał się rzucić... Tamten zamachnął się butelką. Być może by i uderzył, wszystko się może zdarzyć w takiej chwili, gdyby Iwan Pietrowicz nie zdążył nadbiec i przechwycić butelki. To był jeden z archarowców, jeden z tych skończonych, którego dlaczegoś nazywano kobilem imieniem Sońia i z którym Iwan Pietrowicz już się kiedyś ściał. Sońia wyrwał Iwanowi Pietrowiczowi butelkę z rąk, odrzucił ją na bok i w przyległej w tym towarzystwie grypszerze śpiewnie przygroził, pokazując przez głowę:

— Och, jak gorąco się pa-ali! Och, pie-czał Oj, jaka szkoda!

I posuwistym krokiem poszedł tam, gdzie się paliło.

— A ty gdzie był? — nie zdobył się na nic mądrzejszego, jak tylko naskoczyć na Iwana Pietrowicza, kierownika. — Gdzieście się wszyscy podzieli, niech was diabli wezmą! Gdzie wy patrzyliście?

— W laźni byłem — tym samym tonem odpowiedział mu Iwan Pietrowicz. — Ty też idź, wykapa się, bo się ciskasz... Przyjrzyj się chociaż, do kogo się ciskasz!

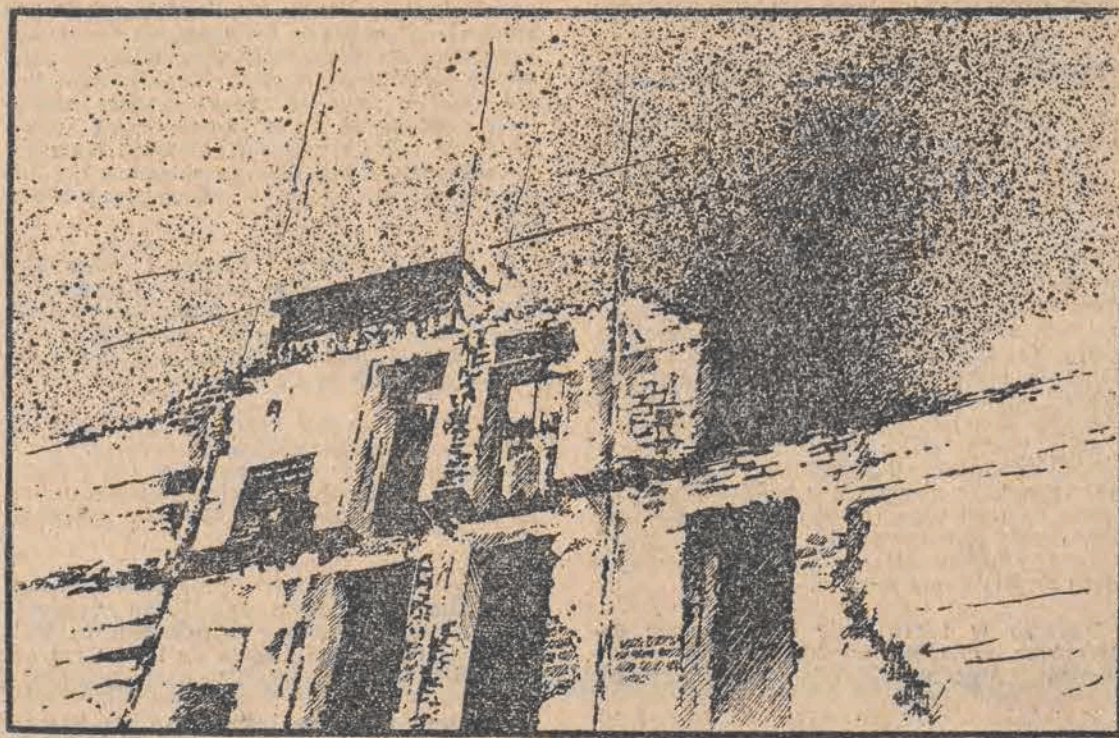
Ogromna luna wstąpiła nad górą. Wytańczając się z lasu, przesuwała się w prawo, i jak na ekranie, wpływały w nią i w zimnej kipieli płonęły wierzchołki drzew.

9.

Kto by się tam teraz doszukał, kiedy i dlaczego nastąpił zwrot ku dziesiętemu swobodnemu życiu. Nie było przecież tego na początku, już nawet w nowej osadzie nie było, żeby ludzie tak się rozeszli każdy w swoją stronę, tak się odwracali od siebie, odrzucili wspólne i zgodne bytowanie, oparte o stare zwyczaje i prawa. A jak sięgnąć pamięcią — czy to nie one, nie te właśnie prawa, ta wspólna matka-żywielielka, ratowała ich i uratowała w starej wsi w wojnie i w trudne powojenne lata, kiedy z dziesięć kłosek, nie rozdrabniając się i nie wdając w szczegóły, i dziesięć lat dawali? Kiedy ledwie starczało na podatki, kiedy „opieszalym” obcinano po kawałku ogrodu, żeby zabrane zarastało pokrzywą i do zimy nie pozwalano skosić dla swojej krowiny? Kiedy trzeba było nie tylko trzymać się razem, ale i razem przechytrzać sytuację, żeby przetrwać? A przecież i we wsi różni ludzie byli, i czasem kogoś świerzbilo iść, donieść gdzie trzeba, być posłusznym prawu i spełnić wierne kosztowny obowiązek. Pewnie, że świerzbilo. Ale każdy wiedział: nie ma co potem szukać we wsi, Jegorowka nie przebaczy.

No, a teraz przyszło mu wyjechać — i jak wszystko się odmieniło! Stanęło na głowie, można powiedzieć i to, czego niedawno wszyscy jak jeden się trzymali, co było wspólnym niepisany prawem, co było jak opoka, stało się przeżytkiem, czymś nienormalnym, zdradą prawie. I Sosnowce jest wszystko jedno, może nawet lepiej i spokojniej, jeśli Iwan Pietrowicz wyjedzie i przestanie wodę macić. Albo odwrotnie, tak, oczywiście, że odwrotnie: nie będzie, jak starszek, który stracił rozum, pamiętając z dzieciństwa czystą wodę, machał rękami, żeby i teraz stała się czysta, chociaż zmąciło się wszystko wokół. A jeżeli mowa o wodzie: jest ona, jak wiadomo, czysta nie wtedy, kiedy jest rzeczywiście czysta, ale kiedy ktoś chce widzieć, że jest czysta. Nie trzeba nawet w tym celu żadnych wymyślnych okularów na nos wsadzać.

Nie, nie od razu po przenosinach poszło nie tak, jak by się chciało. Pewnie, nowa robota tu wyszła: rąbać las, tylko rąbać i rąbać, nie troszcząc się, czy coś po nich zostanie, czy coś wyrosnie. To teraz każą zalecać poręby, ale takie tam nakazy: niby i masz obowiązek, tak jak masz obowiązek od czasu do czasu myśleć o śmierci, żeby życie było czystsze, ale możesz i nie myśleć, żyć, i tyle, a życie sprowadza się do tego, żeby rąbać. Za niewy-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

## Pozar

WALENTIN RASPUTIN

konanie planu zalesień — zajął, za niewykonalność planu wyrębów — siódmą skórę zędrą. I tak poszło, i nie się z latami nie zmieniło, że w tę zabawę, zalesianie, powinno się bawić gospodarstwo leśne, ale tam mają pięć rąk na piętnaście spraw i nie mogą żadnej zajął do końca.

Z początku to się i budowało w Sosnowce każda wieś swoją ulicą, i zbierał się żyć w tych samych wspólnotach, co i przedtem. Wdowy i starców umarłych jak dawniej całym „kolchozem”, pomagając im przerosić chaty i przesadzać ogrody. Przez te ogródki wydeptywali ścieżki, żeby na skróty, nie wychodząc na ulicę, biegać do siebie, czy był powód, czy go nie było, gdy się wygospodarowało chwilę na herbatę i pogawędkę. I rozlegało się o zachodzie na całą okolicę: „Daria-ai! Maria-ai! Samowar kipi! Natalia-ai! Idziesz do krtowuczych?” — na pierwszą, znaczy, pod górą ulicę, która zajęła wieś Kriwołuckaja.

Potem się wszystko pomieszało. I nie na tym zło polega, że po zgonach, weselach, podziałach i targach wsie zaczęły się przenikać, bo życie jest niemożliwe bez owego przenikania, ale to źle wyszło, że na miejsce tych, którzy wyjechali lub odeszli, zaczęli się osiedlać ludzie marni, nie zakładający ani gospodarstwa, ani nawet ogródek, znający tylko jedną drogę — do sklepu i żeby podjeść, i żeby czas strawić od roboty do roboty. Najpierw od roboty do roboty, potem już roboty ujmując, przesłaniając ją sklepem, i czym dalej, tym więcej, słodziej, niepowstrzymywane. Robota tego, rzecz jasna, nie lubi — więc nieporozumienia się zaczęły, i wspólnoty innego typu, o których wcześniej nikomu by nawet do głowy nie przyszło. Pewnie, że się zdarzały piący, gdzie ich nie było na świętej Rusi, ale żeby skrzykiwać się w koło, rozrastając się w nim w jawną, niczego nie bojącą się i nie wstydzącą się z atamanem i radą, którzy sprawowali władzę — czegoś podobnego nie było. To już są nasze własne osiągnięcia.

Niedawno dyrektor szkoły Jurij Andriejewicz, uczący jeszcze w Jegorowce, spróbował podliczyć, ilu ludzi w tych sześciu wsiach, które się zwały w Sosnowce, poległo w czasie wojny, a ilu zginęło tragiczną śmiercią przez ostatnie cztery lata. Śmiercią tragiczną — to znaczy strzelanina po pijanemu, porachunki nożowe, utonięcia i zamarnięcia, przywalenie drzewem na zrebach z własnej lub cudzej nieostrożności. Różnica okazała się niewielka. Iwan Pietrowicz aż jęknął, kiedy to usłyszał: masz sobie pokojowe czasy. A przecież wiedział o tych wszystkich wypadkach, przeżywał je, zawsze coś się zmienia i jakby zmierzcha na świecie, kiedy odchodzi znajomy człowiek, i jakby słabnie coś w nas z jego odejściem, chociażby był po trzykroć hulak. Wiedział o każdym z osobna wypadku i smucił się nim, ale dopiero połączone w liczbę, zestawione z drugą liczbą, podzielały na niego drugoczą. Przez parę dni chodził jak nieprzytomny, starając się coś z tego zrozumieć i pojmując tylko to, że niemożliwe jest zrozumienie wniosków, wynikających z tego okrutnego równania. Co jeszcze: poległy na froncie wzywali do sprawiedliwości i dobra, zostawiając z nimi tu swoją duszę i wspomnienia żywe wśród bliskich, i zostawiali dla czynu, dla spełnienia. Sami tego nie podejrzewając, my, być może, przez tych dwadzieścia powojennych lat trzymaliśmy się dzięki temu spadkowi po poległych, wspólnemu testamentowi, którego sama natura ludzka nie pozwoliła nam nie wykonać. Było to wyższe od nas i silniejsze. Kto zginął tak, nawet nie za szczyptę tabaki, przez głupotę i rozpaczliwe zachwiałwo, zostawia po sobie głupotę, samowolę i zachwiałwo. Śmierć jest pożytecznym mistrzem, i czyją stronę, dobrego czy złego, bierze, gdy się spełnia, tego przynajmniej się nie pociokroć.

W pierwszych latach przedsiębiorstwo leśne — to tylko ich oddział. Potem otworzyli drugi, potem trzeci, czwarty i tylko wzdłuż linii brzegowej licząc, obecna gospodarka wyrębowania objęła ponad sto kilometrów. Teraz jeden oddział wycina rocznie ponad sto tysięcy metrów sześciennych. Podskoczył plan, coraz szybciej, sprytniej i bardziej narowicie pognęła do przodu technika i do tego już nie starczyło wysłajków. Zaczęli się zjeżdżać na sezon, na fuchę, ten, że miał za mało rubelków, tam-

ten, że miał za dużo czasu, ów, że mu było wszystko jedno, jak i gdzie żyć, aby przeżyć. W ostatnich latach wydzielił się specjalny gatunek ludzi, jeszcze nie całkiem straconych i skończonych, którzy, niezliczoną ilość razy przenosząc się z miejsca na miejsce, nie ugnają się za pieniędzmi i zarobek zaraz lekko wypuszczają z rąk, a gnani są jakby jakimś sekciarskim prześladowaniem i obojętnością na wszystko. Taki ani nie przyjmie pomocy, ani jej nikomu nie udzieli, żyje według skróconej procedury, nie mając rodziny, ani przyjaciół, ani żadnej rzeczy, do której by się przywiązał, i z poczuciem ciężaru, jakby odbywał życie jak karę. O takich mówili kiedyś: rąbnęty cęglą zza węgla, a teraz można powiedzieć, że jest pograżony w sobie, wierny samotności jak przysiędź. A co się dzieje w tych duszach, do kogo te dusze należą — nikt się w tym nie rozozna.

I tak na wiosnę, kiedy trzeba odstawiać drewno zwiezione przez zimę z gór, i jesienią, kiedy znowu trzeba rąbać i zwozić, przypływają i odpływają, przypływają i odpływają, nie zatrzymując się. Nie z powodu jakichś niewygod nie do zniesienia, ale po prostu nie umiając, nie rozumiejąc, dlaczego i po co mieliby się zatrzymywać, gnani jakimś niejasnym i nieznośnym niepokojem. A jak wyjeżdżają, gorzki smutek mają w oczach: dokąd? po co? Ale wyjeżdżają, a ci, którzy zostali, wspominają o nich z racji ich dziwactw i różnych numerów, jakie wykrecali: a do tego to byli mistrzowie, jak na przykład ten artysta, co zastawiony stół podnosił w zębach, albo drugi, który robił zacierki na wodce i zjadał je łyżką, wcale się nie krzywiąc, czy trzeci, który lubił, ku przerażeniu pracujących na poczcie panienek, nadawać telegramy brzmiące jak szfrytki: „Trzeci dzień deszcz stop o robić?”, lub: „Po listopadzie grudzień stop nie pomył”, lub też: „Nie czekaj mnie, ale powróć”. Stara Jegorowka przez całe trzy lata istnienia przed zalaniem nie poznała nawet tysięcznej części tych wszystkich cudów i dziwów, jakie Sosnowka zobaczyła przez lat dwadzieścia. I, sądząc ze wszelkich oznak, zobaczy jeszcze niejedno.

To jest, ma się rozumieć, najniewinniejsze i najłżejsze z tego, co pozostało do wspomnienia. Ale można jeszcze wspomnieć, co było z leśniczym Andriejem Solodowem. Dwa lata temu Solodow należał, zgodnie z przepisami, karę na przedsiębiorstwo, za wysokie prawie do pasa, pielniki. Ze było wysoko śniegu, żeby go nie odgarniać, ścinał tak, aby było łyżę, naruszając normy i Andriej, chłop, zresztą, ustępliwy, nie wytrzymał, kiedy się nie dało ani po dobroci, ani no złości: jak po ludzku nie rozumiecie, to ja wam pokażę. W piątek kasjerka pojechała po wypłatę i wróciła z pustymi rękami: bank zajął konto przedsiębiorstwa na poczet kary. W sobotę Andriej jak zwykle rozpałł w laźni, wykapał się i poszedł spać, a w nocy laźnia się spaliła. Przez nieostrożność, można by pomyśleć, przez zaniebanie gospodarza: napalił przecież i kapał się, a potem się wałnął do łożka i usnął jak za bity. W poniedziałek kasjerka znowu pojechała do banku i znowu wróciła z niczym. Powiedzieli: czekać do srody, dopóki nie postanowią, skąd wziąć pieniądze. W środę Andriejowi Solodowowi zginęła kobyła, należąca do przedsiębiorstwa, jedyna na całą osadę, orząca wszystkim ogrody, a i do pomocy w lesie też niezastąpiona. Dopiero z wiosną obtajały jej kostki gdzieś w guszy, obok poniewierał się przegniły postronek.

Iwan Pietrowicz rozmawiał z Andriejem i obaj zgodzili się, że bez swojaków się to nie obyło. Śmiesznie by było zwałić całą winę na przyjeźdźców. Nie, już swój, z którymi się żyło o miedzę i pracowało ramie w ramie do siódmych potów, nauczyli się patrzeć krzywo na każdego, kto po staremu trzyma się prawa i gada o sumieniu. I to swój groził Iwanowi Pietrowiczowi, kiedy nie umielać milczeć, bo potem zdarzyby z siebie siedem skór za milczenie, wstawał na zebraniu i głośno mówił o tym, co się działo na zrebach, w centralnej składnicy manipulacyjno-spedycyjnej, w bazie transportowej i w sklepach. Mówił o tym, o czym wszyscy wiedzieli i co stonowo wchodziło w zwyczaj — jak bez potrzeby i ilości niszczący się sprzęt w lesie, i jak w pijanym

i trzeźwym widzie gnają na nim dziesiątki kilometrów w sprawach prywatnych, i jak w białej dzień kradną z tarlaku, i jak w drodze do przedsiębiorstwa w tajemniczy sposób znikają towary opisane w fakturach, a zamiast nich dla uproszczenia handlu od razu pojawiają się pieniądze, i jak, z naruszeniem zasad samostawstwa pracy, zmusza się traktorzystów do zwożenia drewna na nieokrępy łoż, i jak... Doszło do tego, że sam Boris Timofiejcz w dzień po wypłacie z samego rana wziął cichoem w swojej brezentowej torbie parę butelek na miejsce wyrębu, żeby mu się brygada nie rozlezała. A oni nauczyli się przyjmować to jak należne, jak te trzy paczki herbaty wydawane bezpłatnie przez związek zawodowy.

Iwana Pietrowicza ośleciała myśl, że świat się przewraca do góry nogami nie od razu, nie za jednym zamachem, ale tak, jak u nich: było niedozwolone, nie przyjęte, jest dozwolone i przyjęte, nie było wolno — można, uważało się za hańbę, za grzech śmiertelny — uważa się za dowód bystrości i męstwa. I jak daleko będziemy odchodzić od tego, co nas podtrzymywało od wieków? Skąd, z jakiego zaplecza i rezerwy przyjdzie tak potrzebne wsparcie?

— A ty czego tak oczy wywracasz? — huknął Boris Timofiejcz, ale w jego głosie nie było ani nacisku, ani pytania, na które trzeba by odpowiadać. — Czego ty w kółko jedno i to samo? Bez planu, widzisz, nie pożyjemy...

Tu Iwan Pietrowicz się poderwał: — Plan, mówisz? Plan? A lepiej byśmy bez niego żyli... Lepiej byśmy inny plan wyznaczyli — nie w metrach sześciennych, ale w duszach. Żeby uwzględnić, ile dusz się zatrać, poszło do diabła, a ile zostało... Plan... Przypomnij sobie, jak to było... no, choćby pięć lat temu...

— No co pięć lat temu? — Boris Timofiejcz udawał tepego. — Maszyn takich nie było jak dziś, ładowarek szczękowych nie było. „Kraza” twojego nie było, na który na raz po trzydzieści, po czterdzieści metrów ładujesz.

— Tere-fero. Wtedy żeś wódki za swoje pieniądze do lasu nie wozil przez ten plan. To sobie przypomnij. Plan wykonac — to nie taka uczona sprawa, żeby agronomię do tego mieszać.

— Nie uczona? — No kto jak kto, ale on, który wszystkie swoje zęby za sztuczną szczęką włącznie zjadał na planie, życie całe mu poświęcił, w środku nocy się budził ze strachu o plan, jak dżumy bojący się ostatnich dni miesiąca, kiedy przy takiej złożonej technologii, o jakiej się nawet pszenicy nie sniło, wykonywali plan — to już on wiedział, że to sprawa nie tylko uczona, ale i wymagająca czegoś więcej niż uczoności. Nie można było tego wszystkiego wytłumaczyć, i skrywając, że go to dotknęło, mówił: Ciebie by wsadził w moją skórę.

— Nie chce. Mnie i w swojej ciężko. Afonia Bronikow, chłop z Jegorowki, pracujący na traktorze do dłuźyc, trzymał się innych racji.

— Czego się gorączkujesz, Iwanie Pietrowiczu? — strzelił go z pełnym wyrzutem uśmiechem na szerokiej i twardej twarzy. — Komu ty chcesz coś udowodnić? Ja uważam: pracuję uczciwie, żyję uczciwie, nie kradnę, nie kombinuję — i tyle. Kto ma oczy, ten widzi, jak żyję ja, a jak żyją inni. Co komu pisać, to go nie ominię. Naszym obowiązkiem jest żyć tak jak trzeba, swoim życiem przykład dawać, a nie zaganiać kijem do swojego stada. Kijem się nie osiągnie.

— Ale teraz jest już za późno na wszystkie przykłady! Za późno!

— Wcale nie jest za późno. Ale Iwan Pietrowicz miał inne nastawienie, pod codziennym naporem jakby się w nim ścisłała i ścisłała jakaś sprężyna i osłagała taką sprężystość i skręt, że niepodobna było jej dłużej powstrzymać. Iwan Pietrowicz, który nieraz przysięgał sobie, że będzie milczał, przekonując sam siebie, że milczenie też jest metodą działania i przekonywania, Iwan Pietrowicz znowu wstawał i zalamujący się głosem, okronnie się denerwując i nienawidząc samego siebie, zaczynał mówić, choć rozumiał, że niepotrzebnie.

Jeszcze zanim nastali archarowcy, grupujący się wokół Sasaki Dziewiętego, zanim oni nastali zdarzyło się tak: rano przyszedł Iwan Pietrowicz do garażu, a w jego „Krazie” są pocięte przewody hamulcowe łączące przycpep. Znaczą, masz, ugryź się, pluszowy poszukiwaczu prawdy. Kiedyś mu tak powiedział: „Coś ty taki, jak pluszowy miś, który jest na dwa słowa nakreślony: dobrze — niedobrze, dobrze — niedobrze. Samemu też trzeba trochę głuźyc ruszyć”.

Widać, i dobrze jest niedobrze. I niedobrze jest dobrze, widać. I chcesz czy nie chcesz, zapłacisz się, zagubisz w dwóch słowach.

10.

Z pierwszego magazynu spożywczego udało się całkowicie usunąć ogień. Przeszli do drugiego. Jeszcze dobrze, że nad nim, nad tym drugim, zwałił dach, to powstrzymało ogień, który atakował z prawego i dalszego górnego rogu i przez poszycie sufitu. Kiedy Iwan Pietrowicz pierwszy raz skoczył do środka, było tam już nagrzane i nadymlone, ale bez ognia dąb się jeszcze wytrzymał; pomieszczenie od wewnątrz trzymało się jeszcze na czterech ścianach. Okazało się tu nad podziw tłoczno, ludzie wesoło pokrzykiwali i wołali coś do siebie, wszystko dzwoniło i brzęczało. Iwan Pietrowicz nie od razu dojrzał zorganizowany łańcuszek — podawano skrzynki z najchodliwszym towarem — z wódką. W łańcuszku stał i swol, i archarowcy. Iwan Pietrowicz zadrapał zdetonowany i złapawszy jedną skrzynkę, żeby nie z pustymi rękami, wybiegł z powrotem, przekonany, że temu towarowi nie dają zgorzeć i bez niego. Na wewnątrz ogarnęła go z góry gorąca luna i dobiegły go wołania Wali-magazynierki, żądającej i blagającej o wyniesienie oleju roślinnego. Wala krzyczała, że oleju roślinnego nie dostaną do jesieni, że to już cała dostawa, i Iwan Pietrowicz zawrócił przez te słowa, nie mógł sobie przypomnieć skotowaną głową, co teraz mamy — lato czy zimą.

C.D.N.

Przekład:  
EWA-KATARZYNA NOWAK

**W**chodzi, wchodzi — zachęcała mnie panna Julka i prawie siłą wciągnęła do środka — nie udawaj takiego nieśmiałego. Nie bój się. To tylko ciotki.

W saloniku, wokół małego stoliczka nakrytego robioną na szydełku serwetą, popijając herbatkę z porcelanowych filiżanek, siedziały trzy ciotki panny Julki: Adela, Anastazja i Irena. Mistrz Gombrowicz zarząbał z radości Instytucja ciotek jest w Polsce nieśmiertelna.

— Prosimy, prosimy — zawołały chórem — właśnie wspominały stare, przedwojenne czasy i jeżeli pana to nie zanudzi, to proszę usiąść koło nas.

— Ach to było wspaniałe — rozmarzyła się ciotka Irena — raz do roku, koło Wielkiejnocy, szyłyśmy sobie nowe sukienki, nowe kapelusze z ogromnymi rondami zamawiałyśmy u modystek i ruszałyśmy na przejażdżkę po mieście.

— Samochodem? — wtrąca się panna Julka.

— Julciu, coś ty! — oburza się ciotka Irena. — Pracowałyśmy jako krawcowe, toteż o samochodzie nie było co marzyć. Zamawiałyśmy dorożki i za parę groszy wożono nas po Piotrkowskiej i do parku Poniatowskiego albo Helenowskiego. A tam występy, grają orkiestry, różne atrakcje. Parki były świetnie utrzymane. Zamykano je na noc, żeby się żadne podejrzane typy nie kreciły.

— Platne? — Parę groszy, więc każdego było na to stać. Każdego kto pracował. Było bezrobocie, szczególnie dotkliwie w latach dwudziestych i na początku trzydziestych, ale bezrobotni byli na zasiłku. Kto miał pracę temu żyło się dobrze.

— Jak wyglądała ta przedwojenna Łódź?

— O, to nigdy nie było najpiękniejsze miasto świata — mówi ciotka Adela. — Przed domami było wprawdzie czysto, a zimą śnieg odgarnięty, bo dozorca bardzo sobie cenił pracę i sumienie wykonywał obowiązki. Jak nie, to wylatywał z posady. Ale ogólnie rzecz biorąc to było takie szarawe miasteczko bez ładu i składu. Niewiele różniło się od dzisiejszej Łodzi.

— Ja mieszkałam przy Nowomiejskiej — wtrąca trzecia z ciotek Anastazja — to była inna Łódź niż ta przy Piotrkowskiej, niż Bałuty czy Widzew. Pamiętam te sklepiki żydowskie. Biedne. Często w podwórzu, w oficynie. Naganiacze na ulicy szarpali za rękaw i wrzeszczyli wprost do ucha — „Szanowna pani wejdźcie mamy najlepsze...” i tu wylizanka. Wokół wejścia wymalowywano na blaszanym szyldzie reklamy towarów, które można było kupić w sklepie. W mrocznych wnętrzach mieściły się bele materiałów, beczki z przepyszными śledziami, sterty pudeł z butami, piwa, kiełbasy, wędliny.

## Panna Julka i ciotki

— Pamiętam jak kupowałam buty na Główniej — wtrąca ciotka Adela — trzech subiektyw wyskoczyło, migiem, anim się obejrzała jeden podstawił mi krzesło, drugi ciągnął buta, a trzeci już przymierzał odpowiedni numer bucika, który chciałam. To były bardzo dobre i drogie sklepy na Główniej. Tam też naganiacze stali na ulicy, ale broń Boże, żeby byli nachalni. Grzecznie przechylali się w uprzejmym ukłonie i zapraszali do środka sklepu.

— Na pewno to było bardzo drogie? — pyta panna Julka.

— Były i drogie sklepy kolonialne, w których półki uginęły się od najdroższych koniaków francuskich, kawioru astrachanckiego i rzecz jasna nas na to nie było stać. Dla nas były tanie sklepiki, gdzie można było kupić te kilka deko szynki czy dobrej kiełbasy albo parę śledzi.

— Żydzi mieli wspaniałe śledzie — dorzuca ciotka Irena — sprzedawali je na rynku wprost z beczki. A na Starym Mieście był targ z owocami. Rano banany — pomarańcze, cytryny, winogrona były dla mnie za drogie, ale im bliżej wieczora tym owoce tańsze i przed zamknięciem kramików supcy przekrzykiwali się wzajemnie i przyciąkali w obniżaniu cen.

— Podobno niedaleko rynku, przy Wolborskiej była wspaniała synagoga? — pytam.

— Tak. Taka w orientalnym stylu — odpowiada ciotka Anastazja. — Mówiło się o niej, że jest dla pobożnych Żydów, takich co to się tradycji trzymają, w chałatach, jarmułkach na co dzień chodzą. Dla tych chodzących po europejsku, bogatszych była synagoga przy al. Kościuszki, tam gdzie teraz parking przy budynku Akademii Medycznej. Jedną i drugą Niemcy spalili w czasie ostatniej wojny.

— Ale pobożni Żydzi niechętnie chodzili do synagogi na Wolborskiej — mówi ciotka Adela z figlarnym uśmiechem.

— A tak. Bo to była uliczka o nie najlepszej reputacji. Same domy publiczne. Paniąki wystawały po bramach nawet w samo południe. Wprawdzie próbowano niektóre dziewczęta, za ich zgodą, umieszczać w specjalnych zakładach poprawczych, gdzie mogłyby zacząć uczciwe życie, ale to była kropla w morzu. Były dwa towarzystwa ochrony kobiet: chrześcijańskie i żydowskie. Samorząd Miasta je popierał i finansował, ale to wszystko było za mało.

— Dużo było biednych ludzi, więc i prostytutek nie brakowało, bo jakos dziewczyny musiały zarabiać na życie, a do fabryki iść nie chciały. Najczęściej było w czasie pierwszej wojny — mówi ciotka Irena. — To był prawdziwy głód i bieda. Mięso na kartki, węgiel na kartki, mydło na kartki, cukier na kartki. Ludzie chcąc się ogrzać rozbiierali płoty, komórki, a zdarzało się że i całe domy.

— Rano Rosjanie są w Łodzi — wspomina ciotka Anastazja — a po południu Rosjanie uciekają i wchodzi Niemcy. Następnego dnia odwrotnie. Dobrze, że szydły były w trzech językach, to chociaż niczego nie trzeba było zmieniać. Możecie zresztą do dnia dzisiejszego obejrzeć stare napisy na murze, na budynku przy Sienkiewicza 48, koło gimnazjum Kościuszki, dawniej Piłsudskiego.

— Do końca życia nie zapomnę — dorzuca ciotka Adela — jak po jakiejś wielkiej bitwie pod Łodzią, w 1914 do miasta weszli żołnierze rosyjscy. Zmęczeni, poranieni. Siadali na Piotrkowskiej nad rynsztokami, zdejmowali onuce i wszy iskali.

— A po zakończonej wojnie? — pytam.

— Jak po każdej wojnie. Radość i powrót do wreszcie normalnego życia. Ruszyły kina i teatry. Wszystko zaczęło się normalnie układać. Wprawdzie życie teatralne w Łodzi nigdy nie kwitło zbyt, ale przecież Teatr Miejski miał takich dyrektorów jak: Zelwerowicz, Noskowski, Szyfman. Był Teatr Robotniczy w sali Geyera. Wystawiano dla robotników na scenie u Scheiblera i Humy walii na przedstawienia, ale oczywiście kino było bardziej popularne niż teatr.

— Czas ucieka. Jeszcze tylko lvk herbaty, pożegnalne uściski z przemiłymi ciotkami i przechodząc próg domu panny Julki dokonuje pięćdziesięcioletniego skoku z tamtej Łodzi w tę dzisiejszą. Wprost na Narutowicza, dawniej Dzielną.

ANDRZEJ BETULSKI

# 1

## Czy logikę wyrzuciliśmy na śmietnik?

Projektant pomyślał logicznie: w sklepie musi być ruch dwustronny. Jedni klienci będą wchodzić do sklepu, drudzy wychodzić. Sklep musi mieć zatem dwie drzwi. Jak pomyślał, tak zaprojektował. I wybudowano sklep z dwoma drzwiami dla ruchu dwustronnego. Aby ludziom było wygodniej, aby ruch w sklepie był właściwy. Ale komuś to przeszkadzało i prosił, żeby sklepy, które mają wybudowane dwie drzwi i te dwie drzwi są jednocześnie otwarte. Zupewnić wbrew logice jedne drzwi są zamknięte na stałe. Dlaczego? Nigdy tego nie mogę pojąć. Czyżby pracownikom handlu obca była logika?

W młodości mnie uczono, że zawsze należy ustępować miejsca ludziom wychodzącym z jakiegoś pomieszczenia. Jest to zasada oparta na zdrowym rozsądku i na logice również. Jeśli najpierw ludzie wyjdą z pomieszczenia, to tym samym zrobią miejsce dla wchodzących. Więcej będzie mogło wejść. Ale nie. W wąskich najczęściej drzwiach robi się tłok. Ludzie chcą jednocześnie wchodzić i wychodzić.

Te wąskie wejścia i wyjścia spotykamy też w sklepach, które mają podwójne drzwi, ale te drugie są zamknięte. Natomiast w tych, gdzie zgodnie z logiką i właściwym przeznaczeniem mamy dwie drzwi otwartych, ludzie nie przestrzegają zasady prawostronności ruchu, nie wchodzą i wychodzą zawsze prawą stroną. Dlaczego? Nikt ich tego nie uczył? Czy też logikę i zdrowy rozsądek wyrzucili na śmietnik?

Można powiedzieć, że się czepliłem, że są to drobiazgi, że mamy większe zmartwienia. Meżna, ale niczego to nie zmienia. Po pierwsze — nasze życie składa się z drobiazgów. Często nie zdejemy sobie sprawy z tego, że uczestniczymy w historycznym procesie, że przyczyniamy się do nieodwracalnych przemian. Dopiero, gdy minie jakiś czas, gdy na ten proces spojrzymy z perspektywy w minionego czasu, okaże się, że przeoczyliśmy coś, co było ważne i poszło w niewłaściwym kierunku. Skoro dziś obserwujemy powszechny upadek dobrych obyczajów właśnie w sprawach pozornie drobnych, to może jest to sygnał, że coś się złego dzieje. Może warto temu przyrzeć się bliżej.

Po drugie — było kiedyś pojęcie „dobrze ułożonego młodzieńca”, „dobrze ułożonej dziewczyny”. Było i minęło. Dziś nikt nie ma czasu na to, aby zajmować się uczeniem dzieci dobrych manier. Rodzice patrzą na szkołę, oczekując, że ona ich zastąpi, a szkoła nie ma zamiaru wyręczać rodziców. I później dziwimy się skąd i dlaczego ludzie nam chameją.

Polskie Radio spopularyzowało taki dowcip. Do tramwaju wsiada starsza pani. Wszystkie miejsca siedzące zajęte. Na niektórych siedzą młodzi ludzie. Pani mówi głośno, aby młodzieńcy słyszeli: — Mało jest już dziś dżentelmenów!

Jeden z młodzieńców odwraca się i replikuje: — Dżentelmenów to jest dużo, miejsc w tramwajach jest mało.

Dowcip, jak dowcip. Ale proszę uważnie rozejrzeć się po tramwaju. Oto dżadek z wnućkiem. Kto stoi, a kto siedzi. Siedzi oczywiście wnuczek, a dżadek stoi obok. Czy później wnuczek, gdy podrośnie ustąpi miejsca innemu starszemu człowiekowi, jeśli dżadek go nie nauczył szacunku do siebie, czyli do swego wieku? Dżadek być może wstydył się swojej sześćdziesiątki, bo dziś wszędzie liczy się tylko młodość. Znowu logikę wyrzuciliśmy na śmietnik!

Zdrowym społeczeństwem może być tylko takie, w którym starza się młodym możliwością prawidłowego rozwoju i uczy się jednocześnie szacunku dla starszych. Młodość — to bo-

wiem energia, ekspansywność, dynamizm, zapal, chęć przewracania gór. I bardzo dobrze. Starość natomiast — to doświadczenie, wiedza, różne umiejętności, czego nie zastąpią żadne komputery i satelitarne telewizja. Znajomość ludzi, ich zwyczajów, różnorodność kontaktów przychodzi z wiekiem. Taka jest logika wpływającego czasu. Nie zwalnia to ludzi w słusznym wieku z obowiązku uczenia się. Ucząc się stale muszą i młodzi, i starzy. Nasza cywilizacja rozwija się żywiołowo i aby ją rozumieć trzeba nieustannie się uczyć. Tu ani wiek, ani dyplomy nikogo z tego obowiązku uczenia się. Przy okazji warto poczytać się trochę logiki. Pomaga w życiu. A my wyrzuciliśmy logikę na śmietnik!

I proszę, jak od drobnotek przeszliśmy do spraw znacznie większych, żeby nie powiedzieć zasadniczych. Taka też jest logika naszego życia. Powinniśmy, posługując się nią, uczyć się cenić mądrość, wiedzę, umiejętność wykorzystywania jej. Uczyć się też szacunku dla tych którzy takie cechy posiadają. Jak też uczyć się szacunku dla każdej pracy, jaką ludzie ponieśli dla dobra innych, niezależnie od zawodu, odznaczeń, stopni i tytułów. Odchodzące pokolenia — choć nie wolne były od błędów — coś dla nas wszystkich zrobiły. Nie wolno o tym zapominać.

I jeszcze jedno. Pamiętajmy też, że w języku polskim są takie słowa: „proszę”, „przepraszam”, „dziękuję”, „nie szkodzi”.

LUCJAN BOGUSZ

# 2

## Nagle zastępstwo

## Młot na sufrażystki

„Kobieta jest najlepszym przyjacielem człowieka” — cytował w wywiadzie dla naszego tygodnika szef wszelkiego telewizorstwa łódzkiego, Andrzej Hampel. Nie wiem kogo cytował, nieważne. Ja mu wierzę, bo ogólnie mam do telewizora nieograniczone zaufanie. Nawet wtedy, kiedy telewizor przemawia ustami swego pryncypała lokalnego nie do mnie bezpośrednio, tylko na łamach.

Zresztą, nie tylko wierzę. Sam mam podobny pogląd i w zupełności go podzielam (pogląd, rzecz jasna). Nie mam nie przeciwko kobietom, przeciwnie, uważam, że są pozytywne do pewnego stopnia. Od czasu, kiedy mi się wzrok pogorszył i skroń posiwiała są jakby trochę mniej potrzebne, ale to wynika z ogólnej teorii schyłku cywilizacji, która brzmi: „świat chyli się ku upadkowi: wszystko jest coraz gorsze, nie wyłączając mnie samego”.

Ponieważ, jako się rzekło, nie mam przeciwko kobietom, to konsekwentnie uważam, że nie powinno się im robić krzywdy, bić zbyt dotkliwie i zbyt często, głodząc i zmuszając do pracy ponad siły. Co nie znaczy, że nie można im stawiać żadnych wymagań, przeciwnie: winny być ładne i świeże, o ile to możliwe — zgrabne a także pracowite, skromne, ciche i małomówne. To ostatnie życzenie jest z gatunku science fiction, no cóż, pomarzyć nie można? Wskazane też jest, żeby nie były zbyt wykształcone i utalentowane, przynajmniej te bowiem wpływają wielce szkodliwie na urodę. Vide choćby słynne Polki: Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka czy Maria Skłodowska-Curie. Wszystkie o tych wspaniałych kobietach można powiedzieć, tylko nie to, że miałyby jakiegokolwiek szansę w konkursie na miss, nawet w Łodzi.

Kiedy już — mam nadzieję — przekonalem czytelnika, a może nawet o bardziej rożgarniętą czytelniczkę, że nie jestem antyfeminista, a nawet można mnie zaliczyć do

umiarowanych wprawdzie, ale za to szczerych przyjaciół tego odłamu ludzkości, mogę przejść do sedna, czyli do deklaracji osobistego stosunku do wszelkiej maści sufrażystek, feministek i innych tam rozwydrzonych bab, które pod płaszczykiem słusznej skądinąd walki o ludzkie prawa dla kobiet głoszą niczym niepojętą dążność do pogwałcenia rodzaju męskiego, babokracji i feminohegemonii. Działają one (zawsze) wielce szkodliwie, a przy tym hałaśliwie i demagogicznie na wszystkich niemalże polach i we wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego.

Mam na te panie oko i w swoim czasie, kiedy się już zmobilizuję i zgromadzę wokół siebie większą ilość sojuszników, wypowiem im ostateczną walkę. Na razie zwracam ostrze satyry i chłoszczący bicz krytyki w stronę pań — feministek występujących w mass-mediumach. Mam już niezły dossier dotyczące publicystki, niejakiej Biazuckiej. Ostatnio wpisała mi się do „czarnej księgi” felietonistka Malaga... Na razie jeszcze wymieniam z nią ukłony, ale przewiduję, że od nowego roku mój stosunek do niej ulegnie dalszemu ochłodzeniu i przestanę ją zauważać.

Dnia 2 grudnia 1986 roku odnotowałem w „czarnej księdze” jeszcze dwa nazwiska: Małgorzata Tułodziecka i Grażyna Majkowska. Obydwie te wojownicze panie w porannej audycji radiowej, o niewinnym z pozoru charakterze, bo poświęconej sprawom kultury języka (sic! — baby o kulturze języka!), dały popis feministycznej ksenofobii, nietolerancji, no wprost babo-faszyzmu! Stwierdziły mianowicie, że sam język polski, nasza ojczyzna — polszczyzna, że zacytuje poetę, jest w swej istocie antyfeministyczny i pozostaje jednym z narzędzi srogiego ucisku kobiety przez człowieka... A jakie zabawne miały argumenty: oto wyrazy o zabarwieniu pejoratywnym mają w języku polskim rodzaj żeński, jak to „gapa”, „bekska” i „niezguła”. A to znów przyczytały się do... „Elementarza” pana Falskiego, w którym dziewczynki bawią się lalkami, a chłopcy globusem, mama gotuje obiadek, a tato prowadzi samochód itp. głupstwa.

Drogi i szanowne panie! Względem waszą niewieścią wrażliwość i wstyd nie pozwala mi przytoczyć całych wianek „wyrazów” rodzaju męskiego. Wyrazów rodzaju żeńskiego też zresztą nie przytoczę, choć mam ochotę... A co do Falskiego, z którego jedna z drugą nauczycielką się czytała, z czego teraz robi niewłaściwy użytek, to nie mam nie przeciwko temu, żebyście się panie pobawiły globusem i samochodziłkiem. Obiadki niech wam gotuje gastronomia, nasza Lukrecja Borgia (kobieta!), a ja za to zajmę się chętnie jakas lalczką, byle była normalna, a nie feministyczny chłopobob.

ANDRZEJ KAROL

# 3

Sport

## Znow ruszyła karuzela

Co zrobić, kiedy drużyna zlegra, przegrywa na własnym boisku, piłkarze nie trafiają do bramki przeciwnika, nie potrafią strzelać karnego, spadają w ligowej tabeli na dalsze miejsca? Wiadomo, co zrobić — zmienić trenera. No i stało się. Bronisław Waligóra opuszcza Łódź i jak „ze źródeł” dobrze poinformowanych wynika — według krakowskiego „Tempa” — Bronisław Waligóra przenosi się do Poznania, gdzie obejmie szkolenie piłkarzy Lecha. On sam w wywiadzie dla „Expressu Ilustrowanego” jakby temu zaprzecza i zapowiada, że w najbliższych dniach pojedzie do sanatorium, aby wypocząć psychicznie.

Nie dziwię się. W połowie listopada mijającego roku zadzwoniłam do owczanego trenera RTS Widzew i poprosiłam o rozmowę. Bronisław Waligóra wykręcał się jak mógł, a nie bardzo tam rozwydrzonych bab, które pod płaszczykiem słusznej skądinąd walki o ludzkie prawa dla kobiet głoszą niczym niepojętą dążność do pogwałcenia rodzaju męskiego, babokracji i feminohegemonii. Działają one (zawsze) wielce szkodliwie, a przy tym hałaśliwie i demagogicznie na wszystkich niemalże polach i we wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego.

Jedenastka Widzewa zakończyła jesienną rundę na nie najlepszej pozycji, bo na siódmej. Mimo to Bronisław Waligóra powiada w wywiadzie dla „EL”, że „straty do drużyny zajmującej trzecie miejsce są niewielkie, można je z niewielką odrobinią, plany szkoleniowe zostały dobrze przygotowane, ale już nie on będzie się zajmował ich wypielaniem. Zrobi to za niego ktoś inny.

Jesienną rundę miał Widzew nie najlepszą. Drużyna jest w budowie i musi potrać trochę czasu nim okrzepnie i uformuje się w zgrany zespół. Sprawozdawcy sportowi przypominają, że mimo tych trudności Bronisław Waligóra miał sukcesy, piłkarze Widzewa grali w europejskich pucharach, a Widzew zdobył po raz pierwszy Puchar Polski. Wszystko to prawda. Prawdą jest również i to, że Widzew ma słabszy okres i nie bardzo wiadomo, kogo za to winić. Znaki gdzieś widzewski charakter. Piłkarze nie trafiali do bramki z 11 metrów, w ogóle ze skutecznością nie było najlepiej.

Katowicki „Sport” opracował interesującą tabelę. Wyróżniono 10 cech: skuteczność, dyscyplina taktyczna, gra obronna, atak pozycyjny, atak szybki, zaawansowanie techniczne, przygotowanie fizyczne, widowiskowość gry, poziom oraz suma uzyskanych punktów. Wszystkie cechy ocenia się w skali 1-5. Otóż w tej tabeli Widzew znajduje się na poziomie Legii. Ma tylko 4 czwórki, reszta same trójki i jedną dwójkę. Legia jest o tyle lepsza, że nie ma ani jednej dwójki. I tak suma punktów uzyskanych w tej tabeli przez Legię wynosi 31, a przez Widzew — 30. Widzew ma o 9 punktów mniej od Gornika Zabrze, o 5 mniej od GKS Katowice i Śląska Wrocław, o 3 od Pogoni Szczecin. Ale Zagłębie Lubin, które w ligowej tabeli wyprzedza Widzew ma tylko 25 punktów w tabeli „Sportu”.

Widzew otrzymał trójki za skuteczność, atak pozycyjny, atak szybki, zaawansowanie techniczne i dwójkę za widowiskowość gry. Coś to chyba mówi?

Skoro jednak Widzewowi nie wiodło się w jesiennym rundzie i rok 1987 może być pierwszym rokiem od wielu lat, kiedy to drużyna RTS Widzew nie zagra w europejskich pucharach, to tradycja ligowej piłki nakazuje jedno: zmienić trenera. Mądry trener odchodził sam.

Antoni Piechniczek ponoc obliczył, że w czasie sprawowania przezeń funkcji selekcjonera kadry w I i II lidze 150 trenerów zmieniło kluby. Czyżbyśmy mieli aż taką wielką kadre trenerów piłki nożnej? Oczywiście nie. Mamy natomiast karuzelę, która rusza po zakończeniu rundy wiosennej, jesienniej lub całego sezonu. Też jesienią swoje kluby opuszczają: Widzew — Bronisław Waligóra, Lech — Włodzimierz Jakubowski, Ruch — Władysław Zmuda, Motor — Jan Ziomańczak. Być może jeszcze kilku. Na ich miejsce przyjdą inni. Skąd? Z innych klubów. Karuzela wykonana kilka obrotów i trenerzy zamienią się miejscami. Czy coś z tego wyniknie? W myśl przysłowia: „nowa miotła lepiej zamiatą” — niewątpliwie tak.

Ale nie na długo. Do następnego ruchu karuzeli. Przesuwa ona ciągle te same figury na szachownicy. Do zestawu tych figur rzadko przybywają nowe. Czy z tego może wyniknąć coś dobrego?

Odpowiedzieć można było sobie tej jesieni patrząc na popisy naszych piłkarzy w meczach europejskich pucharów. Nikt chyba nie powie, że nasi odpadli niezastudzeni.

I to wszystko!

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

# Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(29)

— „rabunki, groźby i szantaże. Aż ten stary człowiek umarł ze zgrozoty. Wtedy pański wspólnik Kuhn Mannoury zaglądnął parol na naszą posesję i przystąpił do tak zwanych pertraktacji z moją matką. Zastosował cały arsenał metod, które my stosujemy tutaj, i jeszcze więcej...  
— Nie będę słuchać tego dłużej. Jeśli pani natychmiast nie przestanie, dyskusja skończona i do widzenia.

Ale ona nie przestała, a on mimo to został tam i słuchał. I nie było sposobu, żeby zamknąć jej gębę.  
— Wie pan, ile wart był wtedy jard kwadratowy ziemi w tamtej części Manhattanu? Na pewno wie pan doskonale. I na pewno doskonale pan wie, ile zapłaciłście mojej matce, kiedy zastraszona przez waszych bandziorów zgodziła się sprzedać wam swój dom. No, ja tylko odebrałam resztę należności, wyrównałam nasze rachunki. I ostrzegłam kilku przyzwolonych ludzi...  
Stała tam przed nim prawie naga, bez oznak skrupowania — takie byle co, tania aktorka z przedmieść i jeszcze tańsza dziwka — rzucając mu w twarz oskarżenia tonem spokojnym i lodowatym, a on położył po sobie uszy i słuchał potulnie, bo ona trzymała go za gardło.

— Będziesz... Będziesz musiała mi to zwrócić, Twiggie. Tę działkę.  
— Naprawdę? Na jakiej podstawie? Umowa kupna-sprzedaży sporządzona jest na moje nazwisko i pierwszą już z płatnością ratę wniosłam z własnych pieniędzy. I żeby zaszczydzić pana złudzeń, panie Bliss: nie odstąpię tej działki nawet za milion dolarów. Ani panu, ani nikomu.  
Brian poczuł, że krew go zalewa.

— Zniszczę cię, Twiggie — wycedził — Rozdepczę.  
— To ja mogę zniszczyć pana, panie Bliss — odparła ta dziwka. — Pomijając już to, że wiem o panu dostatecznie dużo, wystarczy, jeśli rozedrze na sobie biustonosz, zbурze pościeć i zaczną wrzeszczeć. Służba hotelowa jest tu bardzo czujna. Będzie pan skompromitowany, Three B's.

— Zniszczę ją — myślał teraz Brian leżąc na łóżku w swoim pokoju, sącząc długasa i znów czując, że krew go zalewa, chociaż od tamtej klótni upłynęła doba. — Otoczę jej działkę murem wysokim na dwadzieścia stóp, pokryję dachem, przysypię ziemią i posieję tam trawkę. Albo wysadzę dziwkę w powietrze... Tylko to mi pozostało.

W odwodzie pozostał mu także podpułkownik E. C. Castro, Brian jednak wolął nie odrywać go od pilnych, sztabowych zadań. Bo ten pozbawiony taktu i poczucia humoru umundurowany potwór Frankensteina mógłby przypadkiem zapytać o swoje interesy, a on dla armii nie skupił dotychczas ani jednego akra ziemi. I raczej już nie zdoła tego zrobić. Jutro, najwyżej pojutrze okolice te znów zaroią się od niedawnych uciekinierów i każdy z nich, wracając z siłem do plukania piasku, oprócz noża za cholewą i colta na biodrze, przywiezie ze sobą adwokata dla ochrony swojej złotonośnej działki. Czasy interesów ubijanych łatwo, szybko i z ogromnym zyskiem bezpowrotnie minęły.

Leżąc, popijając długiego drinka Brian doświadczał stanu klasycznej frustracji. Zawsze to przechodził, kiedy rozgorączkowany niespodziewanie korzystną passą, obwołany jak statek wielorybniczy, wyciągał ręce po jeszcze, a tu ni stąd, ni zowąd wyczerpały się fundusze albo jego otumanieni kontrahenci zaczęli dawać ucha głosem nawołującym ich do rozstania.

— Tak — zdecydował Brian — operacja dobiegła końca, pora na finał. Szacunkowe obliczenia, których pan dokonał są nadmiernie optymistyczne”, powiedział dyrektor ekspozytury banku w Coral Gables, pan Pyszata Bużka. Warto by usłyszeć, co on ma do powiedzenia dzisiaj. Pułkownik E. C. Castro? Nie powiedło mu się po prostu, ale to już jego zmartwienie. Zresztą nie takie ono wielkie, bo jeśli zawierzyć krążące w branży plotki, swoje warunki ten dziarski swoje postawił wszystkim bez wyjątku pośrednikom handlowym, którzy przebywali na Florydzie, więc jest pewne, że armia również zrobiła na tym złoty interes.

— Gratuluje, Three B's, ty sukinyśnu — przemówił do siebie Brian ciepło. — Rozegrałeś to po mistrzowsku, chociaż pod koniec nie szło ci tak dobrze.

W przeciwieństwie do Briana B. Bliss Vincent Sherwood nie mógł sobie pogratulować. Razem z Pat Parlanem i ze swoim asystentem Sepem Diazem, dzięki kombinowanemu połączeniu autobusowo-lotniczo-taksówkowym, dotarli on tutaj (Coral Gables, stan Floryda) wczoraj rano i załatwiający lub próbujący załatwić dziesiątki spraw, przez cały ten wczorajszy dzień tracił entuzjazm, nabierał natomiast przekonania, że tym razem to już naprawdę wpadł jak siłwka w kanalizację. Z księżką żywiolową jeszcze można jakoś sobie poradzić, na biurokrację nie ma silnych.

Owszem, bez kłopotu dostali pokoje w hotelu, bez kłopotu też w lokalnym studio wynajęli sprzęt filmowy i ludzi do obsługi tego sprzętu — ale na tym urwalo się pasmo ich sukcesów.  
Mając dość mgliste koncepcje artystyczne Vincent postanowił zacząć od fachowej lustracji terenu.  
— Harry — zwrócił się do kierownika swojej nowej ekipy — zmasz jakieś widokowe miejsce, skąd dałoby się zrobić parę ogólnych ujęć „Trójkąta”?  
— Oczywiście — odrzekł Harry.  
No i co ich czekało tam, w tym widokowym miejscu? Obrzązkiem żywcem z programu „W obliczu inwazji kosmitów”. Wokół nawet wałaly się śmiecie po poprzedniej ekipie telewizyjnej.  
— Nie mówię, że jest to najlepsze miejsce — wyjaśnił Harry. — Jest to miejsce jedyne. Wszędzie indziej są bagna i namorzynowe lasy.  
— Przecież muszą istnieć jakieś drogi dojazdowe. Zbliżymy się na tyle, na ile pozwolą nam patroli...  
— A myślisz, Vince, że na ile nam pozwolą?  
— No, do groma, chyba nie...  
— Wiesz, ja nie wątpię, że twoja wytwórnia jest gotowa wybulić forszę za rozbite kamery i zniszczony sprzęt, ale kampania, które zafasuje, będą moją własną stratą i nikt mi jej nie wyrówna.  
Tak, taki był początek. A potem, kiedy się jednak zdecydowali na zdjęcia, skoro już są w tym dymanym widokowym miejscu, podjechali do nich jeep z dwoma uzbrojonymi drabami i ten przy kierownicy... co?  
— Od dzisiaj jest to własność pana E. C. Castro — oświadczył. — Macie minutę do namysłu: wynosicie się stąd sami natychmiast, czy ma się tym zająć zakład pogrzebowy nieco później?  
Grzeźnie, aż nazbyt grzeźnie Vincent odparł:  
— Proszę nam wybaczyć, panowie. Chcieliśmy tylko sfilmować plenery tutaj. Jeśli się od was dowiem, gdzie mieszka obecny właściciel, przeprzuję go osobiście i spytam o pozwolenie.  
No a ten E. C. Castro... do bry Pani Boże! Wyglądał jak dziewiętnastowieczny zarządca kolonialny, którego wydobycie z grobu, otrzępano z kurzu, uróżnowano, ubrano w jasny garnitur z tropiku i posadzone na wiklinowym fotelu, w podświetleniu werandy. Mniej miał w

sobie życia niż posąg z Wyspy Wielkanocnej.  
— Wykluczone — powiedział Vincent rozłożył ręce. Czy z kimś takim można w ogóle dojść do porozumienia?  
— Mimo to nie żałuję, że przyjechałem tu do pana — odrzekł. — Ten gazik-amfibia który stoi obok pańskiego garażu, podsunął mi pomysł, w jaki sposób dostać się pod samą granicę „Trójkąta”.  
— Mówi pan o sforsowaniu bagna?  
— Tak. Mnie nie odstrasza aligator, jak tych dziubasów z ABC. To ja kręciłem te sceny, kiedy na Wschodnim Wybrzeżu cyklon Frannie rozwał wszystko dookoła. „Kataklizm miesiaca”. Wie pan, ten cykliczny program telewizyjny.  
— Pan daruje, panie Sherwood...  
Była to jawna uszczypliwość.  
— Sherwood.  
— Przepraszam, panie Sherwood. Pan daruje, ale telewizję oglądam rzadko. I chcę pana uprzedzić, że te bagna otaczające „Trójkąt” w przeważającej części należą do mnie. Moi ludzie mają je pod ścisłą kontrolą. Są równie odważni jak pan. Oni też nie boją się aligatorów. To aligatory boją się ich.  
— Ale, dlaczego? — spytał Vincent, aczkolwiek wiedział, że odpowiedzi nie będzie.  
— Dlaczego? — powtórzył podczas lunchu, który jedli w trójkę w restauracji na parterze „Muszli Pacyfiku”.  
Sep, ten pięcioletni, był wyraźnie znudzony jego relacją. Pat, jednak wysłuchał jej z należytym skupieniem, marszcząc brwi.  
— Jeszcze nie wszystko stracone, Vince — orzekła. — Spróbujemy z innej beczki. Możemy zacząć od wywiadów z osobami poszkodowanymi. Szpitalna biel, przeszczerpane szpiłki kostne, skomplikowana aparatura medyczna, wymienne transfuzje krwi, wyścigi ze śmiercią... no wiesz.  
— Czekaj, już chwytam. To na czołowiek. Później robimy kilka rund śmigłowcem nad „Trójkątem”, żeby pokazać skażony rejon. Dalej uczona mowa-trawa o wpływie promieniowania na organizmy żywe i coś dla ilustracji, różne zwierzęki doświadczone, jak one zdychają. Potem znowu wra-

camy do naszej „gorącej” plany, damy dosadny komentarz na temat jej radioaktywności, że tysiąc remów i umarł w butach, i wreszcie zbliżenia dwu-trzech ekspresyjnych ofiar, ich agonalne grymasy, przedśmierne podrygi pod prześcieradłami. Obciągnięte skórą ludzkie szkielety, tyse głowy, a jeżeli tyse nie będzie, to ogolimy jakiegoś wychudzonego statystę... Który szpital wybieramy, Pat?  
— Chyba Pierwszy Miejski. Kliniki prywatne...  
— Jasne, Sep, ty sprowadź mi tutaj kilku narkomanów, wiesz, takich na wykończeniu. Będą potrzebni do zdjęć plenerowych. Sfilmujemy ich, jak leżą w krzakach, następną odnaleziona grupa pechowych turystów, którzy obozowali na skażonym terenie, i oto nadchodzi pomoc dosłownie w ostatniej chwili.  
A jakże, ustalili wszystko szczegółów. Aż tu ten ważniak doktorek w Szpitalu Miejskim...  
— To nieporozumienie — powiedział bawiąc się okularami i patrząc na nich z towarzyskim zainteresowaniem, a na ich sprzęt z zainteresowaniem czysto technicznym. — Nie mamy tutaj żadnego pacjenta z objawami choroby promiennej.  
— Widocznie są w innym szpitalu — przypuściła Pat.  
— Nie sądzę. Gdyby tak było, musiałbym coś o tym wiedzieć. Jestem członkiem Komitetu Ochrony Radiologicznej.  
— To niemożliwe — zachnął się Vincent. — Mój przyjaciel mówił mi, że mnóstwo ludzi zostało tam napromieniowanych. Mnóstwo.  
Doktor zamrugał oczyma. Jego rozszerepione zainteresowanie źródełkowało się teraz w całości na Vincencie.  
— Dziwne. Wszyscy ewakuowani z tamtego rejonu przeszli pomyślnie badania w komorach scyntylacyjnych, jesteśmy w stałym kontakcie z dowództwem patroli, które przeczesują tamte tereny... Niech pan spyta swojego przyjaciela, panie Sherwood, z jakiego źródła zaczerpnął on tę informację. Chętnie to sprawdzimy. Nie chcemy bagatelizować żadnych pogłosek.  
Otóż — mógłby mu odpowiedzieć Vincent — rzecz w tym,

panie członku Komitetu Ochrony Radiologicznej, że nie jest to mój przyjaciel. Lotta Esther jest moim wrogiem. No, czyżbym ja już tak dalece stracił instynkt, że dałem się podpuścić jak dziecko?  
Resztę dnia spędzili w hotelu. Nie było sensu angażować się w cokolwiek, dopóki nie mieli pewności, czy istotnie są jakieś ofiary. Tylko trupy mogły usprawiedliwić powstanie tego programu, stanowiąc jedyny jego spektakularny, naprawdę żywy element. I tylko dojmujący ich brak mógł usprawiedliwić dwadzieścia sześć kolejek wypitych przez Vincenta od obiadu do czwartej rano.

Teraz Vincent znowu zalewał się w barze, usilnie lecząc kaca — skazany na towarzystwo Sepsa, bo Pat wzięła na ramię swojego Kalimara i pojechała kręcić rytuał agnihotry, który wierni słuchacze, adepci i wyznawcy Eliasa zamierzali odprawić o zachodzie słońca, na polanie za pensjonatem „Patriarchal”. Pod wpływem alkoholowej tej kuracji wolno, jak dotychczas, z kroplówką, wracała mu energia, równocześnie jednak ogarniał go na nowo ponury nastrój beznadziejności.  
— Widziałeś tego sierżanta? — odezwał się Sep znad swojej szklaneckki.  
— Sierżanta?  
— Tęgo, co siedział przy tamtym stoliku pod oknem, z jakimś kociakiem.  
— Ja bym raczej powiedział, że to była kurwa.  
— No, mówię. Oni muszą gdzieś to robić, no nie? Muszą się trochę zabawić.  
— Kto?  
— Gwardziści. Ci z „Trójkąta”. Przecież nie patrolują tam bez przerwy. Na pewno przyjeżdżają do miasta na przepustki i oblegają burdele. Więc co? Nie myślisz, że warto by ich podpytać? Porozmawiać z nimi przed kamerą? Bo może oni wiedzą coś, co władze usiłują przed nami zataić?  
— No jasne — Vincent przyglądził wilgotne od whisky wąsy i pokijał głową na znak zgody. Uznał, że powinien zastosować się do tej rady. Później, kiedy wrócił do Dutson (a wrócić bardzo szybko i oczywiście z pustymi rękoma) ten donosił przynajmniej nie będzie mógł mu zarzucić, że czegoś zaniedbał. Za to ja, pomyślał, położę na biurku Herba Willertona kasete z raportem o trzęsieniu ziemi w Nevadzie (może nie tak rewelacyjnym jak trzy pierwsze odcinki tego programu, ale bez wątplenia znakomitym) i oskarżę Lotte Esther o brak rozeznania, nieodpowiedzialność i narażenie wytwórni na straty wskutek podjęcia błędnej decyzji.

W przeciwieństwie do Vincenta Sherwooda Cedric Eccels wiał daleki był od myśli o powrocie. Daleki był od myśli o Agencji i o jej zleceniu. W ogóle nie myślał o sprawach zawodowych i to, co się wokół niego działo, obserwował z najzupełniej prywatną ciekawością. Patrzył, jak ci ludzie wznoszą stos z bierwion brzoźowych — niebezpiecznie blisko skraj lasu; jak posypują ten stos ziarnami kukurydzy; jak pieczołowicie układają na nim torf i wysuszony bydlęcy nawóz; jak polewają go masłem orzechowym... Patrzył na przygotowania do agnihotry z podziwem, że przebiegają one tak cicho i sprawnie, chociaż nikt tymi ludźmi nie kieruje, nikt nie wydaje im poleceń. Obserwował to wszystko ciekawie, nie tracił przy tym z oczu Eliasa, który wśród cieni wydłużanych zachodzącym słońcem spacerował po polanie i przechodząc od jednej grupki osób do drugiej, wymieniał półgłosem uwagi, wymieniał uśmiechy, serdeczne i pełne szacunku uściski.

Są ludzie, których wygląd nieodparcie kojarzy nam się z określonym zawodem. Mówimy, że ktoś wygląda „jak barman”,

„jak dyrektor z branży tekstylnej”, „jak były bokser”, „jak damski fryzjer”, „jak emerytowany wojskowy” i tak dalej. Otóż wygląd Eliasa głosił dobitnie i jednoznacznie: „Czarnuch, zwykły pieprzony czar-nuch, a więc naprawdę nie ma znaczenia, czy jest on pedrelym z Monterey, czy synem pastora z Coos Bay, czy też mechanikiem ze stacji benzynowej w Eureka, czy jeszcze kimś innym”. Niemniej jednak z jego postaci emanował charyzmat, który zdawał się przenikać zgromadzonych tutaj ludzi, napieniając ich spokojem, wiarą i miłością.

Pewna sztapmowość, pewna ślajdowość tej imprezy — rozważał Eccels — pozwala mówić o jej fotoplastykowej nowej proveniencji, takiej jak wszystkich tych imprez, które zdarza się nam oglądać w telewizji, w których zdarza się nam brać udział, a przecież wcale nie jest taka jak one. Może to kwestia wytworzonej spontanicznie atmosfery — uroczyście, wręcz podniosłej i niemal intymnej, mimo że pracują tu kamery i szmerzą spusty migawek.

Wczoraj na tej samej polanie odbył się piknik urządzony przez członków Ku-Klux-Klanu i Eccels także w nim uczestniczył. Przyjechał spóźniony i kiedy zaparkował swojego Aston-Martina na wyznaczonym miejscu, w rzędzie samochodów, podszedł do niego Samuel Jansky.  
— Hej! — zawołał z daleka. — Ced?  
— Ty tutaj, Sam?  
— Ha! ha! ha! Służbowo, hej? No, ja się nie pytam, ale ładując tu z paroma naszymi chłopcami i co widzisz? — Szybkim, badawczym, choć nieco metnym spojrzeniem Jansky o-miotti najbliższe otoczenie i nachylił się do ucha Eccelsowi. — Całą kupę starych koleśków. Są jacyś z Biura Śledczego i z Secret Service, jest trochę zwykłych glin w cywilu i nawet dwóch smutasów z osobistej ochrony prezydenta. Reston... wiesz, Ramsey Reston. on też tu jest... no, szepnął mi poufnie, że facet, który zrabował drzewa i budują teraz krzyż, są z wywiadu Sił Powietrznych. Wszystkie cholerne kluby wystawiły na te li-grzyska swoje cholerne reprezentacje. Do kompletu brakowało tylko kogoś od was... I nie ma nikogo z Ku-Klux-Klanu, ha! ha! ha!

Wkrótce Eccels miał skona-tować naocześnie, że Jansky nie przesadził: kiedy pięć minut później wniósł się w tłum, rozpoznał liczne znajome twarze pracowników rozmaitych służb specjalnych, służb tajnych i służb wywiadowczych. I wbrew temu, co mówił Jansky, byli tu również wysłannicy Agencji. Nie ci z samej Centrali, od MacTea, ale z agentur stanowych.  
— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Ty tutaj, Ced?  
— Ty tutaj, Sam?  
— Ha! ha! ha! Służbowo, hej? No, ja się nie pytam, ale ładując tu z paroma naszymi chłopcami i co widzisz? — Szybkim, badawczym, choć nieco metnym spojrzeniem Jansky o-miotti najbliższe otoczenie i nachylił się do ucha Eccelsowi. — Całą kupę starych koleśków. Są jacyś z Biura Śledczego i z Secret Service, jest trochę zwykłych glin w cywilu i nawet dwóch smutasów z osobistej ochrony prezydenta. Reston... wiesz, Ramsey Reston. on też tu jest... no, szepnął mi poufnie, że facet, który zrabował drzewa i budują teraz krzyż, są z wywiadu Sił Powietrznych. Wszystkie cholerne kluby wystawiły na te li-grzyska swoje cholerne reprezentacje. Do kompletu brakowało tylko kogoś od was... I nie ma nikogo z Ku-Klux-Klanu, ha! ha! ha!

Wkrótce Eccels miał skona-tować naocześnie, że Jansky nie przesadził: kiedy pięć minut później wniósł się w tłum, rozpoznał liczne znajome twarze pracowników rozmaitych służb specjalnych, służb tajnych i służb wywiadowczych. I wbrew temu, co mówił Jansky, byli tu również wysłannicy Agencji. Nie ci z samej Centrali, od MacTea, ale z agentur stanowych.  
— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.

— Zostawiłem papierosy w samochodzie — oznajmił Jansky. — wezmę je i ojdę pomóc chłopcom. Trzeba wyładować z furgonetki pakęty i kanistry z benzyną. Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, przyłącz się do nas. Mamy cholerny zapas whisky. Popijawa i wyzerka na koszt firmy.



Rys. Janusza Szymański-Glanc

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.